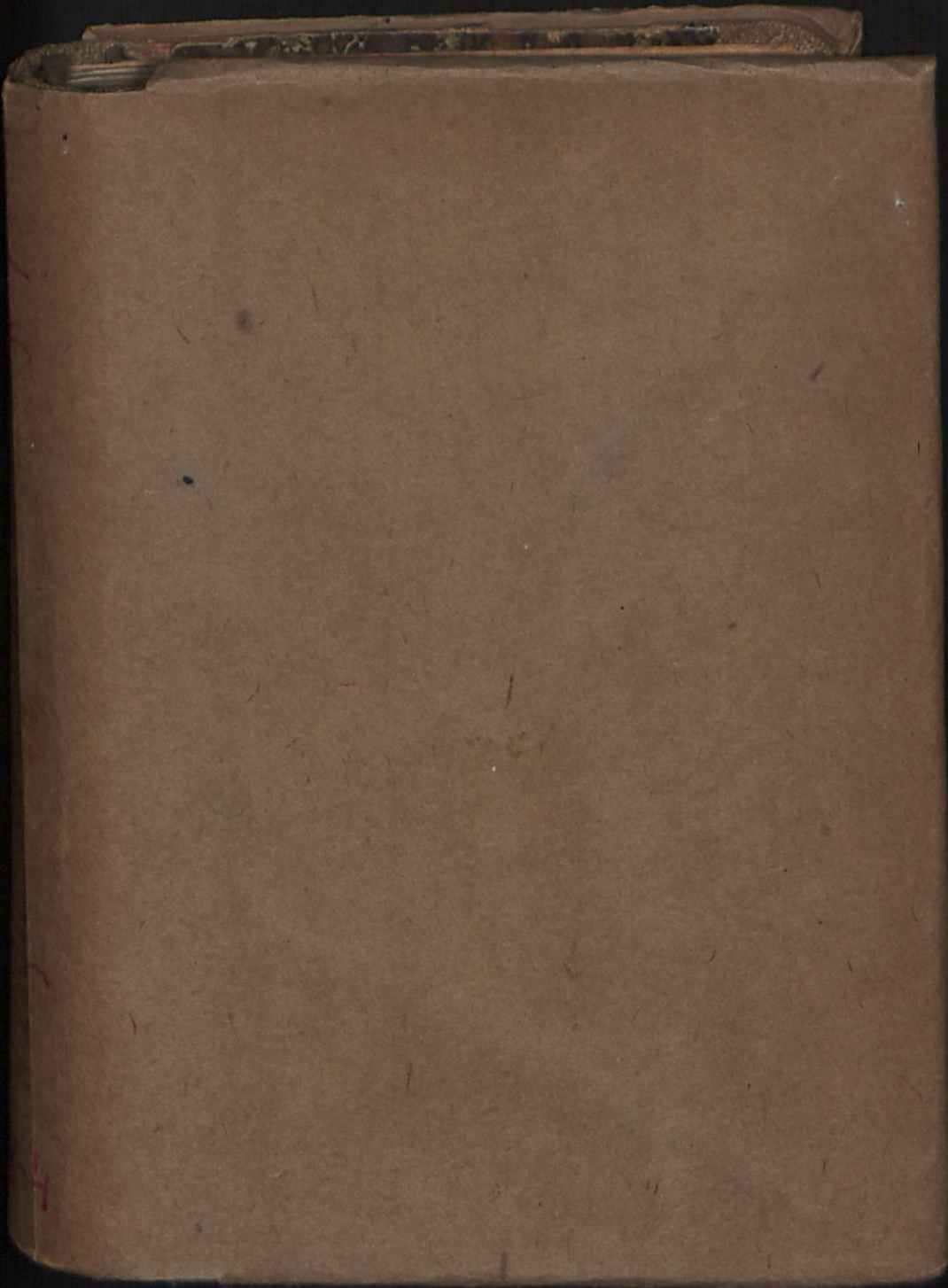
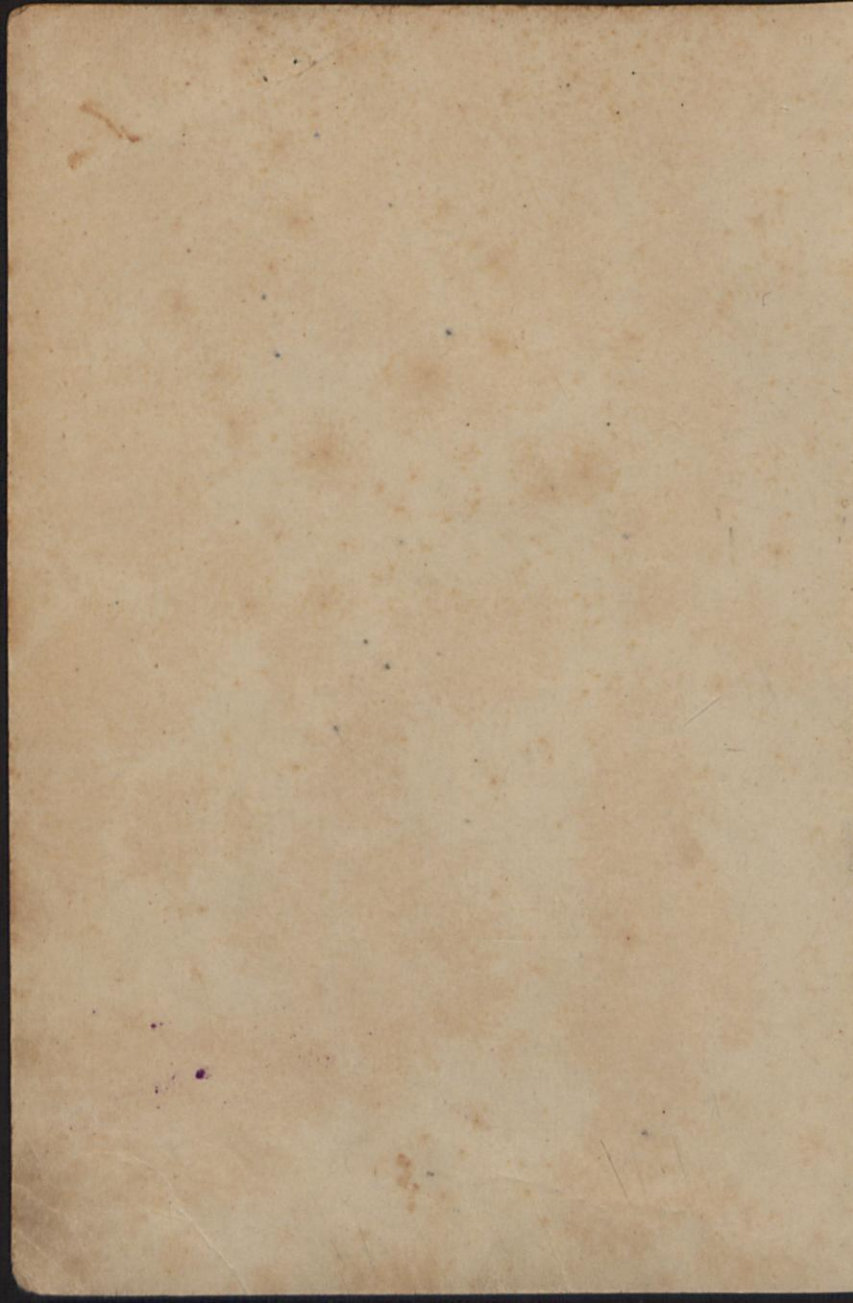






306

1875





~~BIBLIOTEKA PUBLICZNA~~
~~im. JANA PAWŁA II~~
~~W Zamościu~~

STANISŁAWA WASYLEWSKIEGO

Bardzo przyjemne miasto

Ducissa Cunegundis

Klasztor i Kobieta

Na Dworze Króla Stanisława

O Miłości i jej

Pod Urokiem Zaświatów

Portrety Elżbiety Vigée-Lebrun

Roman Prababki

U Księżnej Pani

Zerwana Kokarda

W PRZYGOTOWANIU:

Twarz i Kobieta

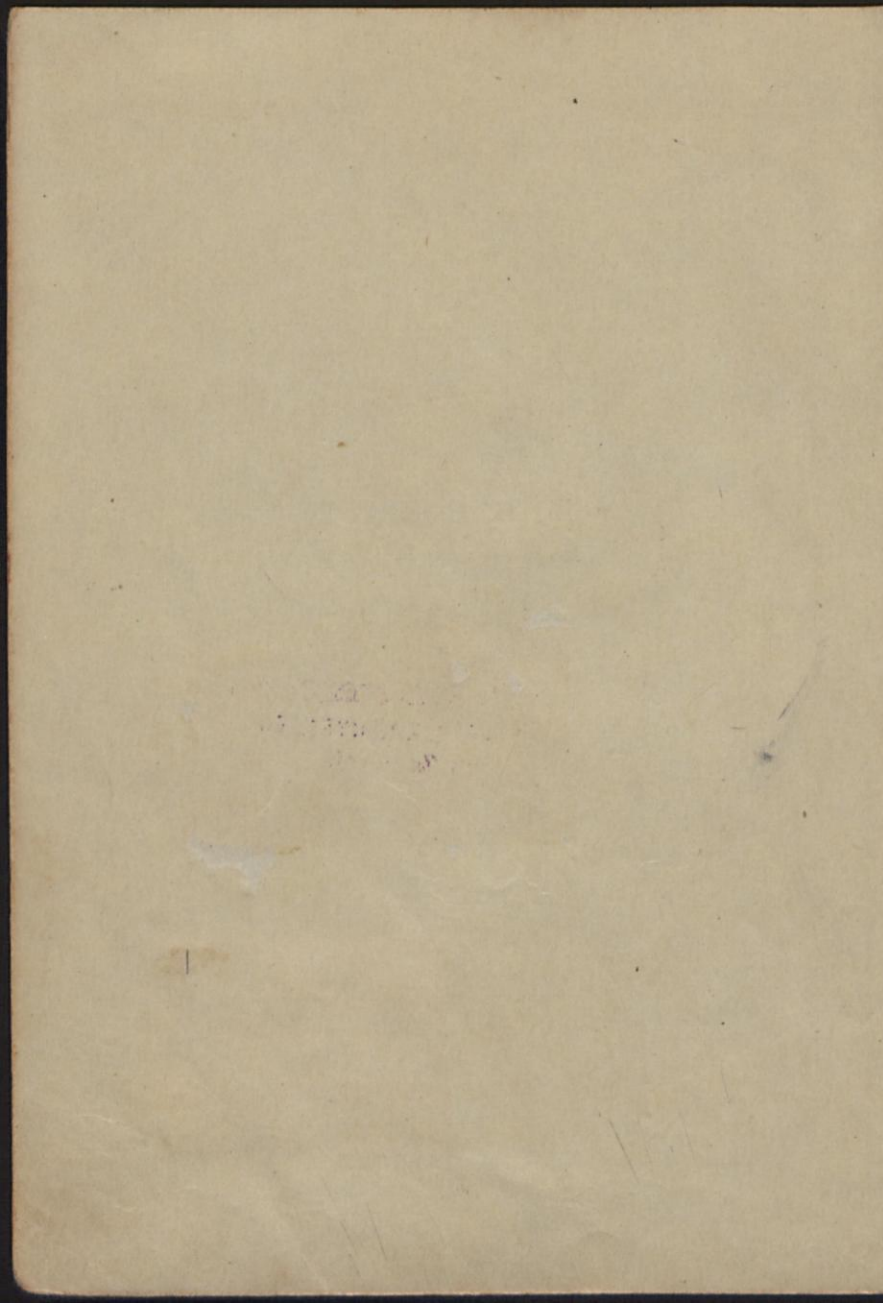
Cuda Polski (IV) Lwów

NA KONCU
JEDYKA

21

21





STANISŁAW
WASYLEWSKI



NA KOŃCU
JEZYKA

P O Z N A Ń

WYDAWNICTWO POLSKIE
OR.
<R. WEGNER>

BIBLIOTEKA PUBLICZNA
Miejskiej Rady Narodowej
w Zamościu

306.5

~~84~~ 424
Has
Na kon



WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

DRUK: CONCORDIA SP. AKC., POZNAŃ

PRINTED IN POLAND



Księgozbiór Dr

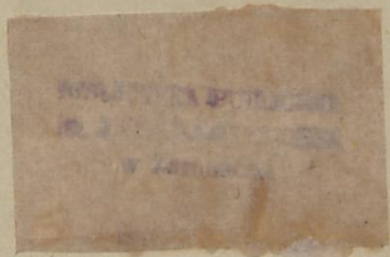


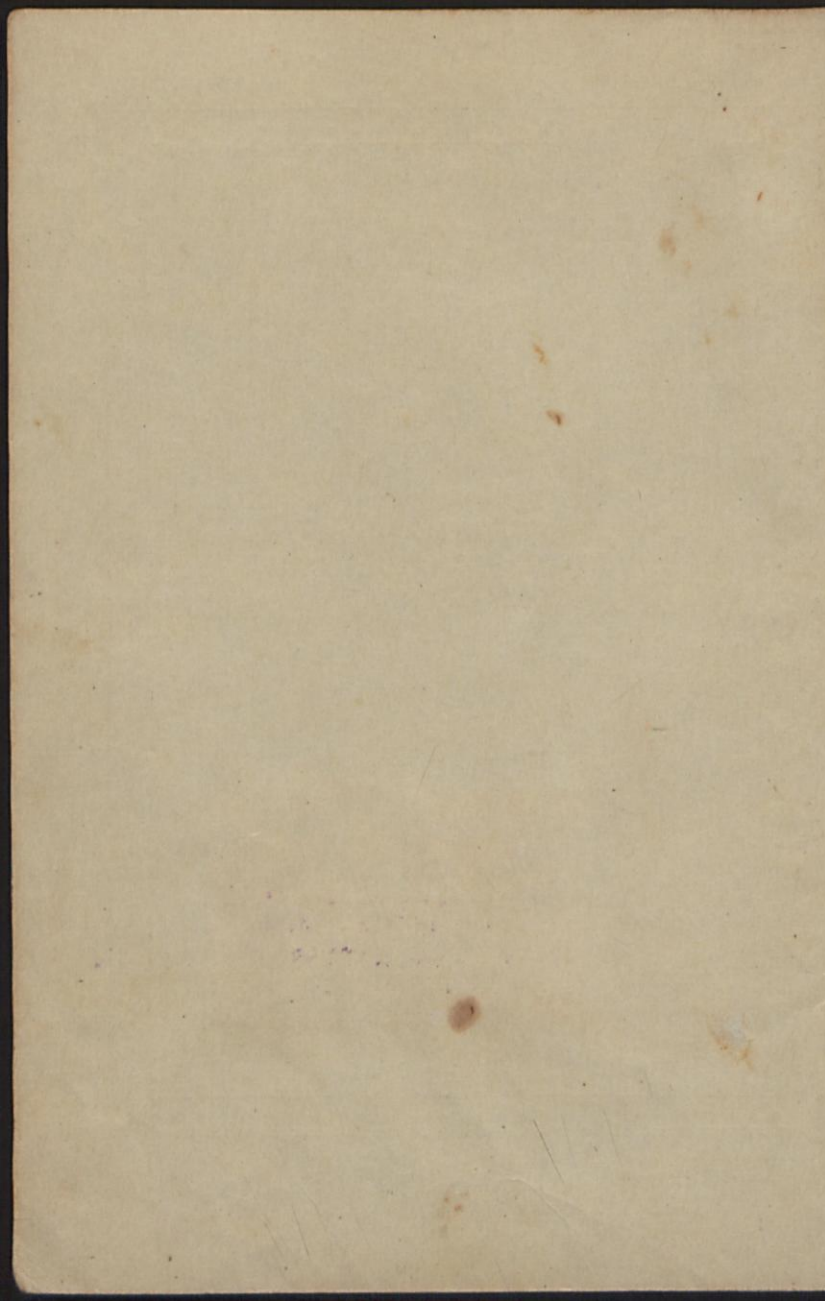
10085537

Zamość ul. Pereca 14
Biblioteka Publiczna

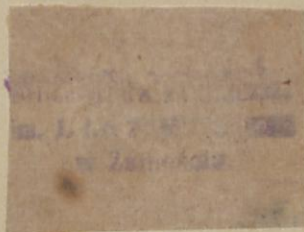
13777/P

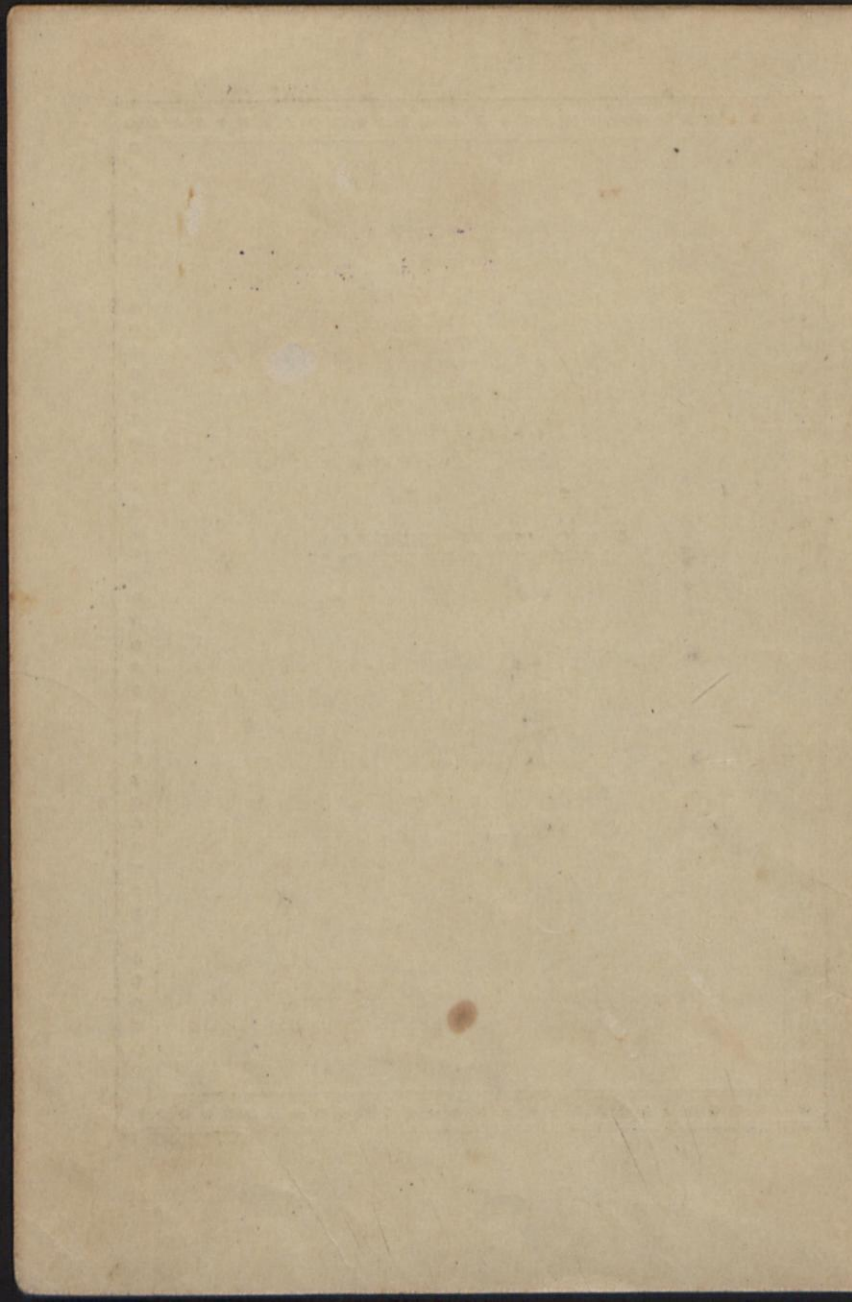
ŻONIE
NAJDROŻSZEMU MEDJUM
POŚWIĘCAM





KTO ZWYCIĘŻY ?





BIBLIOTEKA PUBLICZNA
IM. JANA ZAMOYSKIEGO
w Zamościu

G warzą i swarzą się pomiędzy sobą dzielnice na temat od wieków ulubiony: kto w Polsce mówi najpiękniej, czyja też mowa najprawdziwsza?

— Mówimy tak, jak nas Piast z Chrobrym nauczyle! — zauważa spokojnie, ale nieugięcie Poznań.

— My zaś — dorzuca Lwów — wiemy swój akcent nad miarę rozśpiewany od Jagielly chyba. Szymonowicz z Fredrą niech za nami świadczą.

Kraków: Zygmunt dzwoni w mowie mojej, Zygmunt i Piasty, które tu dopiero, nie w Poznaniu, zaczęły mówić pełną polską gębą.

Jeszcze Wilno dumnie dorzuci, że jest ziemią poetów i nauk od nikogo nie potrzebuje.

A na to wszystko Warszawa:

— Schowajcie, drodzy bracia, te tam tysiącletnie pergaminy do skrzyni. Nic wam nie pomogą. Mówić? Nie. Mówić wy wszyscy razem nie umiecie. Umieć wyłącznie ja. I radzę po dobremu:

Lepiej się z tem waszem gędoleniem nie pokazujcie u mnie. Odrzućcie precz dialekty dzielnicowe, jak obrzydliwą narośl i strup, wypielcie jak chwasty w ogrodzie. To są odciski, bez których wycięcia kroku nie zrobisz, braciszku, w alejach. Wisła cała musi mówić po warszawsku. Narazie proszę.

Nie chcecie? (Powiadają, że nie.) To was i ja zmuszę. Rozkazy już wydane.

I tak się wszczęła wojna o języki polskie. Wiemy o nich, że istnieją, lecz mało zdajemy sobie sprawy, że walczą i o co walczą. Wiemy co najwyżej tyle, że należy używać dwóch rodzajów mowy: jednego u siebie na powiecie, drugiego w reszcie Ojczyzny. Swojem rodowitem narzeczem bezpiecznie mówić tylko w domu, a już milę od granicy trzeba je kielznać. W stolicy zasię ubieraj co rychlej język we frak i kładź najlepsze, jakie masz, przyodziewki, bo cię zekpią i wyszydzą docna.

A nie jest to wszystko bląhostką towarzyską, lecz przejawem srogiej wojny, która rozgorzała na całego i nie o byle co. Chodzi bowiem o to, które z miast weźmie prym, której dzielnicy przypadnie zaszczyt nadania Polsce językowej konstytucji w słowie i piśmie, w urzędzie i książce? Stały się przeciw sobie i wzięły się za lby oba główne narzecza, Kraków z Warszawą. Warszawa ruszyła

do walki z niesłychanym impetem, z tą samą furją kolonizacyjną, z jaką niegdyś szły na wschód zastępy zagonowej szlachty mazowieckiej. Od stu lat zgórą uzbierało się w niej przecież tyle mnogo energii, która i w języku przelewa się przez brzegi. Niesie z sobą Warszawa t. z. „wymowę doskonałą“, rozsyła ją drogami, podpatrzonemi dawno na świecie przez językoznawców. Jest dziś stolicą przecież. I tuszy, że jej stołeczny dialekt ośwładnie kiedyż-tedyż całością słowa polskiego. Nietylko pisanego, mówionego także. „Nie ośwładnie! — krzyczy na to Wawel i ogłasza bunt. — Myśmy wcale nie gorsi“. Niewielka garstka uświadomionych obrońców daje na basztach Krakowa odpór armii oblężniczej warszawskiej. I idzie w bój pod przewodem trzech mędrców, z których jeden przeszedł i przesłuchał wszczep i wzdłuż cały obszar językowy polski, drugi widzi jasno w gęstej mrocie przeszłości, trzeci, oracz na niwie języków świata, patrzy z uśmiechem filozofa, świadomego praw, rządzących mową ludzką. Ci trzej zagrzewają narzecza poza-warszawskie mocną argumentacją w „Języku polskim“. Nie marzą wszakże o bezwzględnem zwycięstwie. Nie byłiby filozofami. Walczą jeno w żmudzie o prawo życia, o wydostanie z urzędów centralnych dowodu osobistego, żeby

nieszczęsny człowiek, urodzony poza granicami Mazowsza, miał również prawo otwierania ust i takiego układania narządów głosowych, jakie mu Bozia dała.

A cóż tamci na to? Poznań, nieskory do ekspansji poza swe granice językowe, obserwuje walkę zdaleka, poprzestając na zdaniu tego proboszcza katedry poznańskiej, który zwał się Janem Kochanowskim i rzekł już dość dawno: „Niech się drudzy za łby wodzą, a ja się dziwuję“.

Lwów natomiast opowiada się w imieniu ziemi Czerwieńskiej raczej za Warszawą. T. z. Małopolska wschodnia ma wogóle żal do swego języka i radaby poprawić wszystkie „błędy“ za dyktandem stolicy. Choć jakie jest właściwe pojęcie „błędu językowego?“ Jak pojmować regionalizm w tej dziedzinie? *Certant grammatici*. Zastanawiają się dopiero ludzie, co począć z tą przepiórteczką. I gdzie jest granica między językiem mówionym a pisany? *Ignoramus*.

To pewna, że dialekty dzielnicowe popadły w stan dewaluacji. Są jak człowiek przeniesiony z prowincji do stolicy i pilnie, świadomie pracujący nad ustoleczeniem akcentu i słownika. Wcześniej czy później grozi im zupełna zagłada na rzecz centralnego narzecza państwowego. I to nietylko w mo-

wie. W języku literackim również. Przykłady liczne u pisarzy, którzy przyjechawszy do Warszawy z dzielnicowym językiem literackim poddają się jej *octroi* bez szemrania.

Tem głośniej jednak szemrają inne prastare narzecza, opierając się niwelacji ich przez stolicę, która dąży do wyrównania różnic dialektycznych i wytworzenia tego, co uczeni zowią „średnią językową.“ Takie jest bowiem odwieczne prawo każdej stolicy. Prawo potwierdzone we Francji, Włoszech i Niemczech. Środków działania ma Warszawa, jak i tamte stolicy miały, bez liku. Ale to rzecz jeszcze długiego procesu.

*

Sienkiewicz, największy po Skardze pisarz z gleby mazowieckiej, tworząc swoją arcy-nowelę „Bartka-zwycięzcę“ kazał — nieświadomie zapewne — przemawiać temu chłopu z zachodniej Polski językiem swojej dzielnicy. Jadąc do Bukaresztu mijamy na granicy Śniatyń, który w istocie Śniatynem się zwie. Bełzec przechrzczono na Bełzec. To wszystko przykłady egocentryzmu językowego, objawy wpływu, jaki stolica wywiera na mowę i głosownię ogólnopolską. Ma do dyspozycji cały kompleks dróg i środków, są ścieżki, któremi wciska się niepostrzeżenie i są bite, specjalnie na

tę podróż budowane gościńce. Nie wszystkie jeszcze dobudowane do końca. Najważniejszym kanałem, który we wszystkich państwach rozprowadza zasady i przykazania dialektu centralnego — jest najpierw sieć urzędów państwowych. U nas? Budowa takiej sieci jest dopiero w zaczątku. Polski urzędnik używa narazie tajemnego pogwarku zlepionego z austro-rosyjsko-niemiecko-polskich fatalachów, który nadaje się dobrze na rebusy w pismach humorystycznych, ale z językiem ma niewiele wspólnego. A to jest rzecz dość ważna. Z chwilą powstania zjednoczonych Niemiec, urzędnicy odegrali największą rolę w stworzeniu centralnego narzecza mowy. Przenoszeni z jednego końca państwa na drugi musieli się przystosowywać do warunków, i tak topiąc w jednej całości napływy lokalne, wytworzyli średnią językową czyli język urzędniczy, jak mówi lingwista Palleske.

Gdy aktor polski zacznie dbać o wymowę centralną i używać jej porówni w Wilnie, Poznaniu, Łucku, Krakowie i Toruniu przyczyni się również do szybszego zwycięstwa średniej językowej. Stosunkowo najskuteczniej działa w dziedzinie ujednolicenia języka wojsko, potem kolej i szkoła.

Rozporządzenie ministra dało dymisję galicyjskim księżom katechetom, wprowadzając w całem

*** KTO ZWYCIĘŻY? ***

państwie księży prefektów. Okólniki kolejowe uczą ludzi nazywać jednakowo cały kosmos kolejowy.

We wszystkich tych dziedzinach spieszy z pomocą cała armia rewizorów z Warszawy, niosąc w najgłębsze prowincje ideał mody, obyczaju, słowa, frazesu. Choć czasem pełni rolę dentystów wyrządzających bez bólu zdrowe zęby z paszczęki.

Ileż ponadto ścieżek przeróżnych! Bo i odczyty w radjo i nuty w dancingu i codzienny napis na filmowej taśmie. Najłatwiej schodzi posiew wyrażen nowych, oznaczających nowe pojęcia (ekipy, lopy i różne inne detektory), dość gładko przenikają w głąb kraju ulubione parole Mazowsza; imperatywnie narzuca swoje nowości sport, kabaret i żurnal mód, pokornie służy językowi nocny telefonista w każdej redakcji, z którego słuchawki rozlażą się nocą na łamy dzienników potworne, cudackie wyrażenka stołecznego żargonu dziennikarskiego.

*

Czy jednak warszawskie narzecze jest istotnie ze wszystkich najlepsze, czy spełnia ono wszystkie postulaty wymowy doskonałej? Wymową doskonałą, czyli najlepszą nazywają lingwiści taką wymowę, która zbiera śmietankę z całego mleka

mowy, wyrównywa różnice dialektyczne, tępi nadmierne ich kaprysy i scala w jeden organizm, najbliższy dialektowi literackiemu a powszedy zrozumiały. Zależy to i od człowieka, który mówi, i od podstawy językowej, z której wychodzi. We Włoszech ideał wymowy wyrażono w znanym powiedzeniu: *lingua toscana in bocca romana* (język tokański w ustach rzymianina). O Paryżu wiadomo. Za najlepszą wymowę w Niemczech uznano akcent sfer kulturalnych w północnych Niemczech, ponieważ występują tam formy południowo-niemieckie w szacie fonetycznej północnej. Gdybyśmy tę zasadę chcieli przenieść na grunt rodzimy, to cóż należałoby zrobić? Musielibyśmy wziąć pełnej krwi warszawiaka, bez żadnych nalotów i posłać go na dłuższy czas na głęboką, chłopską wieś pod Turek, Kalisz, Częstochowę, Sieradz, Wieluń lub chociażby Piotrków, a więc do tej całej połaci biało oznaczonej na mapie narzeczy polskich. Po dłuższem życiu pod tym białym kloszem narzecza centralnego można by pokazywać ideał polszczyzny: *ecco lingua polacca in bocca varsaviana!*

*

Więc kto wkońcu zwycięży? Uczeni wiedzą doskonale. Powiadają, że zapewne owa uśmiechnięta tyranica weźmie władzę i prym. Do tego wszakże

czasu dużo jeszcze wody upłynie, zanim Wisła cała zacznie mówić po warszawsku, zanim się dokona proces unifikacji języka, i przestanie obowiązywać zasada, którąby w takie można ująć słowa: „Pokaż mi język, a powiem ci kim jesteś.“

*

Skoro mamy wszyscy od Bystrzycy po Notec zwarszawieć, weźmy więc już naprzód na zapas krótką lekcję języka warszawskiego.

Piękna jest w warszawskim języku jego rdzenna łączność z glebą, której dialekt warszawski zawdzięcza swą uroczą, zadziorną, dźwięczną barwę. Nieliczne ale znamienne są te właściwości dialektu stołecznego, przejęte przez stolicę wprost z piachów swoich nadwiślańskich. Należą tu w pierwszej linii owe o s o b o w e z w i e r z ę t a, powszechne na wschodzie języka wogóle. W zwierzyńcu poznańskim są trzy żubry i trzy lwy. Gdyby je przywieziono do Warszawy zmieniłyby się w trzech żubrów i w trzech lwów. „Artystce wypadło ze scenarjusza przytrzymać kilku rozbrykanych koni. Mam trzech pokojów do sprzedania, trzech wierzchowców do jeżdżenia.“ Dygasiński naliczył pięciu wilków w jednej noweli. We wsi ojczystej Żeromskiego śpiewało na górach „ze sześćdziesięciu słowików“, a nawet w mistyce Słowackiego sprzedają za grosz

czterech wróblików. Wszystko to kładzie Kraków ze Lwowem między błędy.

Jednym z sekretów i uroków wymowy warszawskiej jest ów przydatek wzmacniający dla bujności rytmu: jażem, tyżeś, myżeśmy urodzili się w Warszawie. Jakżebyśmy mogli gdzieindziej? Mógłby ktoś świadom rzeczy zarzucić, że tego dopingu używa również cały Śląsk i znaczna część Wielkopolski. Istotnie! nie mniej jednak właśnie w ustach Warszawy i z pomocą jej akcentu nabiera dopiero to słówko królewskiego uroku!

Darmo się jednak silić by te uroki wysłuchać i chwycić w artykuł prawa. Można tylko łowić uchem laika i zgrubsza zapisywać niektóre odmiany składni, wymowy i wyrazownictwa.

O wiele więcej rzeczy można w Warszawie kupić i odkryć: kupić można nietylko mszę żałobną, kolację ale też szklankę wody sodowej, odkryć można butelkę i list, które się gdzieindziej otwiera. Warszawianki kupują w składzie aptecznym proszek od bólu głowy, wianek z mirtą biorą do ślubu, rubeljansa zamieniły na złociska, i konstatują znowuż, że wart on mniej od złotówki. Chodzą pieszo w rynek do razury i siadają do figury w pociąg, który wyrabia opóźnienie. I płacą pieniędzmi, których im wszak nie starczy na lan-

drynki. Klarują nieustannie coś, trajlują i ganiają z dętką. Brezent w prezencie, czy prezent w brezencie.

Warszawę poznasz zawsze po jej oddzielnosci. Jeżeli Pani mieszka sama, to znaczy, mieszka oddzielnie, w Galicji natomiast z reguły osobno. On nie ma pieniędzy — pisze się w Warszawie oddzielnie, w Małopolsce osobno. Przyciśnięty do muru Galileusz powoła się na wielowiekową tradycję i wskaże biblję Leopoldity (*1523) tłumaczącego *separatim* = osobno. Warszawa natomiast wylegitymuje się listem Mickiewicza, który pisał do Odyńca: „Wallenroda trzeba oddzielnie drukować“. Obie legitymacje ważne.

„Ożeniłem się na Mazowszu, wziąłem w posagu tsy ćwierci owsu“. Tak zostało jak się śpiewało. Z Nowego Świata do młynu, do pucu i do luftu. Kiedy Słowacki powie o Bogu, co z Mojżeszowego wychylił się krzaka i zapytał jaka? — zecer mazowiecki (jak mi się to zdarzyło) zmieni rym na krzaku, a tego dopełniacza użyje nietylko doreżkarz i biedołałach ale nawet wysoka kultura, która w salonie jak ognia strzeże się wychodzenia drzwiami i oknami.

Warszawa odznacza się większą zwrotnością czasowników. Dzieci słuchają się matki, garnki kopcą



się na kuchni. Znaczy się, muszę się zostać w Płocku. Dowidzenia się z państwem. Są to — gdyby się ktoś pytał — drobiazgi, ćwierć-słówka, ale tak przyrodzone i wrośnięte, że ich żadna siła nie wygluzuje z codziennego zasobu słów.

Szczególną rozpiętością cieszy się w dialekcie warszawskim przysłówek g d z i e, posyłany na zastępstwo w miejsce zaimka: k t ó r y, przysłówków: b o, s k o r o, k i e d y. Warszawa lubi bardzo mianowniki w orzeczeniu, jej szofer był murzyn, jej ojciec był radca. Mówilem panu wszak... Czy tam niema czasem błędów? Są akta, instynkta, projekta, procenta, bileta i manewra. I tysiąc innych powiedzonek, rozjeżdżających się na prowincję każdym pociągim z warszawskiego dworca.

*

Inaczej też poczynają sobie u Lursa z czasownikami. Stwierdzić to można we wszystkich dziedzinach życia. Na targu np. w Warszawie masło zdrożało ale zato cukier staniał, w Małopolsce inaczej: cukier potaniał a masło podrożało. W sądzie: człowieka który się upodlił oskarżamy w Warszawie przed sądem, we Lwowie natomiast nazwą go spodlonym i zaskarża do sądu. Uwalasz się w Saskim Ogrodzie, ale powalasz na Plantach krakowskich. Polejesz się

winem w Bristolu, ale oblejesz u lwowskiego Żorza. (W Wilnie nie piłem wina u St. Georges'a, więc nie wiem.) Na Mazowszu ołysiejesz zanim ukopiesz kartofli tyle, by starczyło na wyprzedaż. Spróbuj tego samego w Rzeszowie. Wyłysiejesz zanim wykopiesz i też ci nie wystarczy na wyprzedaż.

Warszawianka mówi: Za kwadrans ósma! muszę uprasować sukienkę, zdarłam buciki i zesmażyły mi się maliny — Krakowianka odprasowuje suknie trzy na siódmą, a martwi się podartym bucikiem lub *przesmażonemi* konfiturami. W Poznaniu o pół ósmej już dawno zjedli obkład na kolację. Warszawianka częściej — ywa, Małopolanka raczej — uje. Pluje, wykonuje i podsłuchuje, gdy tamta spluwa i podsłuchiwa!

Co z tego wynika? Uczeni, o ile się tem zajmą, pochwycą zapewne te przejawy w karby jakichś ustaw, a w każdym razie stwierdzą z odpowiednią powagą, że w dialektach Krakowa i Warszawy istnieją odmienne tendencje w stosowaniu przedrostków do morfemy głównej słowa. Mnie się widzi, że Warszawa formuje czasowniki zgrabniej i zręczniejsz jakoś przylepia do nich te rozmaite przedrostki. Ujawnia i tu najwięcej polotnego wdzięku, czasem nawet więcej dokładności. Tam gdzie war-

szawiaikom wystarczy jeden syk przez zęby, jakieś *z* czy *s* lub jedno krótkie *u*, *o*, dodane na czele morfemy, tam Małopolanin wali zaraz gromko cały przyimek. A już szczególną predylekcję odczuwa Galicyjak do *wyków*: *wyłączna* i *wystarczająca* *wysprzedaż*! Warszawiak natomiast ujawnia raczej sympatię do wszelakich *poczynai*. Proszę zwrócić uwagę na to, co robią panie na Nowym Świecie? Pośmiawszy się chwilę, popłaczą i pojedzą momencik, poławiają plotki, poczesują włosy, i — daremniebyś szukał dalszych określeń na ich miłe czynności.

*

Jeszcze jest jeden taki czarodziejski wyraz, który może też spełniać rolę przewodnika po dzielnicach. Nieraz się nim posługuję. Jeśli mi ktoś powie dzisiaj, że musi się wziąć *za* francuski, albo *za* geografję — poznaję odrazu, że to „Kongresówka” w złym gatunku. Gdy przeczytam o kimś, kogo znają *za* uczciwego człowieka — wiem, że to musiało wyjść z ust pisarza warszawskiego starszej daty. Natomiast *za* stróża służyć można tylko we Lwowie, a tramwaj może *za* mną czekać jedynie w stolicy Wielkopolski. Czyż nie czarodziejski przyimek? I czy nie warto zamysśleć się czasem nad temi sprawami?

*

Bo trzeba się z tem liczyć, skąd kto przyjechał do literatury. Winicjusz i Marynia Polaniecka z Warszawy, Krzysztof Cedro z gór Świętokrzyskich, Chochół z ziemi krakowskiej, nawet Faraon i Skrzetuski urodzili się na Marszałkowskiej. A dzieci Fredry? taże wy Lwowie.

Ciekawym przykładem trwałości wpływu ojcowizny czyli tej podstawy językowej, z której człowiek wyrósł, może być Zygmunt Krasiński. Tyle lat spędził zagranicą, tak rzadko bywał na swem Mazowszu, tak twórczo odnosił się do języka, a przecież cech gwarowych nie zatracił. Głosy *skądś* mówią do Hr. Henryka: „dramat układasz“, na chrzciny Orcia przysposabia cukiernik kilka *tort*, rzeźnicy pracują w *szlachtuzie*. „Wchodzim wreszcie“ — pisze poeta wstępując z Delfiną Potocką do kopuły św. Piotra. Gdyby Żeromski był Galicjakiem dziubałyby nas kruki wrony, gdyby Mickiewicz był Poznańczykiem wołałby niezawodnie: Tam dotąd sięgaj, gdzie wzrok nie sięga! Sienkiewicz urodzony w Krakowie nie siadywałby na werendzie i nie *pałił* lampy. I Rejent też nie mógłby powiedzieć: „Panie majster proszę waści przyzwoicie, grzecznie, ładnie“, bo cech mistrzów mularskich w Poznaniu zaprotestowałby przeciw obrazie. Młody Żeromski pisze w listach do narzeczonej: „zapomnia-

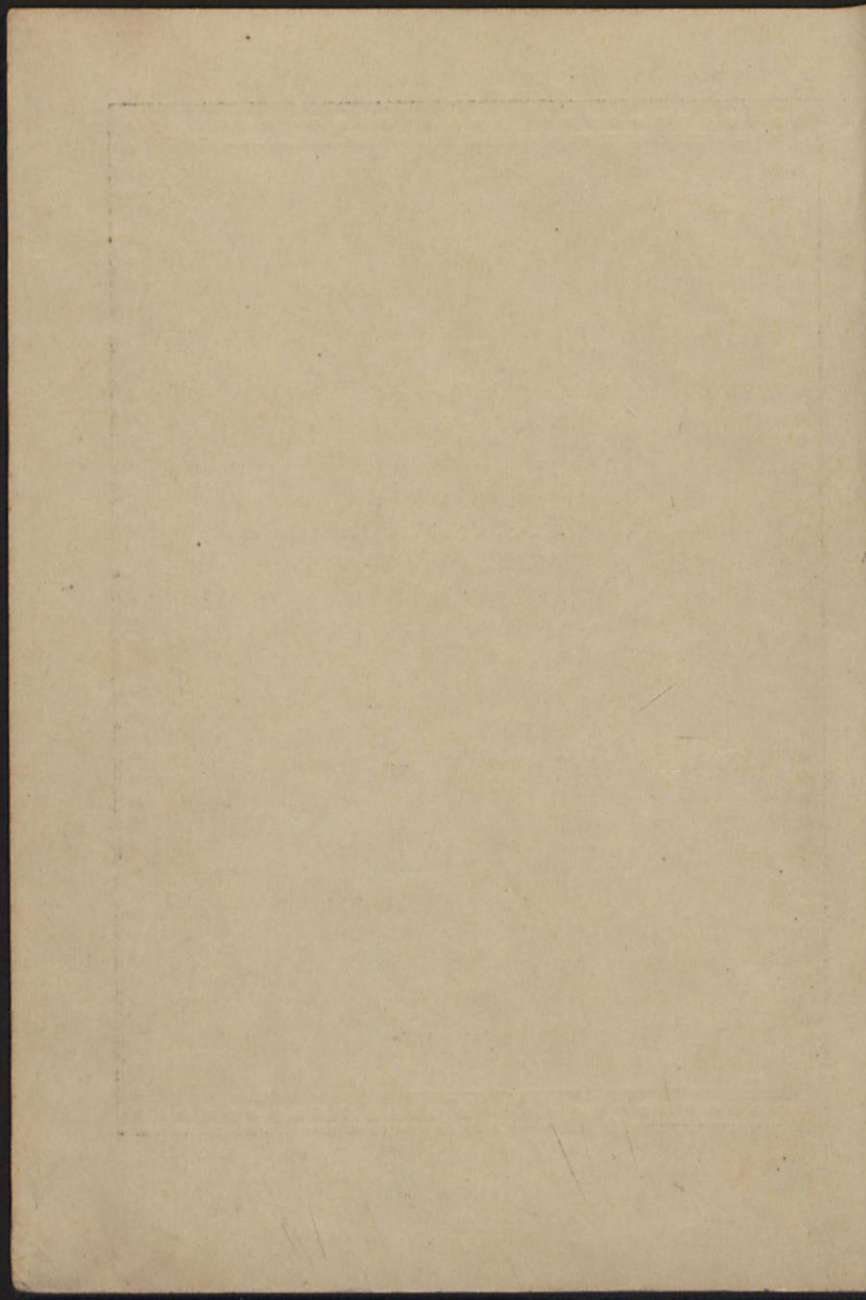
łem biletu na banhofie lwowskim“. Wyspiański byłby zapomniał bilet na dworcu lwowskim, bo wyrósł z podstawy językowej małopolskiej.

— A czemu Staff w takim razie — proszę pana — jest taki od stóp do głów warszawski w swoich przekładach? U niego ludzie kasłają i piszą w kajetach i skądś wsiadają w tramwaj!

— Ale równocześnie małopolski, droga pani, bo rozdzióbują kościółki. Tu należy też Makuszyński, który w „Bezgrzesznych latach“ chadzał we Lwowie na paradyz, chociaż tam bywała tylko jaskółka, obrywał w szkole warszawskie pały zamiast gali-cyjskich dwój, a kucharce kazał siekać mięso na kotlety, jakkolwiek we Lwowie siekane mięso nazywa się od stworzenia świata — sznycłem.

Wszystko to są koncesje dzielnic na rzecz dialektu centralnego. I dzieje się wedle prawa dżungli językowej: pisarze ci wprowadzają stołeczne prowincjonalizmy Warszawy na rynek ogólnolite-racki.

PIGMALJON Z GONTYNY



Spór idzie oddawna na temat, gdzie się właściwie urodziło to wszystko, co nazywamy kulturą polską. I kędy szukać jej pierwocin: nad Gopłem czy pod Wawelem. Czy to już wtedy za Rzepichy wszystko się odrazu tak mówiło i pisało, czy dopiero później za Śmiałego króla w Krakowie? Nagwałt szukano odpowiedzi, skąd biorą początek najstarsze zabytki pisane, owe kazania świętokrzyskie i gnieźnieńskie, gdzie urodziły się pierwsze rymy i śpiewanki, słowem kto Poznań, czy Kraków, ma prawo mówić o sobie: my pierwsi itd.

Siła uczoności zasiadła do roboty z teleskopami. Codziennie od ósmej do pierwszej w bibliotece. Jeden bobrował latami w archiwach, drugi wgryzał się w okładki starych pergaminów lub kamień łupał, szukając odpowiedzi w architekturze. Jak koty w nocy, rozszerzali ślepią w ciemnej zawczorajszosci. Aż rozkosz była patrzeć, jak się za łby wodzą tużycie ciężkomądre, waląc każdy taranem swej mądrości w nieskory mur.

A potem przyszedł trzeci człowiek i... nawet nie zajrzał do biblioteki. Z babami wołał gadać, obłąkaniec, i nad brudną kołyską dziecka chylał się raczej niż nad wspaniałym inkunabułem. Tamci suszyli się nad szpargałami, on siadł se w słońcu, na gnieźnieńskim wysokorolnem polu. I słuchał. Jak biegły telegrafista, jak stary kłusownik karpacki przyłożywszy ucho do ziemi wymyszkuje na zasiadce kozła o milę — tak i ten oryginał najpierw słuchał pilnie jak mówią ludzie żywi, a potem łowił uchem dźwięki mowy umarłej przed tysiącem lat. Porównał jedno z drugim i rzekł:

— Kolebka kultury polskiej stała nad Wartą! bo najstarsze zabytki pisane zgodne są z dzisiejszą mową wielkopolską a różne od małopolskiej.

— Gdzie masz na to dowody? — zakrzyczeli go tamci z biblioteki — dowody na jednogodność mowy dzisiejszej i przedwiekowej?

— Posłuchajcie — rzekł im wówczas — język literacki powstał przed wiekami z języka mówionego, a mógł powstać tylko tam gdzie Piast z Rzepichą czekali na wysłańców bożych. A więc nad Wartą. Pod Wawelem wyglądałoby to inaczej: Piast z Rzepichą czekałiby na wysłańców bożych. Innemi słowy: o kolebce polszczyzny rozstrzyga

szepleniąca właściwość mowy zwana mazurzeniem, której brak na zachodzie Polski, a zatem...

Zatem zabił im klina w głowę, nad którego wydobyciem odtąd się trzudzą. Oby jak najdłużej! Bo to jest taki wielki problem, który niechajby pozostał na zawsze w mgłę i niewiedzy! Wielkie rzeczy, początki wielkich spraw mają często w herbie dewizę: *dicitur*. Ze szkoły wiemy. *Homerus caecus fuisse dicitur*. I siedm miast się spierało. O Szekspirze też właściwie nic nie wiadomo. Więc niechby i to nasze pytanie naczelne: Gopło czy Wawel? pozostało bez odpowiedzi. *Dicitur*.

Lecz kto jest ten człowiek dziwny, który słuchem zwyciężył, właściciel znakomitego radjo-odbiornika w małżowinie usznej, laureat w biegu: Poznań — Kraków. Postać jego, mało znaną szerszemu ogółowi, objaśnimy przez pojęcie bliższe, bardziej swojskie. Jest to polski... profesor Higgins. Bohatera „Pigmaljona“ B. Shaw'a pamiętają chyba wszyscy. Onże genialny fonetyk, który kwiaciarki zmieniał w księżniczki, a tak świetnie klasyfikował ludzi słuchem, że wiedział nietylko z którego miasta kto pochodzi, ale nawet w której dzielnicy Londynu się urodził. Nie wiem czy prof. Kazimierz Nitsch w Krakowie (Gontyna 12) odznacza się i w tej mierze talentem, wiem natomiast,

że lord Nitsch na długo przedtem, zanim lord Curzon wymyślił sławetną swoją linję, zanim wielu ludziom śniło się o niepodległości i dostępie do morza — przewędrował od końca do końca cały obszar mowy polskiej, przesłuchał, przenotował i przeznał nawylot wielkie gwary i małe pogwarki, był na Mazurach i Warmji, spenetrował Kaszuby i Śląsk. To jeden z tych kilkunastu ludzi, którzy bez blagi mają prawo powiedzieć o sobie z Januszem:

Bylem w Litwie i w Kownie
Bylem w tej i w owej stronie
byłem tu i tam

Od Beskidów do Pomorza
Z Litwy aż do Zaporozża
całą Polskę znam!

(Zabawne byłoby swoją drogą, gdybyśmy tak zaczęli i inne zakłamanie dziś docna wersety romantyczne urzeczywistniać — dosłownie!)

*

Najwięcej lubię takie umiejętności, których mnie nie nauczyła nienawidzić szkoła. Takie, których na szczęście nas tam nie uczono, dlatego, że nie chciano, albo dlatego, że ich jeszcze wogóle na świecie nie było. Są to umiejętności przyjemne, łączy się w nich cała masa rzeczy i rozmaite odległe dyscypliny podają sobie ręce do współpracy. Lubię tedy pasjami oglądać sobie mapy Romera,

które mię uczą, ile gdzie jakich kopalin jest w Polsce, opowiadając barwami, kółeczkami, kreseczkami. Uczę się wzrokiem, jak w kinie!

Na półkach tak sobie książki ustawiam, że pewnie dziwią się i sarkają. Stoi tam dzieło prawnicze obok literackiego, a historyk sztuki sąsiaduje z geologiem, o ile wszyscy omawiają ten sam temat. Przepadam za takimi romansami jak np. historia drzew. Dajmy nato dzieje jodły i jej rozmieszczenie od początku świata do dziś. To zabawniejsze od historii damy wytwornej w 18 wieku. A geografia słów. Zaraz zobaczymy.

Geografia językowa, którą u nas rozpoczął Pigmaljon z Gontyny, zajmuje się bardzo ciekawą kwestją rozpowszechnienia nazw i znaczeń, bada rozmieszczenie słownictwa i na tej podstawie wysnuwa wnioski o stosunkach zachodzących pomiędzy narzeczeniami poszczególnymi. Bierze się więc szereg nazw przedmiotów z dziedziny kultury materialnej, np. budownictwa, gospodarstwa domowego i bada, czy wyrazy te tworzą zespoły, czy występują razem na tem samem terytorjum i jaki jest ich zasięg? Czy odpowiada granicom narzecza, czy może jest wspólny kilku narzecdom razem? Czy da się zauważyć powinowactwo w ich rozpowszechnieniu, jaki jego stopień? Podpatrzone po-

winowactwo łatwo już potem ująć w cyfry i przedstawić zapomocą wykresów. Antropologja, dla której takie wiadomości okazały się bezcennem źródłem, stosuje w tych obliczeniach tz. współczynnik asocjacji Yule'a i dochodzi do ciekawych wyników. Czasem odkrywa nawet nowe nieznane prawdy naukowe, tak jak astronom przy pomocy obliczeń nową kometę. Kto się przegryzł i rozejrzał w Czekanowskim: „Wstęp do historii Słowian“ (Lwów, Jakubowski 1927) trudu nie pożałuje i — przyzna mi rację.

A jak się powinno mówić ten kometa, czy raczej ta kometa? Zapomocą geografji wyrazów rozstrzyga lingwista rozmaite wątpliwości tego rodzaju. Więc np. wątpliwość co do rodzaju cienia, rozmaicie występująca w gwarach, chociaż niewątpliwa w języku literackim. Geografja wyrazów przeczy odrazu: Na rdzennie polskim obszarze występuje ta cień około 40 razy (Wielkopolska, Pomorze, Mazowsze), natomiast męski cień spotykany wszędzie na Śląsku i w Małopolsce.

Za przykładem tej nowej dyscypliny może pójść snadnie każdy śledziennik ilekroć gnębi go niepoprawność. Prostu przejść wszecz i na krzyż Rzeczpospolitą od Karwji do Ławocznego, od Wilna do Sosnowca i — sprawa załatwiona!

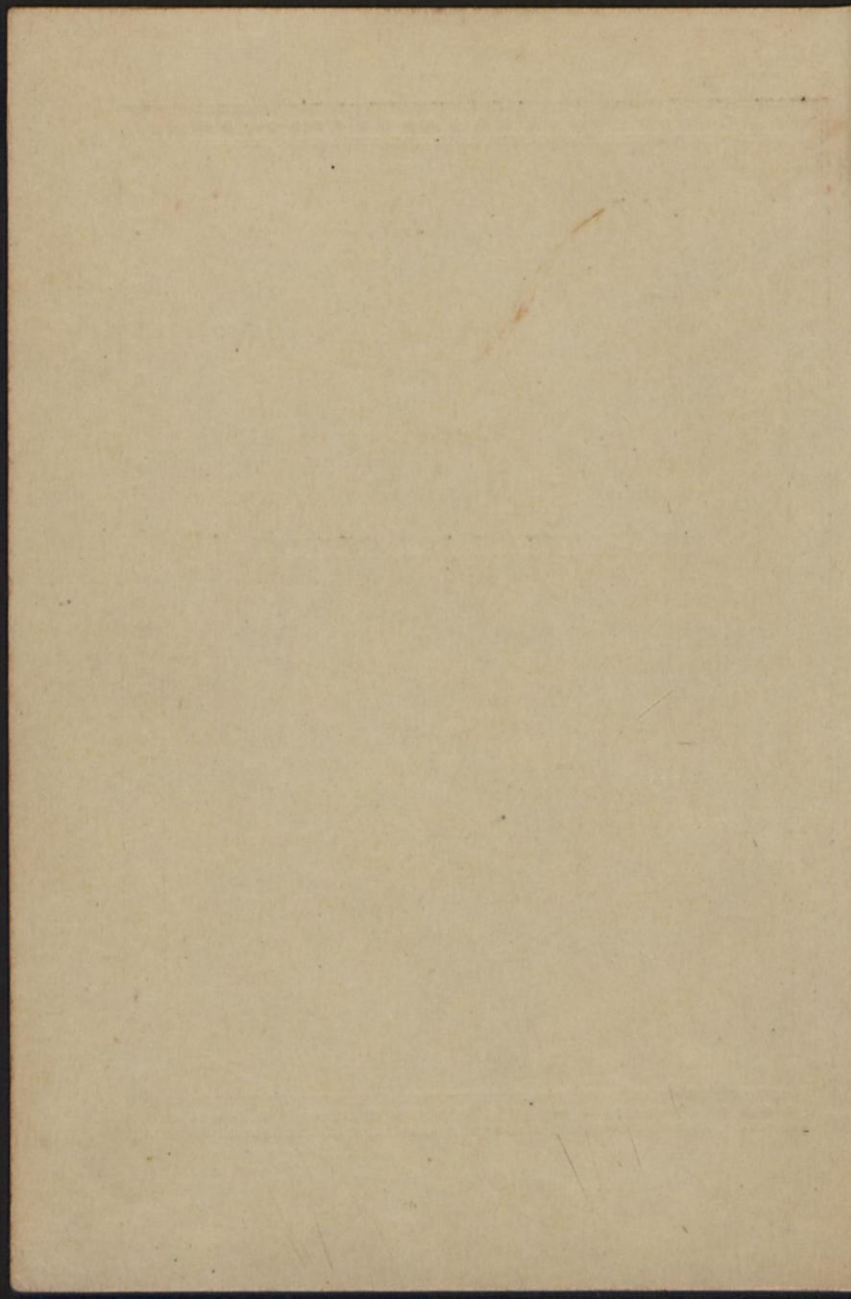
A gdzie mieszkali pierwotni Słowianie? Odpowiedź na to daje — botanika. Argumenty botaniczne zajmują w dyskusji nad lokalizacją praojczyzny Słowian bardzo poważne miejsce. Z chwilą gdy zwrócono uwagę na to, że Słowianie dla oznaczenia nazwy drzewa bukowego używają słowa niemieckiego — wysnuto stąd wniosek, że buków u siebie nie mieli, więc praojczyzny Słowian szukać trzeba tam, gdzie buk nie rośnie. Natomiast znali Słowianie, bluszcze, graby i cisy, więc można przypuszczać, że „praojczyzna Słowian znajdowała się wewnątrz granic wyznaczonych temi drzewami na wschodzie, a bukiem na zachodzie.“ Czyli tam gdzie niema buków, a jest grab, cis, bluszcz, stała kolebka słowiańszczyzny.

Ale wróćmy do Pigmaljona zajętego obecnie taką właśnie, może niezupełnie bagatelną kwerendą. Wędrując wsiami i miastami pyta wszędzie o nazwy tego ptaka domowego, co pieje i tego żółtego gwizdzącego na deszcz kruka. Zapisał z 500 miejsc odmiany nazw koguta a z 300 miejsc nazwę wilgi-wywiłgi. I tysiąc innych rzeczy zrobił. Za te wszystkie robótki, upamiętnione też przez Żeromskiego w „Przepióreczce“, godzien byłby Nitsch pomnika i też — sam go sobie stawia. Pigmaljon z Gontyny podjął niedawno pracę nad dziełem

jakiem się tylko Włosi i Francuzi szczycą. Rozpoczął ze sztabem młodych niezłatek przygotowania do *Atlasu języka polskiego*. Będzie tam na tyśiącu map wyrysowane i policzone gdzie, ile i jakich mamy u nas w obiegu słów. Praca olbrzymia a potoczyłaby się żwawiej, gdyby do pomocy Nitschowi stanęły te wszystkie języki ludzkie, co się strzępią wykpiwaniem całujrączek galicyjskich albo ździebków wielkopolskich czy landrynek warszawskich.

Równocześnie w Ameryce instytut Carneggiego podjął trud sfotografowania i obliczenia wszystkich milionów gwiazd w gigantycznym *Atlasie nieba*. Zamorski astronom ma łatwiejsze zadanie od krakowskiego uczonego, któremu w pomoc nie idą ani kapitały ani chętna współpraca społeczeństwa.

AKO-MANJA I JEJ SKUTKI



Takiego wstępu napędziła nam ongi szkoła do wszelkich spraw językowych, że uciekamy od nich ze strachem człowieka średniowiecznego, który, bijan tego przez bakalarzy za błędne pisanie, wołał: „Strzeż się gramatyki, bo ten zwierz krwi chciwy odgryzie ci się po zbójceku za każdą krzywdę.“ (Przyklasną dziś temu i żaki szkolne i paniusie anty-ortograficzne.)

W istocie jest wprost przeciwnie: Język to nie zbójca żarłoczny, lecz raczej kokietka chybka, nigdy syta nowości, polatująca ich śladem bez tchu. A gdy od tej strony spojrzymy, nuda pierzchnie. Śledząc modę w języku, dowiemy się, o czym każdy zresztą i bez tego wie, że np. każda epoka ma swoje modne słowa. Każdy rok i miasto. Ale żeby tylko same słowa, toby jeszcze łatwiej pojąć. Jest inna moda trwalsza, sięga aż w głąb budowy wyrazów, dociera do wnętrza ich tajemnicy. Moda na końcówki. Z końcówką słowa tak samo, jak z obkładem w smokingu u pana, albo głębokością dekoltu

u pani. W pewnych okresach rozwoju swego ma każdy język skłonność i sympatię do tych właśnie, a nie innych zakrętasów na końcu wyrazów, do takiego, a nie innego „formowania wygłosu“ słowa. Bywają te zakończenia mniej noszone lub więcej używane, raz produktywne, a więc żyjące i okazujące pęd rozwoju, albo też nieproduktywne, śnięte, martwe. Weźmy takie słowa jak choroba lub krzywda. Nic one do nas nie mówią, prof. Ułaszyn natomiast dojrzy w lot, że zarówno krzywda jak choroba rażąa kończeniem (—oba, —da) przestarzałem, uwiedłem, niemodnem poprostu. Już — ota jest produktywniejsza (głupota). Albo jeśli dodasz do psa, chłopca, czy krowy przyrostek -ina, to one w tej chwili nabierają barwy współczucia, sympatji, lub pieśczoćliwości i powstaje chłopczyzna z krowiną i psiną.

Te papierowe, zdawałoby się, spostrzeżenia mają pełny walor w życiu codziennem. Moda końcówek w słowach jest trwalsza od wszelkiej innej. Trwa wiekami, a czasem i bez wieków. Niewiadomo kiedy się rozpoczęła, niewiadomo kiedy skończy, wiadomo natomiast, że była, jest i będzie trwałą, niezmienną właściwością pewnych okolic.

A gdzie są w Polsce najmodniejsze, najbardziej ożywione końcówki? Gdzieżby, naturalnie w War-

szawie! Językoznawcy godzą się, że do najbardziej ruchliwych sufiksów należą — aki. „Obdarzamy tem zakończeniem — cytuję prof. Łosia — mieszkańców miast lub prowincyj, nazwy nalewek i win, a wreszcie nazwy istot żyjących, którym ten sufiks nadaje znaczenie ujemne, pejoratywne, (bydlak, psiak, cielak), lub pobłażliwe (dzieciak, chłopak).“

Otóż Warszawa nietylko stosuje tę zasadę w całej pełni, lecz przyczepia swoje „aki“ z pasją wszędzie, gdzie się da. Ma dla tej końcówki zupełnie szaleńczą, nużącą wprost predylekcję. Proszę uwzględnić już samą nazwę mieszkańca stolicy. Są krakowianie, lwowianie i — warszawiacy. (Tygodnik „Warszawianin“ z początkiem 19-go wieku utknął po miesiącu z powodu niewłaściwego tytułu za pewne). Dalej: Po podwórzach całej Polski pętają się kurczęta, prosięta i cielęta. Mazur nie znosił ich nigdy, uznając wyłącznie kurczaka, prosiaka, cielaka i inne podobne zwierzaki. Zwierzęta rosły w innych okolicach. I dziewczęta też. Gdy Makuszyński zaprasza w „Piosenkach żołnierskich“:

Zajdź do mnie kiedyś smutny sam
Dostaniesz urlop w święta
Piosenkę znajdę, wino mam
I zbiegną się dziewczęta.

to mu nie wierzcie, bo na Marszałkowskiej znajdzie tylko dziewczynki, a o milę od niej wsiowe dziewczaki, które zresztą zmieniają imię, zanim wejdą do miasta. Mazowsze nie uznaje zasadniczo stworzeń boskich zakończonych na ę. Mieszkają one na południu Polski, wdół od Warszawy, Łowicza. Granica wydeptana przez lorda Nitscha biegnie lewym brzegiem Wisły.

Wsluchajmy się na chwilę w gwarę Warszawy, aby sprawdzić, że ta akosympatja przeszła w krew i kość jej słownictwa i uderza natychmiast nawet w ucho laika. A więc: Do szkół chodzą uczniaki, w Bristolu znajdziesz „pikolaki“, w zbożu kwitną modraki. Buziaka dostaniesz napewniaka od kociaka, „czerwoniakiem“ poczęstuje cię łobuziak. Żydłaków i Litwaków szukaj na Nalewkach, weliaków w Łowiczu. Jak studenci na czwartaku tak fornale — w całej Kongresówce zresztą — mieszkają kupą na czworakach, choć bywa też czasem, że kończą w mieście: w osobniaku na dożywotniaku. Mało jeszcze? Proszę dalej: Pawiak dlatego, bo na Pawiej, drabiniak, bo wóz z drabinami, okrągłaki są w Łazienkach, żrebaki i cielaki na futra dla pań, psiaki siedzą w drewniakach, brzeźniaki na letniakach, a wreszcie Krzyżaki na Polakach, od kiedy sprowadził nam ich na kark najstarszy warsza-

wista — szanowny Konrad z Mazowsza. A i później reszta Polski naśmiewała się z Mazura, że on nawet zęby nazywa gryzakami, szablę szarpakiem, a pistolet gdakiem. Judasz Mazowiecki sprzedał Zbawiciela za „srebrniaki nędzne“, żydzi już u Niemcewicza zowią się pejsakami, nawet powszechno-polski majdan zakręcały Mazury po swojemu na majdaka.

Ale dość już, bo to może wywołać wrażenie, że Warszawa zagarnęła monopol na wszystko, co się temi trzema literami kończy. Tymczasem nie każdy Królewiać cwaniak: Przecież Wielkopolska pełna jest po brzegi przeróżnych Antkowiaków, Frąckowiaków i Maćkowiaków. Co trzeci człowiek wygłasza się tu „akiem“. Przecież zarówno bliźniaki z czyrakami, jak wieśniaki z żylakami krzewią się bujnie na całym obszarze języka, a kartolupy małopolskie zaiste nie pod wpływem Warszawy idą na „musaka“ pod „rabaka“. Więc w porządku.

Mówilem wyżej: nauka stwierdziła, że te „aki“ to mikroby powszędy ruchliwe i produktywne, a jeden z uczonych, A. Gawroński, stwierdziwszy gdzieś, że w Krakowie żołnierze nazywają karabin maszynowy „maszyniakiem“ dodaje z uciechą: „tu już pracuje pocucie językowe polskie.“

*

Nietylko aki są modne w Warszawie. Mamy tam jeszcze inne owce i ówki, ary, arze i arki. Paskarę, plotkarę czy kucharę, flirciarkę i papierosiarękę spotkasz co krok. Tuż za nimi kroczą reprezentanci „owiec”: wykładowcy, kierowcy, zawiadowcy i rozmowcy, którzy gonią w cyklistówkach taksówki ze złotychkami.

Pięściarze są szczęściarze a kinjarze spryciarze. Pojedzie w watówce na majówkę, nie schowa sznurówek do lodówki. Gdzieindziej nie znajdziemy „ówek” w takiej ilości. Zastąpią je majowe nabożeństwa, sznurowadła i lodownie.

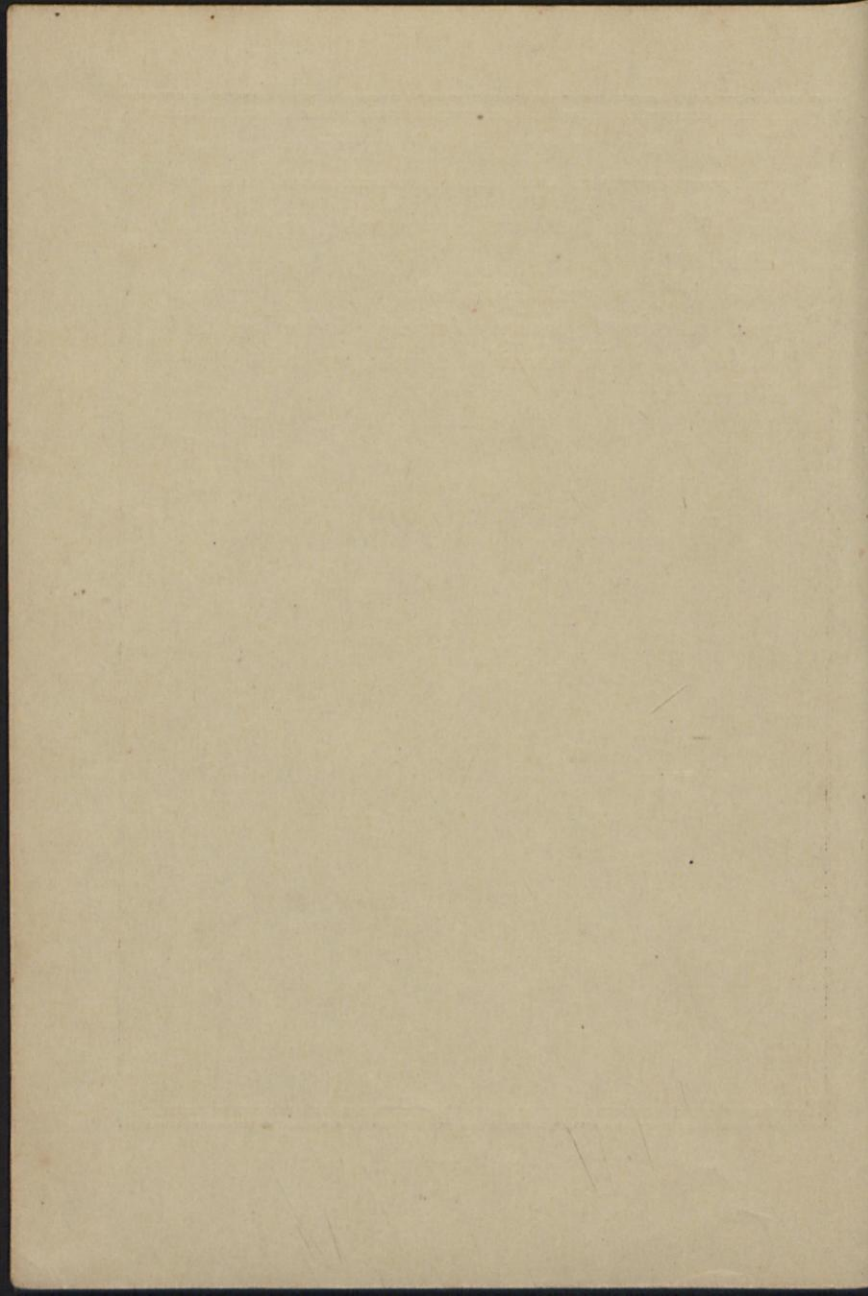
Potrochu przebija się nawet usposobienie ludzkie w tych sympatjach końcówkowych. Więc w Poznaniu są śniadalnie i kąpielki, przeżalnie i rojalki, apolki, śniadalki, salki i pralki, są kruszonki, święconki i strzemionki — wogóle tendencja do praktycznych a wyrazistych, może mniej uroczych ale jasnych „alek”, „onek” i „alni”.

A Lwów? W mowie lwowskiej Piotryk jada placyk z czosnykiem, we Lwowie miejsce wieszaków zastępują wieszadła, są wprowadzie „fifaki”, ale Antek lwowski zowie się raczej hołodrygą i batiiarygą, szwedrygów i dziadygów wszędzie pełno, mamalyga jest potrawą regionalną. Kon-

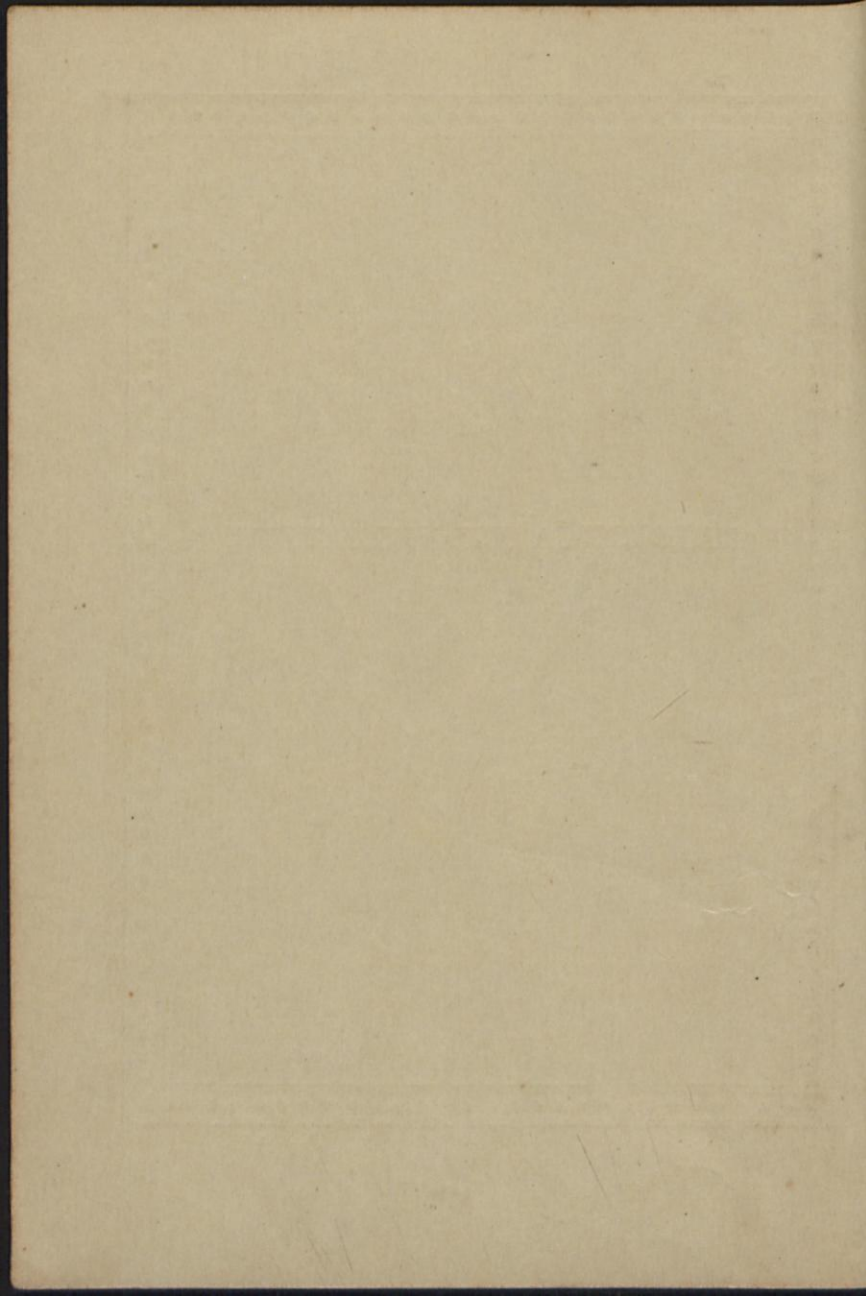
* * * AKO-MANJA I JEJ SKUTKI * * *

kluzja: Lwów lubi sufiksy twarde, grube i dosadne.

To byłyby ważniejsze okazy ze zwierzyńca tych zakończeń mowy bieżącej, które są dziś w modzie, czyli okazują żywszą prężność i zachłanność.



TAJEMNICA JEDNEJ LITERY



Zwyczajny zjadacz chleba musi się niemało nalabiedzić, gdy zechce odgadnąć, skąd bogi wiodą niewiastę wczoraj poznaną, z których kresów, z nad jakiej rzeki i stolicy. Językarzowi łatwiej. Rzuca on pytanie: czy panie mają krótkie sukienki na dancing? I dowie się odrazu, skąd panie pochodzą. Bo ta która odpowie: „mamy krótkie sukienki na dancing“ jest niezawodnie Warszawianką i to taką rdzenną, która zaparła się świadomie swego codziennego kie-gie, a spółgłoskę w złożeniu ng wymawia typowo po warszawsku. Gięś z Kiercelaku albo genś z Kercelaku. Każda spróbuje, żadna nie trafi.

Jeżeli mi żona moja odpowie: „A to tragedia, wszystkie sukienki za krótkie! lub krzyknie przy kartach: mam króla ker — to spostrzegam, że jest również Warszawianką, rodowicie, po mazowiecku niewprawną w owym nieszczęsnym problemie: kie-gie czy ke-ge? Popadła tedy w drugą ostateczność. Warszawianka pisze zawsze na papierze w kratkie

albo w kratkę, nigdy w kratkę. A kiedy powie: „o! snop jedzie,” to nie zgadniesz kto taki na wozie: snop czy snob?

Zupełnie inaczej reszta pań z innych okolic. Wszystkie odpowiedzą chórem na zadane pytanie mniej więcej tak: Mamy za krótkie sukienki na dancing, bo jesteśmy panięki. Lingwista atoli bada dalej; obserwuje uchem nietylko panienki z okienka w całej Polsce, ale stosunki jakie ludzie mają z bankami, grzebie w koronkach, nawet gra w ping-pong i zajada szynkę. I znów widzi, że ta panienka warszawska wyglądająca na dancingu zupełnie normalnie — *wie es im Buche steht*, jak napisane — ma teraz również normalne stosunki z bankami. Normalne *tz.* przyłożyła dla ich wyrażenia koniec języka do zębów i wypowiedziała czyste: *n*.

Nienormalnie zachowują się Kraków z Poznaniem: zamiast przykładać koniec języka do zębów, przytykają tylną jego część do podniebienia miękkiego z czego powstaje dźwięk taki, jak w angielskim *song* lub niemieckim *sing*. Pisownia staje wobec tego dziwa bezradna, nie umie znaleźć znaku na wyrażenie tego brzmienia i musi stworzyć nowy. Jest to *n* z zakreconym ogonkiem, jakie rzadko napotkać w kasztach drukarskich.

W Krakowie i Poznaniu zupełnie inne niż w Warszawie panują stosunki. Są banki, koronki, śpiewają skowronki, jest też odrębny od warszawskiego dancing. Nawet miła powieść Deotymy nazywa się tu inaczej: Panięka z okiłka lub coś około tego.

Z owem *n* jest sytuacja zupełnie szczególna. Zdarza się ono dość rzadko. Trzeba do tego, aby podniebienie miękkie posunęło się naprzód i zbliżyło do tylnej części języka, wtedy powstałe zwarcie tych dwóch narzędzi zamyka jamę ustną i prąd przechodzi wyłącznie z jamy gardłowej do nosowej.

Ale wróćmy do pracowni lingwisty, bo on tam czyni dalsze doświadczenia: czyni z uwagą wielką, aby schwytać objaw cenniejszy od panienek z okienka, rzecz istotną, graniczną. Z pozorów głupstwo! Wskazuje nam „leżący pieniądz“, albo „brata rąbiącego las“, czy „nowy obraz“, nareszcie prosi, abyśmy powiedzieli „czas odjeżdżać“. Wszyscy jak jesteście! Poznańscy, Warszawiaci, Krakowianie. A on słucha i zaciera ręce, bo odkrył dyferencję zabawną.

Bo oto:

Poznań z Krakowem powiedzą zgodnie: bratrodzony laźrąbie jagnigdy i wydadzą (zbyteczny zresztą) okrzygadości:

Warszawa wybrzmi inaczej, lżej i powiewniej: wyda okrzyk radości widząc, że brat rodzony las rąbie jak nigdy. Warszawa powie również: czas odjeżdżać, pieniaćleży. Kraków z Poznaniem zabrzmia wówczas: czaz odjeżdżać, pieniądz leży.

Wysłuchawszy się uważnie stwierdzimy, że w pewnych wypadkach krtanie Poznańczyków i Galicjaków dźwięczą, wiązadła głosowe drgają, natomiast krtan Warszawiaka dźwięku nie wydaje, a wiązadła drgać ani myślą. Ciekawa, nienarzucona przez żadne ludzkie prawa, lecz przyrodzona różnica między dzielnicami! Jest to p r a w o d z w i ę c z n o ś c i s p ó ł g ł o s e k, które jak żadne inne dzieli nas na dwie części, zostawiając Wielkopolskę, Śląsk i Małopolskę po jednej, Mazowsze po drugiej stronie granicy. Poznański, śląski, krakowski chłob mierzy paz ładny, natomiast warszawski chłop mierzy pas ładny. Dawniej objaśniano to wpływem pisowni i uważano za wyjątek w regule typowej wymowy polskiej, dopiero niedawno wykazano, że to znamienna cecha gwary mówionej, starsza od wszelkich pisanych reguł, zaborów, wpływów itd.

*

Jakże brzmi to prawo zmiany dźwięczności? Nie takie straszne, aby go nie móc łatwo pojąć. Brzmi tak:

Gdy dwa wyrazy tworzą w wymawianiu jedną całość, wówczas w miejscu zetknięcia się zachodzi takie upodobnienie, jakgdyby tworzyły jeden wyraz. Powiemy tedy jednakowo wszyscy od Poznania, Warszawy, Krakowa i Wilna: jak gorąco, buch go w mordę t. z. udźwięcznimy spółgłoskę wygłosową, przed zwartą i szczelinową rozpoczynającą wyraz następny. Natomiast różnica uderzy ucho natychmiast, o ile ten wyraz następny rozpocząć ma się od głoski pół-otwartej (czysto ustnego *r*, *l*, nosowych *m*, *n*, lub otwartego wyłącznie ustnego *a*, *e*, i *o*, lub też połączonych z otwarciem nosowem *q*, *ę*, co sprawdzić łatwo na powyższych przykładach).

*

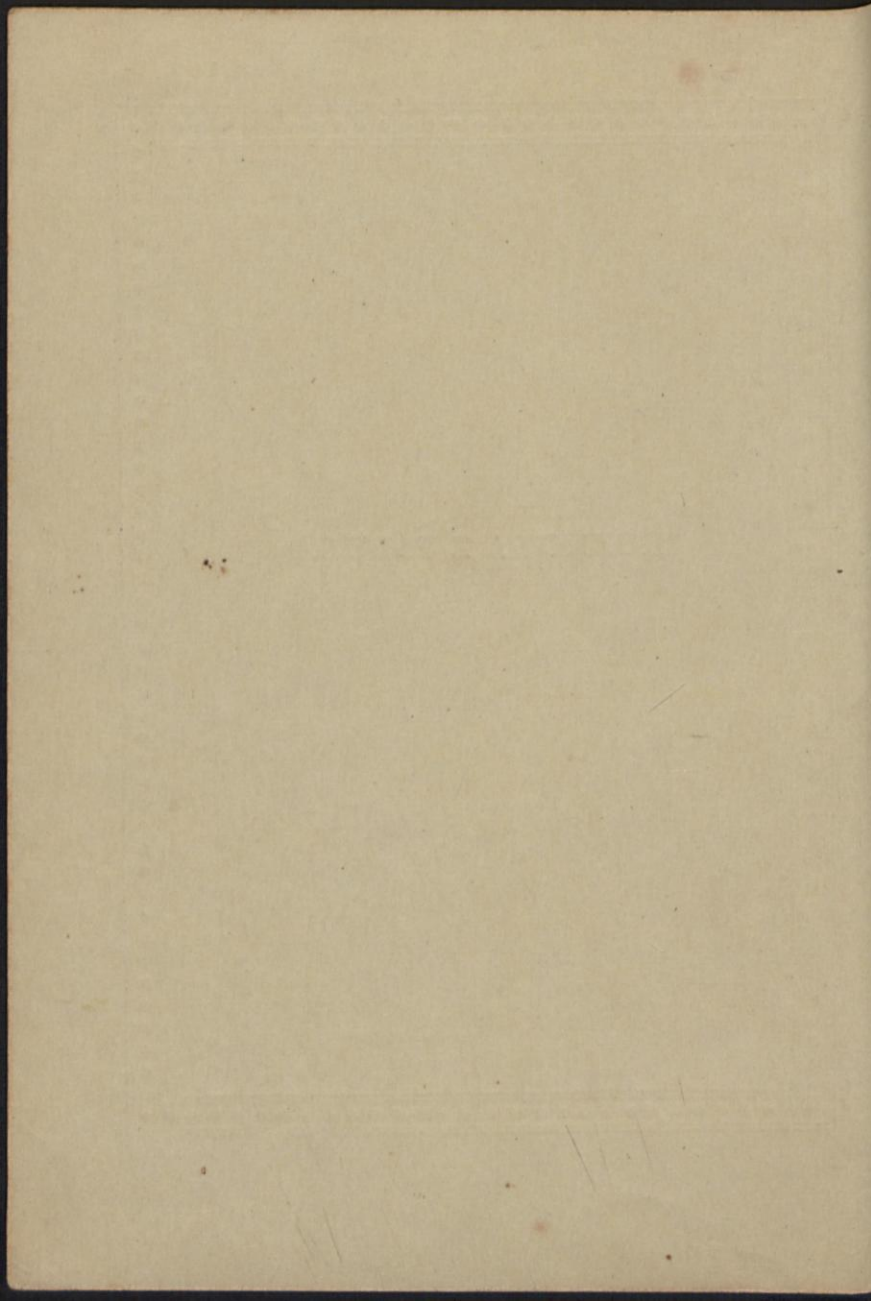
Aniela w „Ślubach panieńskich“ powiada, któżby nie pamiętał, co powiada. „Piszmy więc“. Ale jak wymawia? Urodziła się we Lwowie, więc wedle lwowskiego prawa: *Piżmy więc*. Razem z nią wymawiają zgodnie Kraków i Poznań: chodźmy, piżmy i wródźmy. Natomiast Warszawa trwa sama jedna przy swoim miękkim, bezdźwięcznem: choćmy, pizmy, i wróćmy. Jest to upodobnienie wewnątrz-wyrazowe, wobec którego rozmaicie się zachowują dialekty. W ścisłe reguły rzecz ta ująć się nie da, a w każdym razie liczyć się trzeba z możli-

wością że „właściwość warszawska wkońcu zwycięży i ta nieudźwigniająca fonetyka przedostanie się wreszcie w codzienną mowę kulturalną całej Polski.“

*

Stara recepta Aleksandra Manzonięgo, który zalecał jednoczącym się Włochom: *Liberi non saremo se non siam uni* — jest dziś istotnie przeżytkiem. W dziedzinie językowej naturalnie. I innych dziedzinach, o których odrębność walczą przełęczcy ryccerze regionalizmu. Nonsens unifikacji języka codziennego jest jasny. Poco? Wzywać do jednolitości to coś tak, jak namawiać marszałka Piłsudskiego do zmiany dwóch liter w nazwisku, bo *dz* byłoby bardziej „rodzime“, albo żądać od Wojciecha Trąmpczyńskiego, aby pisał się ściśle wedle zaleceń dzisiejszej ortografji. Troskę o takie rzeczy lepiej zostawić owym paniusiom z głębokiej prowincji, którym przyświeca idealik warszawistości! Niech spróbują trudnej, kosztownej i bolesnej przebudowy krtani, języka i podniebienia!

ROZMOWA Z PAPUGĄ



I pan naprawdę myśli, że mnie jest dobrze w tej Warszawie? Katorga i tyle. Człowiek nigdy nie jest sobą. Na każdym kroku szyderstwo i kpiny. I gryź się w język co chwila i pilnuj się tu kucharki, tam stróża. W tramwaju, przy telefonie, w dancingu, w teatrze. Wszędzie. Już mam dosyć. Jak Boga kocham nie wytrzymam. Powiadam panu...

Powiadala mi te gorzkie rzeczy z bardzo słodkim uśmiechem pani Nelly, urodzona (ongiś bardzo dawno) Małopolanka, od trzech lat kwitnąca bujnie pod stołecznem niebem Warszawy.

Była wybitnie stylowa i wysokocenna. Bo naj-sampierw zęby wspaniale, jak z dębu, który przez lat tysiące czerniał na dnie Wisły! A potem pierś, jak u kozy spracowanej u kaszubskiego nędzarza! A potem włosy koloru tej żółtej polewy wewnętrznej, którą tak miło głaskać w starych fajan-sach.

— Ale o co chodzi, droga pani?

— O to, że człowiek nie znajduje uznania nawet tam, gdzieby napewno znaleźć powinien. Bo przypuszczałam, że kto jak kto, ale pan to chyba od razu... Nie, to okropne!

— Ale niechże się wreszcie dowiem, co jest tak dalece okropne?

— To, że pan we mnie dotąd żadnej zmiany nie zauważył. A ja przecież od trzech lat...

Zachodziłem na gwałt w głowę jakąby przyjemną zmianę w paniusi odszukać. Schudła? Przeszła dramat miłosny? Gimnastykowała się pod szafą dla utrzymania linii? Doszliśmy wreszcie. Pani Nelia postanowiła zrzucić z siebie hańbiącą skórę wschodniej Małopolanki i pozbyć się wszystkiego, co trąci prowincję.

— I to w pocie czoła, proszę pana. Tak. Muszę zostać rasową, pełnej krwi warszawianką. I już prawie jestem, a tylko pan tego nie dostrzegł od razu!

— Ale, na miłość Boską, jakże ja mam odrazu poznać tę pani warszawskość. Po czym? Po zapachu, po kolorze?

— Cuś takiego! *Ji* znowu kpinki. Wszak...

Teraz dopiero byłem w domu. Po tym „wszaku“ i „cusi“ poznałem, o co chodzi: o uwarszawienie języka, o pilne i rychłe ustolecznienie lwowskiego

dialektu. Wzięła się zaś do pracy sprytnie: Lwowskie „coproszę“ wymieniła na warszawskiego „cu-siaktusia“, przestała „tajojczec“ i całować rączki, każde i dopingowała mazowiecką jotą, a przede-wszystkiem poduczyła się dwudziestu frazesów z Krakowskiego Przedmieścia.

— Nie dwudziestu, ale dwustu! — wykrzyknęła zaperzona. Proszę o egzamin na dowód, że zmieniłam do gruntu sposób mówienia w salonie, w kuchni, w buduarze i w każdej wogóle okoliczności.

— Nie wątpię, tylko...

— Tylko nie przerywać! Panie, czy pan wie, że ja dla ich obrzydliwej czerniny wyparłam się ukochanej kminkowej zupy, z której tu ryczą na potęgę? Nie znoszę „buchtów“ ani „karmenadli“ jadam natomiast faworki, landrynki, gryczaną kaszę, cytrynową kielbasę, ewentualnie kurczaki na szmalcu. Mało panu? Jadąc *do* dancingu, wsia-dam *w* dorożkę, włosy kręcę *żelazkiem* a nie *rurkami*, chodzę wyłącznie do krawcowej nigdy do krawczyni. Jeszcze mało? No więc powiem więcej: Nie siąkam nosa, nie ścieram prochów, przenigdy nie pozwałam ścielić łóżek, nie świecę lampy.

— A gdzież państwo w takim razie mieszkają. W baraku, w kryminale?

— Pan chyba udaje głupiego? Przecież tych

Galicjaków, co nie wiedzą, że nos się uciera, lampę zapala, a łóżka rozbiera, pokazują u nas ze wstrętem palcami.

— A cóż szanowny małżonek? — zagadnąłem, żeby zmienić temat.

— Faj!... To fenomenalny matoł wogóle. On zawsze jeszcze chodzi w „ibercyjerze“.

— O ile pamiętam, dawniej zwykła pani mówić: ten stary osioł.

— Osioł w każdymbądź razie.

— Więc cóż ten stary osioł?

— Proszę sobie wyobrazić: zagroził mi rozwodem, posłyszawszy w drugim pokoju, jak jeden z moich przyjaciół obiecał mi podnieść sukienkę na imieniny.

— A więc to jakiś dzielny człowiek ten pani osioł.

— Osioł, powtarzam raz jeszcze.

— Niech będzie osioł, ale dbający o to, przynajmniej, aby jego małżonka nie powtarzała wyrażen warszawskich kucharek, bo tylko rewirowi rosyjscy *padnasili padarki* w dniu imienin.

— Otóż ja, mój panie, wolę z warszawską kucharką zgubić, niż z lwowskim kamiecznikiem znaleźć. Z waszą kołomyjską poprawnością daleko w Warszawie nie zajędzie.

*** ROZMOWA Z PAPUGĄ ***

Tu już mnie djabli na papugę wzięli. I użyłem sobie, ile się włożyło. I mówiłem tak:

— To szanowna pani, rasowa warszawianka z Mostów Wielkich przypuszcza, że wystarczy zmienić tych kilkadziesiąt słóweczek z kuchni, sklepu i przedpokoju, którymi się lwowski dialekt różni od warszawskiego i już będzie wszystko dobrze! Że wystarczy nazwać kielbasę parówką, zeszyt kajetem a kokotę dziewczynką? Nie, droga pani! To jest najmniejsze i tem pani swego lwowskiego pochodzenia nie zatrze. O różnicy dialektu świadczą pewne cechy głosowe, fonetyczne, z którymi człowiek przychodzi na świat i które są taką przyrodzoną właściwością jak ruchy, chód, jak wreszcie ten pieprzyk na szanownej szyjce łaskawej pani. Niechże go pani da na ten przykład zoperować.

— Ani mi się śni! Bo i poco? Nietylko mi nie przeskadza, ale nawet...

— Nawet dodaje uroku.

— Więc pan jednym słowem śmie twierdzić, że ten ohydny żargon lwowski jest uroczy?

— Ani myślę. Język lwowski, o ile o takim mówić można, może się komu brzydkim wydać. Ale cóż znaczy piękność czy brzydota języka. To nonsens! Uczeń w piśmie odnoszą się doń tak jak do

każdego innego daru Bożego, jak do każdego zjawiska przyrody. Niema wymowy „najbrzydszej“ i „najładniejszej“ tak, jak na łące niema różnicy między kwiatami a na niebie pomiędzy gwiazdami. Botanik nie dzieli kwiatów na piękne i brzydkie, astronom też nie kieruje się wrażeniami estetycznymi. Są różne w Polsce dialekty, (czem pani nie będę teraz głowy zawracał) jest i lwowski także. To właśnie jest dowodem wielkości Rzeczypospolitej, że istnieją w niej różnice językowe w głosowni, w fonetyce międzywyrazowej, w słownictwie. Nie potrzeba co kwadrans całować rączek, ani używać „szpanegli“ do „papendeklu“, ale mimo to należy chronić w pewnej mierze językową odrębność i jej temperament, bo odebrać językowi jego koloryt lokalny to tak, jak utlenić się na błdynkę lub umalować na podlotka. To często świadczy o braku szacunku dla siebie. I nie żał mi wcale, że się z pani śmieją w Warszawie na każdym kroku. Nie czyni tego Neapolitanka przyjeżdżająca do Wenecji, ani córka Prowansji w Paryżu. Zmądrzały już dawno pod tym względem i nie kastrują mowy swej na bezpłciową amfibję.

— Nie zaprzeczy jednak mój nudny mentor, że Małopolanie mają najbrzydszą wymowę, a najładniej po polsku mówią...

*** ROZMOWA Z PAPUGĄ ***

— W każdym bądź razie nie warszawiacy, jeśli już o to chodzi. Chłopi nad górnym Wieprzem, pomiędzy Lublinem a Zamościem. Jeśli już u kogo chce się pani uczyć poprawnej polszczyzny to raczej u furmana z Krasnego Stawu, niż u kucharki z Nowego Świata!

— Zawracanie głowy. Ja wiem swoje, a pan swoje. Dość że po trzech latach pracy oduczyłam się obrzydliwego dialektu i wcale nie żałuję pracy, jaką w to włożyłam. Bo mówię poprawnie po polsku!

Na szczęście dalszą rozmowę przerwał dzwonek i depesza. Skoczyła jak oparzona. I krzyczała swym dawnym, obfitym „gumlastycznym“ głosi-kiem. I ciskała pioruny, ukazując swe czarne jak hebany zębówisko.

— Ta coś tyż!... Ta ni może być. Ta wystaw pan sobie.

— Do usług, łaskawej pani. Ale o co chodzi, o jaką wystawę?

— Wystaw pan sobie, ta że przynoooszą go.

Nie zrozumiałem, kogo, gdzie i poco przynoszą.

— Ale kogo?

— Joj! Mego męża.

Teraz dopiero struchlałem, przypuszczając jakiś wypadek. Pewnie tego „starego osła“ zaraz tu przyniosą. Biedaczysko!

— Ale co się stało właściwie pani małżonkowi?

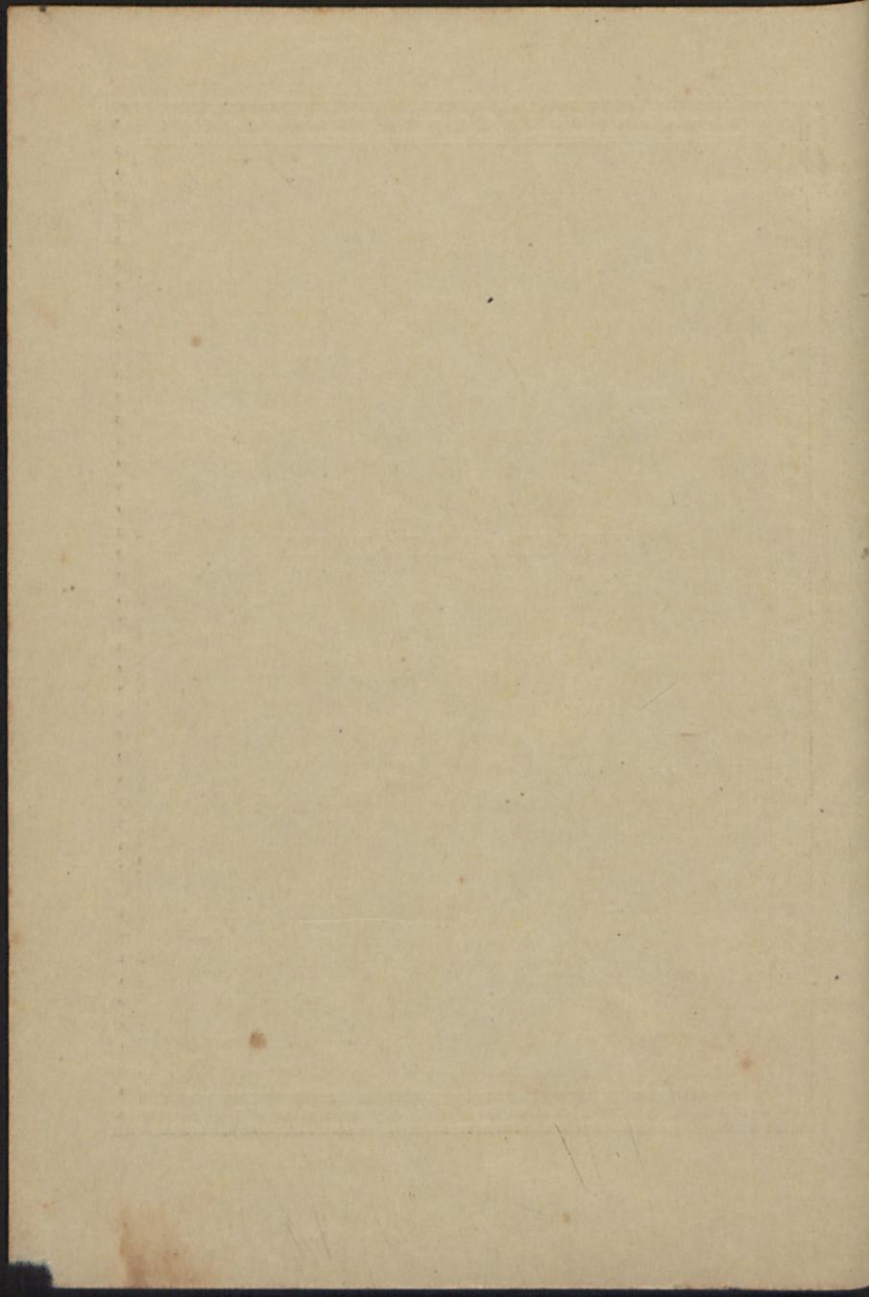
— Ta idź pan, nic si ni stało, mówię przecież, że przenooszą go.

— Ach tak. I gdzież to go przenoszą?

— Z Warszawy do Małopolski zpowrotem.

Tak zwałił się w gruzy mozolny, trzyletni wysilek istotki, która daremnie brała lekcje poprawnej wymowy polskiej u stołecznych kucharek i w programach kinowych. Naprawdę żal mi się zrobiło papugi.

ZEMSTA WARSZAWY



Dzieje się w Krakowie w roku pańskim 1513. Na majestacie wawelskim siedzi ten mocny i mądry król co „dzwon kazał ułać i wybudował mu wieżę wysoką“ — a więc Zygmunt Stary; na stolcu rektorskim urzęduje Magnificencja Mateusz z Miechowa, ale chociaż jest znakomitym uczonym i sztuk wyzwolonych oraz medycyny doktorem, przecież nie może sobie dać rady z niesforem żakostwem, które nawet w bursie uniwersyteckiej, a więc w cieniu uroczystego nosa Magnificencji, nie przestaje płać psich figlów bez ustanku. Coraz to muszą Pan Rektor zasiadać na sądach tak i dziś zasiedli 20 lutego 1513. Sprawa niby blaha, a przecież tłąca zarzewiem nieustannych niepokojów. Oskarżeni są: Erazm i Szymon z Łopuszy, oraz Jakób z Kiejdan i Jakób z Kroszonowic jako *discordiae domesticae seminatores* — jako siewcy niezgody domowej w bursie, w której jak u Boga Ojca za piecem gnieździ się studenterja z całego Królestwa Polskiego, żyjąc sobie spokojnie. Rok

bowiem składa się z 52 tygodni akademika. Miejszczaństwo krakowskie pamięta chętnie, by się zaczął dobrze działo i spało w stolicy. Ale wróćmy do oskarżonych, czekających z głupią miną wyroku Magnificencji. O cóż poszło. Czy o pobicie żydowinów niewiernych na Kazimierzu? Nie. Może więc o noszenie odzieży nieprzystojnej, prawem wzbronionej żakom, jako to: trepków sukiennych, kolorowych, z puszonami pozłocistych, lub nogawic dwoistobarwnych, zielona jedna, żółta druga, jak dziś w operze, co było prawem zabronione. Nie o drobiazgi idzie, sprawa jest poważniejsza chociaż blaha nibyto.

A wszystkiemu Warszawa winna! I te Mazury, które z ziemi płockiej, rawskiej, albo sochaczewskiej przyjeżdżają do Krakowa uczyć się na medyków i bakałarzy a są przedmiotem kpin, zaczepk i prześmiewiska ze strony wszystkich innych akademików.

Wiadomo: rodzą się ślepo i dopiero 9 dnia ślepiec otwierają. Tak mówią o Mazurach w całej Polsce, ale oskarżeni Erazm z Łopuszy ani Jakób z Kiejdan tego nie mówili. Przyznali się natomiast do innych występków. A więc że stale zapytywali Mazurów, czy to prawda, że dopiero Judasz Iskariota nawrócił pogańskie Mazowsze na wiarę Chrystusową,

czy też może jaki inny apostoł? *Aut Judas ad Masovitas convertendos missus est.* Biedny warszawista z roku 1513 puścił tę jeszcze obelgę mimo uszu, natomiast innych znieść nie mógł. Jakaż była? Gorsza była. Tamte by można znieść od biedy. Oto oskarżeni wzięli się do wyśmiewania języka biednych warszawiaków z r. 1513. Posłuchajmy: *Item inquirebat unus ab alio* — pisze protokolant sądu rektorskiego — *quod sunt vocales apud Masovitas.* Czyli: Ile jest słów języka mazowieckiego. Jedni mówili, że pięć a mianowicie: *stęnk, penk, mienk, pock i tutka*, drudzy mówili: że siedm, bo jeszcze *sienio i topka*. Erazm z Łopuszy chodził krok w krok po całej bursie za studentami z Mazowsza i krzyczał aby wszyscy słyszeli: *Stęk, pęk, męk, pock i tutka*, mówiąc że to są jedynie ludzkie słowa jakich ślepi Mazurowie (sc. Warszawiacy) między sobą używają. A chytre Litwiny dodawały, że nie 5 lecz 7 jest słów mazowieckich: i wołały *sienio, sienio, topka, Mazur!*

I tak naprzemian. *Stęk, pęk, męk, pock, tutka* oraz: *sienio, sienio, topka.*

Szanowni Państwo nie rozumieją zapewne znaczenia tych słów. Nie potrzebujemy się wszelako martwić z tego powodu. Dowcip i żądło w nich ukryte wyjaśnić nie trudno: mamy tu jeszcze jeden

przykład ostrej różnicy dialektu mazowieckiego od innych polskich dialektów w 16 wieku. Stęk, pęk, to brzmienie znane nam. Tajemnica litery *n* z zakręconym ogonkiem (str. 40). Panięka z okięka, która dziś martwi tylko studentów na wykładzie gramatyki, wtedy była synonimem obelgi. Zapewne już wówczas wypowiedzenie takich słów z katedry było niemoralne do tego stopnia, że nawet niedługo dochowały się w urzędowych aktach rektorskich, z których wiadomość o tem czerpiemy. Jakiś kontroler czy rewizor z Warszawy już w 16 wieku wykreślił i zamazał je pracowicie, dodawszy dla usprawiedliwienia na marginesie: „To pisał łotr i oszczerca i zdrajca.“ Ten pierwszy z przymiotnikiem, którego powtórzyć nie sposób.

Były to słynne później długo *verba masovitica*, nieraz prześmiewane w poezji i anegdocie, owe słówka gminne i poziome, niedopuszczalne w ustach ludzi inteligentnych, wyrazy z czarnem podniebieniem — krótko mówiąc djabelskie. Ludzie opętani przez diabła w 16 wieku używają stale owych pięciu nieprzyzwoitych słów mazowieckich, sygnalizujących obecność diabła w grzesznem cielsku. Opętany przez czarta nieborak stawał się wymowny jak warszawista, a ludzie słuchali wówczas

z przerażeniem dobywających się zeń odgłosów Inferna. Imć Maciej Strykowski (1582) tak opisuje swe wrażenia: „A zatym wnet od około stojących były słyszane gwałtownych razów i bicia i kołatania i częste nie wiedzieć od kogo jęki, pęki, stęki. Ukazały się potem na ciele chorego szkaradne sinio-wizny i dęgi abo blizny...” poczem na marginesie dodaje: *Jęk, pęk, stęk, męk, bęk — słowa Mazowieckie.*

Tandem tedy Pan Rektor Maciej z Miechowa wydał wyrok po ukończonej rozprawie i wpakował wszystkich czterech oskarżonych na tydzień kozy o chlebie i wodzie, ale to niewiele pomogło, bo wyszedłszy z kozy, wygrażali dalej Mazurom, a wraz z nimi naśmiewał się z Mazowsza *Poloniae totius orbis* jak długi i szeroki.

*

Dwa wieki z okładem aż do przeprowadzki stolicy do Warszawy szydziła Pospolita Rzecz z Mazura z pod ciemnej Gwiazdy. Obżałowaniec wyglądał gorzej od dzisiejszego Galicjaka lub prowincjonalisty w tej otęczy kpiarstwa i gadki jadowitej. Zygmuntowska fujara z Mościsk, pierdoła z Gądek, elegant z Mosiny. Z góry na Mazury! Cały tom jest do napisania, jak sobie z tem radę dała naj-silniejsza rasa polska. I rzadko kto weźmie nie-szczęsnego Warszawistę w obronę. „Mazurek,

kiedy się przetrze — powiada imé Krzysztof Jabłonowski — przyznać, że dobry żołnierz i do wszystkiego są Mazurowie sposobni. Żartują z nich, powiadając, że się ślepo rodzą. Ale ja i z relacyj starych i z własnego doznałem przekonania, że gdy ślepy Mazur przejrzy, głębiej patrzy podczas niż Włoch albo Hiszpan. Powiadają i to o Mazurach, że gdy go oddadzą do dworu, to pierwszego roku wszyscy drwią z niego, drugiego roku on drwi z drugich, a trzeciego roku stawia się ostro panu swemu naprzekór... Co zaś do żołnierstwa — to mają serce do niego, oraz ran wszelkich i śmierci lekceważenie, bo się sami między sobą biją bez przestanku. Zły to jarmark, kiedy pięciu tylko zabijają. Pękniij no mnie — wołają i biją. To jest u nich jako ten chleb z masłem. Odpór dają. Odwet biorą. Ja ci to piszę, chociaż na Rusi urodzony, ale mam sobie za honor, żem *purissimus Masovita* z przodków moich...”

*

Fortuna kołem się potoczyła. W 16. stuleciu przesiłmiany doszczętnie Mazowita stawał przed sądem krakowskiego rektora. Dziś, po stuleciach, odwet mściwie biorą, odpór jurnie dają: W odwzięcie za wzgardę trzywiekową, rektor krakowski stoi przed sądem Mazowsza.

Urodziłem się w kraju, który jednej głoski uczciwie nie wymówi. Pamiętam z lat najmłodszych coranne wiosenne walki krokusów w ogrodzie, dobywających się wczesną wiosną z grzędzy i duszonych w zaraniu przez twarde, mocniejsze panosze chwastów. Leżę na trawie i widzę wymiona starej krowy, która wlaźła na dziecko. Na piąty szło mi może. Więc spazm przestachu, chyba większy od strachu czekoladoskórego Syngaleza z Cejlonu, któremu słoń ujął głowę w paszczę i bim-bającego nogami w powietrzu obnosi dobrotliwie po arenie. Na obiad bywała zupa grochowa i karmenadle z kwaśnymi ogórkami, kwaśne mleko z mamalygą na kolację. A kiedy goście przyszli, tak mówili wszyscy dorazu tak głośno, że uszy puchli z rozpacz. Strzelałem wróble z katapultki, w kiczkę grałem bez pamięci, marząc daremnie o zegarku z łańcuszkiem. — Paniezu ta kupy panicz tego szczygła. Spiwa taki syn jak orzeł na trzy tony fis, cis i ciur — wołał batiar na jarmarku. — Ta siadaj

tumani jedyn — wrzeszczał pan profesor i obaj zaniedbywaliśmy swe obowiązki. On cichcem zerknął na wczorajszą gazetę lwowską, ja w sekrecie redagowałem pod ławką dzisiejszą stryjską. Ale to naturalnie później. Rębacze rębali drzewo w drewnutni, matka ścierała prochy, i dbała, żeby lampy nie kopciły, ojciec był inżynierem przy kolei. Mówił wprawdzie każdą razą raz w kilka czas, bo rodził się w ziemi srebrempisanej, ale ani miasto mojej matki ani Wołyń mojej babki nie dały się przekonać.

Z tych wielu wydarzeń utkwił mi na zawsze w świadomości zapach jednego. Właściwie nic ważnego nie stało się, tylko do małego miasta w Galilei przyjechała nowa ciocia i to aż z pod Płocka. Niby nic, a przecież z tą nową ciocią osnuł miasteczko jakiś opar inszości, i powiał wicher z dalekiego świata. Przedziwny zapach tej cioci, jaki się wówczas rozprowadził na mojem podwórzu pachnie mi silniej dziś, niż nawet woń ślizgawki lub wystawy krajowej, która później odbyła się we Lwowie. Dlaczego zapach tej cioci był mocniejszy? Dziś rozumiem. Nauka stwierdza pewną odrębność szczepową Mazowszan, odrębność rasy i języka tak znaczną, że możnaby ją chyba wyjaśnić wpływami jakiegoś najazdu na tę połąć kraju. Uczeń odnajdują

wpływy ugro-fińskie w języku Mazowsza, czytałem też o iniekcjach jadźwińskich i pieczyńskich, których możnaby śmiało szukać w mentalności Mazowszan, gdybyśmy dokładnie wiedzieli, jakie te Jadźwingi i Pieczyngi były.

Jakie były nie wiem, ale to pewne, że przyjechały na podwórze moje razem z cicią z pod Płocka. Przywiozła je z sobą w landrynce, w złożeniu krtani, w cynfolji od czekoladki. Ukryły się Ugro-finy w pluszowych ramach fotografii, skowyczały w bilecie kolejowym, wywionęły z pomiędzy jej spódnice obszernych, z pazuchy zapiętego pod szyję stanika.

Gdybym umiał opisać dokładnie całą inszość cici Zosi, znalazłbym sedno różnicy między dzielnicami. Uśmiechała się inaczej, ale to zupełnie inaczej, usta składała nibyto tak samo, a przecież nie tak jak my wszyscy na Czerwonej Rusi. Przyjechało z nią po raz pierwszy do miasteczka tylnojęzyczne i gienś z Kiercelaku i król ker z Saskiej Kępy. Przywiozła mi landrynki i rzuciła pierwszy raz słowo niesłychanie głupkowate: serdelki, potem drugie bardziej przerażające, już od początku do końca ugrofińskie, które mię ukuło w mózg: wyżymaczka. Co to może być wyży-macz-ka? Takiej stwory nie widział nikt w całym miasteczku. Landrynki były owinięte w starego „Kurjera Warszaw-

skiego“. W Kurjerze był wierszyk Ela-Laskowskiego. Ten poeta był bratem cioci Zosi. Mów mi wuju. Pierwszy Królewiać, jakiego poznałem. Wracę chylkiem z ogrodu i lewą ręką dopina szelkę na prawym przedsobku pantalonów. Potem opowiada przy stole, że codzień jeździ konno ze wsi pod kolumnę Zygmunta i wozi wierszyki do redakcji.

Nazajutrz drugi akt zdarzenia. Nowa ciocia zaprosiła mnie do siebie. O jakieś dwa kilometry mieszkali na drugim końcu miasteczka. Droge znałem doskonale. Długo, długo, w każdym razie prosto wzdłuż fosy. Wiodły mnie zresztą inne przewodniczki. Czekolada, wyżymaczka i pluszowa fotografia. I ten koń z pod kolumny Zygmunta i chylkiem dopinany guzik u lewej szelki, który wieczorem miał powrócić do Warszawy.

Doszedłem szczęśliwie i w zupełnym sekrecie. W pluszach i rozkoszach cynfolji zaszło słońce. Stryj, który był uczniem Juljusza Kossaka, chwycił kawałek promienia na paletę i pouczał ową ciotkę z innego kraju: Gdy chcesz malować, musisz przedewszystkiem zdać sobie sprawę, z której strony świeci słońce.

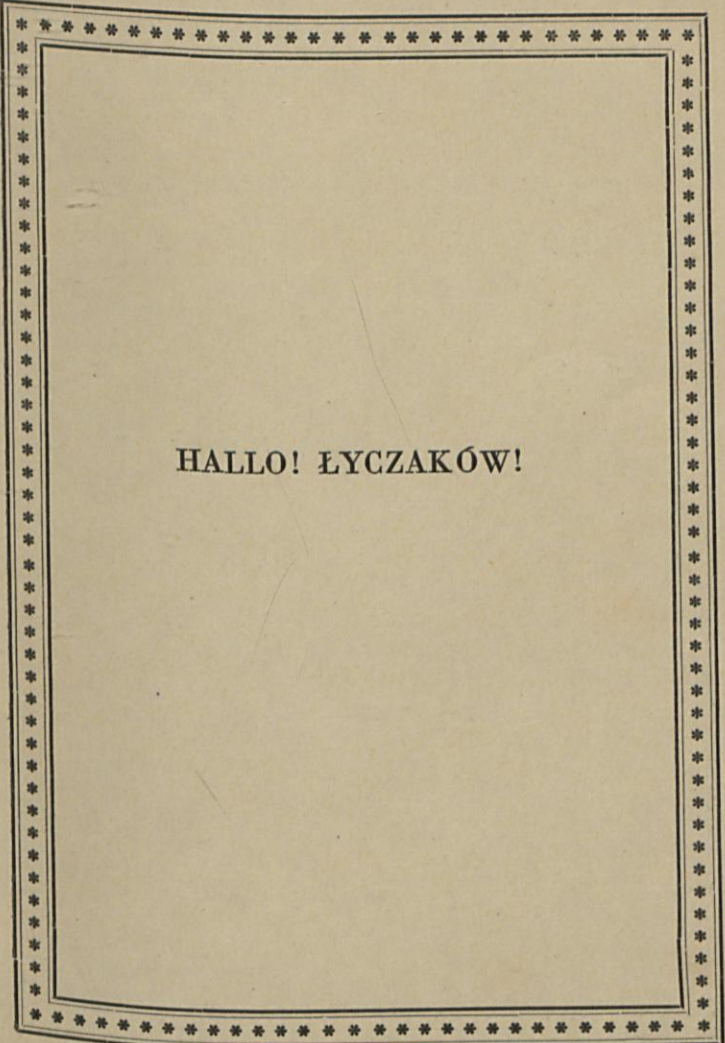
Potem nową ciocię rozbolala głowa, więc rozburzyła długie włosy, a zażywając proszek fena-

cytyny rzekła: Tfy! jakie to obrzydliwe! Myśmy mówili w takich wypadkach: fe! A potem Jadźwingi, Pieczyngi i Ugrofiny zdradziły mnie okrutnie. Odkłęczałem na grochu tę pierwszą ciekawość Warszawy.

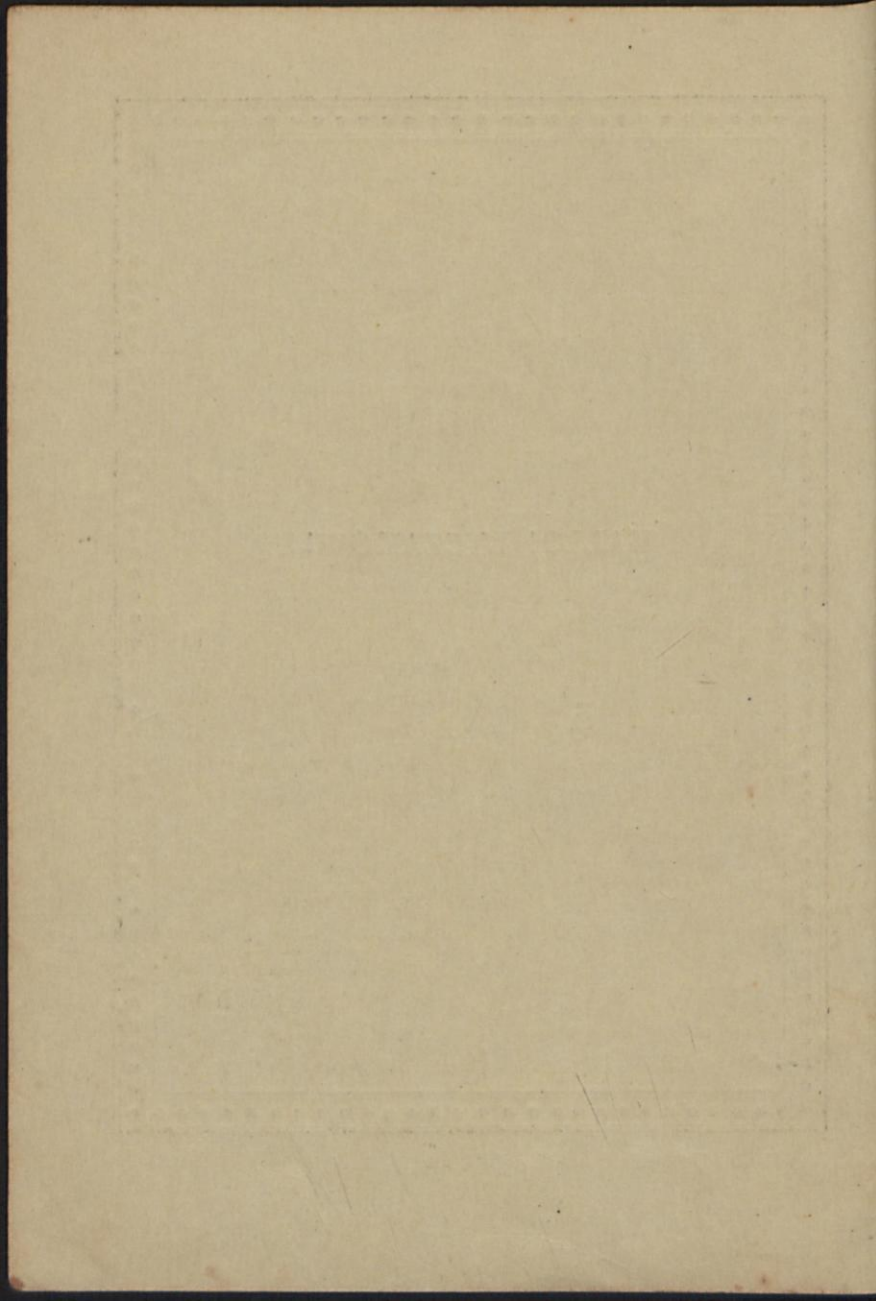
Wiele rzeczy się odmieniło potem, niejednego się oduczyłem, przeuczyłem. Lecz ilekroć zapalam papierosa, pokaże się zawsze, że jestem Galicjakiem. Nienawidzę krótkiego palenia oraz papierosów „Ergo“ ani żadnych innych w gilzach. Aby go z przyjemnością zapalić, muszę dokonać mozolnej operacji, uginam mięsz tytoniowy, skręcam, aby przedłużyć materiał palny. Najchętniej wszelako przenoszę go do lwowskiej tutki. I to dość długo potrwa, zanim gilza stanie się tutką. Pomyślały o tem fabryki tych istotek i wyrabiają dlatego w Kongresówce i Wielkopolsce wyłącznie gilzy, dla Małopolski zaś mają tutki. I drukują inne etykiety. Tutka czy gilza? Głupie słówko, a ileż potrafi opowiedzieć. Opowie o trzech wpływach obcych, działających na rozwój języka. Kiedy się ludziom znudziło kręcić papierosy, wyręczyli się maszyną. Niemiec berliński nazwał ową nowalję *Hülse*, wiedeńczyk ochrzcił ją *Dütte*. Z Berlina poszła hilza do Wielkopolski, a do Warszawy przyszła drogą daleką, okrężną via Petersburg. I zgru-

biała w gilzę. Galicyjski naród zadowolił się dobrem bardzo tłumaczeniem, tutką. Jak w piłce nożnej tak i tu zależy często wiele od rodzaju i kierunku podania.

A o tej cioci, która z Płocka przyjechała, tyle jeszcze wiedzieć trzeba, że dzieci z niej zrodzone tajojcą już wzorowo, lepiej bez porównania ode mnie.



HALLO! ŁYCZAKÓW!



Mówimy nieraz: szanujcie Kamienicę królewską i Madonnę Domagalewiczów, mówimy dalej: pielęgnujcie czerechy Kleparowskie, nie niszczyć Prochowej baszty ani Czartowskiej skały, ani najmniejszego choćby kamyczka — dokumentu przeszłości, ani żadnej rzeczy, która stamtąd jest, bo daje świadectwo.

Czemuż zatem nie dodamy: nie niszczyć języka lwowskiego, bo on chyba także powinien być wyrazem i współczynnikiem odrębności regionalnej. może starszym jak tamte pamiątki, równie wymownym dla umiejących słuchać, równie czi- godnym dla miłujących świadomie, żywo, rozumnie.

— Czemu tak nie powiem. Bo mi się nie chce! — wrzaśnie niejeden Lwowianin w odpowiedzi. — Nie mogę kochać i pielęgnować tego, co mi wytykają. Ani mi się śni szanować gwara, skoro mię ośmie- sza w centralnej ojczyźnie. Kamienice królewskie i czartowskie skały mówią o mej przeszłości szu- mnie i dumnie, język lwowski świadczy o mej dzi-

siejszości podobno źle, szkodzi mi raczej, niż pomaga. Warszawa otworzyła mi oczy. Już teraz wiem. Narzecze lwowskie — tak uczy mnie wciąż stolica — urodziło się pod kawkami na rozkaz Najj. Pana dla wynarodowienia Polaków, to najzłośliwszy wymysł Austrii, która chciała w ten sposób przeciąć łączność mojej dzielnicy z resztą ziem Rzeczypospolitej.

Więc żeby to jeszcze sza-no-wać. Kpisz, czy o drogę pytasz. Raczej wprost przeciwnie. Tępić je jak chwast ogrodowy, wyciąć jak narośl i usunąć jak nagniotek, bo utrudnia nietylko chodzenie ale życie wogóle.

Ten sam Lwowianin, który wszędzieindziej daje srogi odpór zamachom na odrębność swej dzielnicy, w tym jednym wypadku rad wyrzec się miasta swego. Marzy o sterylizacji narzecza rodzinnego, o wynalezieniu jakiejś pralni językowej, któraby mowę nadpełtwiańską odlwowała i odtajończyła dokumentnie. Zazdrości wszystkim dzielnicom. Ma jakgdyby żal do swego języka. Poszedłby na koniec świata, by się oduczyć. Wszędzie, choćby na Powiśle warszawskie.

Od niepamiętnych czasów żył w zgodzie i radości ze swym językiem pospołu. Aż oto przyszła odrodzona ojczyzna, odebrała mu nagle uciechę z jego

mowy ojczystej i szydzi w Małej Ziemiańskiej z lwowskiego akcentu.

On zasię, człowiek z Wysokiego Zamku, nie wie co o tem wszystkim myśleć. To zanotuje jakieś słóweczko którego bezpieczniej nie używać, bo dobre jeszcze w Tarnowie, a już w Radomiu złe, to przywiezie z Warszawy świecidełko marne, dawno przez nią na śmietnik rzucone. Ale co dalej? Rozumie na czem polega poprawność w języku pisanym, nie wie czego się trzymać w mówionym. Podobno poprawności niema wogóle, a błędy językowe są rzeczą względną. Ładna mi względność, którą odczuwa się boleśnie na własnej skórze już po ujechaniu mili od granicy lwowskiej. Więc kto ma rację? Z czego się trzeba poprawić? Jak ustrzec szyderstwa? Kogo naśladować?

Konfuzja okropna, w którą tu kilka uwag wrzucę.

*

Lwowianie mówią po polsku pełną piersią, z całego serca, wszystkim tchem. Równie serdecznie, jak nieporządnie. Pędzą przez obszary słów z wywieszonym językiem, czwartą szybkością, jak szofer po wypadku. I rzadko tylko w tym zawadającym pędzie ostoi się cudem jaka nieuszkodzona — samogłoska. Ale...

Tej niedbającej o nie wymowy nie nauczył ich bynajmniej hofrat austriacki! Pisarz sądowy ziemi czerwieńskiej za króla Jagielly popełniał te same błędy w aktach, które strzela dziś uczeń szkół lwowskich w zadaniach. Tak ten jak i tamten pijał *świży kwaśny mliko*. Tak ten jak i tamten — jednacy mimo przestrzeń wieków — nie pojmował dlaczego w sąsiednich dzielnicach pokazują go z humorem, albo piętnują surowo za ten właśnie „nieprzystojny“ akcent.

Kto zacz jest ten akcent i skąd się bierze.

Znany lingwista polski prof. dr. T. Lehr-Spławiński ogłosił niedawno w „Przeglądzie współczesnym“ rozprawę, z której ciekawych dowiadujemy się rzeczy. Wyjaśniono tam, na czym polega osławiony akcent lwowski. Dosłownie na... akcentcie. U Polaków czerwieńskich i u południowych kresowców wogóle akcent wyrazowy pada na tę samą, drugą od końca zgłoskę co i w reszcie polszczyzny, ale uderza z większym rozmachem i przez to powoduje wyższe a zarazem dłuższe wymówienie danej zgłoski. Zużywa się na to tak wielkiej siły wydechu, że na wymowę zgłosek sąsiednich niewiele już pozostaje powietrza. Wskutek osłabienia fali wydechowej skracają się one i słabną w brzmieniu. To osłabienie fali wydechowej, sprzyjając pod-

wyższaniu artykulacji języka prowadzi do zwężania (podwyższania) samogłosek. Dotyczy to zwłaszcza samogłosek średnich *e o*, które pod naporem akcentu lwowskiego przechodzą w wysokie: *i y*.

A rezultat tej pracy wydechowej podjętej przecież pełną piersią lwowską i całym sercem czerwieńskim? Rezultat smętny: najczęściej bowiem uśmiech u innych plemion polskich, które nie mogą pojąć, o jakiej to np. *pożyczce* mówi kwaśno Lwowianin — o amerykańskiej, czy raczej o tej *porzeczce*, która nie zapowiada świetnych owoców w tym roku.

Rozciągliwy akcent i nieporządną, ale jest dokumentem dziejowym i pomnikiem. Z nim razem przyszła niejedna rzecz dobra dla Polski. Z nim razem przygnały galopem temperament i wigor kresów wschodnich. Z tem przeciągliwem słowem na ustach jechał Galicjak Żółkiewski pod Cecorę i Jan III ciągnął pod Wiedeń. Z tego akcentu i podłoża językowego urodziła się twórczość Zimorowiczów, Szymonowiczów i Szarzyńskich. „Myszeida“ Krasickiego i „Zemsta“ Fredry. Gdyby nie akcent wschodni, śpiewający, czupurny, zawadjacki nie byłoby nowoczesnej poezji wogóle. Udowodniła to już dawno nauka. Bo niechby Mickiewicz i Słowacki, Fredro i Tetmajer liczyli się z tem, że nie wolno mówić „świca“ i „kobita“, że nie godzi

się „rozpirać“ ani „roztwirać“, wtedy skarbiec rymów polskich skurczyłby się i stanął w rozwoju.

Ma tedy akcent wschodni doniosłość i zasługę dziejową nie mniejszą, niż pomniki kultury materialnej i dumne dzieła przeszłości. Nietylko nie ubliża Lwowianinowi, lecz legitymuje go niezgorzej z jego stanowiska i roli w dziejach Rzeczypospolitej.

Z tego wszystkiego atoli nie jeszcze na dziś nie wynika. I nie znaczy bynajmniej, aby wymowę czerwieńską, nad Pełtwią specjalnie popsutą, uważać jako „tabu“ i nienaruszalny park natury, aby zachwycać się butnąwą niedbałością lwowskiej fonetyki. Piękną laleczką nie była ona i nie będzie. Nie stworzył jej Pan Bóg krasawicą urodziwą, ale też małpizjonem ostatnim nie jest. Jenó ją poobmywać godziwie i przystroić „chędogo a czyście“, jak pewien Galicjak z Nagłowic już dawno doradzał. Innemi słowy, aby spełniała swój cel. Mówić należy w każdym języku tak, aby nas odrazu, niezawodnie i niedwuznacznie zrozumiano. A dziś to jest przecież nieładnie, kiedy Lwowianeczka rozśpiewana wskazując koperek na grzędce nazwie go „kuperkiem“. Nieładnie a dwuznacznie. I na to ani król Sobieski, ani hetman Żółkiewski nie nie pomogą. Korekta wymowy lwowskiej musi pójść przynajmniej w kierunku równo-

uprawnienia i uszanowania godności wszystkich samogłosek.

Aby nas odrazu zrozumiano... Proszę przysłuchać się nieco wymowie własnej i bliźniego swego, potem obejrzyć skazy, jakie odnosi co chwila w ich ustach „aniołów mowa“, a zobaczą państwo, że dopełnienie tego błahego napozór warunku wymaga jednak świadomego wysiłku, a czasem nawet uważnej, wytężonej pracy.

*

A teraz zapłaczymy nad narzeczem lwowskiem, nad tym odrębnym i swoistym dialektem polszczyzny, który istniał kiedyś, lecz którego dziś niema, bo ustępuje z każdym dniem miejsca książkowej poprawności.

Uczeni w piśmie powiadają, że odrębnego narzecza, w tym sensie jak ono istnieje w Krakowie, Poznaniu, Warszawie czy Wilnie, nie wytworzył Lwów wcale. Konserwatywny i niewzruszony obrońca swej fali wydechowej mniej kłopotał się o swe słownictwo i nie stał o jego losy. Nie baczył, że jest w sytuacji trudniejszej od wszystkich innych dzielnic Polski. Wystarczy przecież Poznańczykowi pojąć o kilometr za miasto, aby się unurzać w zdroju piastowskiej, rumianej, jak bochen chleba ojcowizny, może sobie Kraków, ile razy zechce, poprawiać

swą mowę codziennie w Bronowicach, Warszawa kąpie się z grzechów w szarych nurtach Wisły — a Lwów? Lwów to enklawa językowa skazana na własne siły i zasoby. Gdzież mu się równać z tamtemi. Biedolach serdeczny, tak nad Wisłkami o ten swój język szarpany, że już nawet nie wie: miał kiedy czy nie miał nigdy własnego narzecza. Grunt aby pisać umiał jako tako, o „bałakanie“ mniejsza. Ou-wa. Brak naturalnego dialektu kulturalnego, i niedostatki gwary lwowskiej słusznie usprawiedliwiają uczeni tem, że miasto „nie może polskich soków językowych czerpać z otoczenia, musi się niemi zasilać zdaleka i to często drogą dla wymowy zupełnie niewłaściwą, bo drogą wzrokową, drogą pisma“.

Bo też zasilał Lwów, oj zasilał, swoją składnię i słownictwo ową drogą wzrokową z takim samym nadmiernym zapalem i przesadą, z jaką zwykł akcentować wyrazy. Czerpał bez wyboru z małopolskiego podglebia, brał dobrodusznie wszystko, co mu tam kto do wora wrzucił. A kiedy z wałów gubernatorskich wypelznął smok i zjadać zaczął już na dobre czupurną swoistość jego mowy — Lwów, w tym jedynym względzie pokorny, nie znalazł dość siły na odpór. Dbał o poprawność akurat tyle, co o swe zabytki przeszłości. Za-

chwaścilo się wówczas narzecze lwowskie i wyona-
czyło łopianem, sadzonym na zielonem biurku
przez swego własnego biurokratę, zarosło burzanem
do niepoznania. Z żargonu służbowo-galicyjskiego,
który z urzędów i gazet wsiąkał powoli w szkołę
i dom, śmiała się skora zawsze do szydu Polska
i był on też istotnie niejaka humorystyką (ale tylko
do czasu powstania języka... służbowo-warszaw-
skiego). Zginęła wówczas niepowrotnie cała masa
czerwieńskiej rodzimości.

A gdy dziś widzę, jak pod naporem central-
nego dialektu zanika bez śladu dawne „lwouśkie“
słownictwo — żal mi się robi nawet najlichszych,
najmniej wartych słóweczek. Lwowianie wstydzą
się dziś „kahukać“, jak to czynili ich zaziębieni
ojcowie, a zaczynają po powrocie z Warszawy
okropnie „kasłać“, już się mleko nie „hurdzi“,
choć hurdziło się jeszcze w spiżarniach naszych
babek, rzadko kto „kacza“ beczki po ziemi i psy
coraz mniej „dziaukają“, Gdzież rozmaite inne
„krajne“ słowa? Zagięły bez śladu „kalafarnie“
i „kandyby“ czyli stare ogromne baby, sport no-
woczesny uśmiercił „kiczkę“ wraz z jej matką
„girygą“, a złemu człowiekowi coraz rzadziej rze-
 można „pek pek“ czyli „odpekać“ się od niego.
Tych kilka ostatnich znaczeń wypisałem sobie ze

słownicza prowincjonalizmów galicyjskich, ogłoszonego w r. 1878 przez Piotra Parylaka. Z żalem wypisałem, bo dziś ich już raczej niema, nawet w języku t. z. pospólstwa. Zapotarajkały się, rozdziobane przez kawki austriackie i wyrzucone na śmietnik, wymarły zgłuszone kąkolem, zginęły jak kleparowska czerecha.

I muszą tam na śmietniku czekać cierpliwie tak długo, póki nie przyjdzie wielki pisarz regionalny, który te przeróżne zabrudzone, oplute powiedzonka lwowskie podniesie, oczyści, wywyższy i uszlachcone wprowadzi z triumfem do literatury. Nie gorszy Lwów przecież od Wilna czy Kiele. Wskrześnię, być może, wówczas i ten stary język lwowski, co to nim sobie gadali na codzień Kampiany, Boimy, Simonidesy, Zimorowicze i jak się tam jeszcze nazywali owi mocni ludzie, a świetni pisarze z Czerwonej Rusi.

*

„A ci, którzy nie umieli wymówić wyrazów: soczowica, koło, miele młyn — wszyscy byli ścięci“. Tak działo się w Krakowie w r. 1313 — w czasie buntu wójta Alberta, kiedy, jak objaśnia prof. Łoś, chciano odróżnić Niemców od Polaków i ukarać ich głową za bunt przeciw Kazimierzowi Wielkiemu. I dzisiaj też urzęduje podobny trybunał

doraźny na Mazowszu. W Warszawie ścinają bez litości każdego Galicjaka, paląc go przedtem na wolnym ogniu szyderstwa.

Wśród ośmieszonych powiedzonek galicyjskich nie brak wyrażen, które cierpią niesłusznie. Są wśród nich słowa odwieczne, matuzalowe, jedne stare jak Polska, inne nobilitowane przez mocarzy pióra. I mają papiery heraldyczne w porządku. Kilka przykładów:

Oglądnąć się wolno było ludziom w Polsce już za czasów Biblii Królowej Zofji, a w paręset lat później Cześnik fredrowski, „ogładnawszy się“ rozmawiał z Papkinem, Ujejski zaś śpiewał w ulubionym „Mazurku“ „Bo kawaler śliska rzecz — *zagładnie* i pójdzie precz“. Zatem można śmiało i dzisiaj zagładnąć w Warszawie do Małej Ziemiańskiej.

Nawet ten gromki okrzyk lwowski: „daj sy spokój“ — uchodzący słusznie za obrzydliwe barbarzyństwo językowe — nie wstydzi się swych przodków i jest czcigodnym celownikiem enklitycznym, zapisanym już w najstarszym zabytku polszczyzny.

„Dzieci z *flaszą* do studni“ wysyłał jeszcze Jan Kochanowski. Nos Wyspiańskiego popija stale z „*flaszki*“ — więc może zbyt pokornie ustępuje lwowska *flaszka* wódki przed warszawską butelką

od piwa? *Precle*, których już nie znajdziesz w Tomaszowie, sprzedaje w całej Polsce Jukli w „Sędziach“ Wyspiańskiego; *cwikier* na długim nosie nosiła jeszcze nieboszczka pani Kossakowska pod świętym Jurem itd. itd.

A jak należy mówić: kontrolor czy kontroler, personal czy personel. Kontrolor — woła Imci Ewaryst Kuropatnicki, autor „Geografji Galicji“ z r. 1786, za nim powtarza Fredro i lwowski konduktor. „Personel“ — pisze prof. Fischer, omawiając w swej pięknej książce dzieje personalu w Ossolineum. I pocóż, skoro ta druga postać zrosła się z gwarą lwowską, a synhedrjon językoznawców osądził już dawno, że poprawnie po polsku, mówić by należało raczej tak, jak mówią... w Poznaniu: finał, oryginał, a więc i personal.

Od lat najmłodszych przyprawiała mię o furję lwowska „radyrka“. Tępiłem ją bez miłosierdzia, gdy jednak dowiedziałem się, że Grottger w Paryżu wycierał nieśmiertelne kartony „Wojny“ nie gumą lecz właśnie lyczakowską radyrką i „bałamkał“ przytem nogami — furja osłabła bardzo, dziś już nie gardzę obmierzłem słoweczkiem. I oto chyba sedno rzeczy: nigdy nie pogardzać słowem *a priori*, kierować umiejętnie zwyczajem mownym, wywalczać słowom wzgardzonym rację bytu, a resztę

zostawiać instyktowi językowemu. *Italia fara da se*, lecz Lwów chyba da se także radę.

Więc niechże sobie żyją zdrowe dalej, piętrowe kamienice i składy drzewa rębanego, wazoniki w oknach, łupy z kartofli w kuchni, bilety wstępu i wchody przez bramę. A fiakra lwowskiego nie zmieniać ani na warszawską dorożkę, ani na wielkopolską powózkę. Właśnie fiakier! Naprzekór fiakier! A jeśli się Kongresowiak wyśmiej, wtedy mu powiedzieć, że pierwsze fiakry pojawiły się... w Warszawie za czasów Stanisława Augusta. I też niech w zdrowiu żyją cepy i makabundy, kaczany, tumany i gogusie!

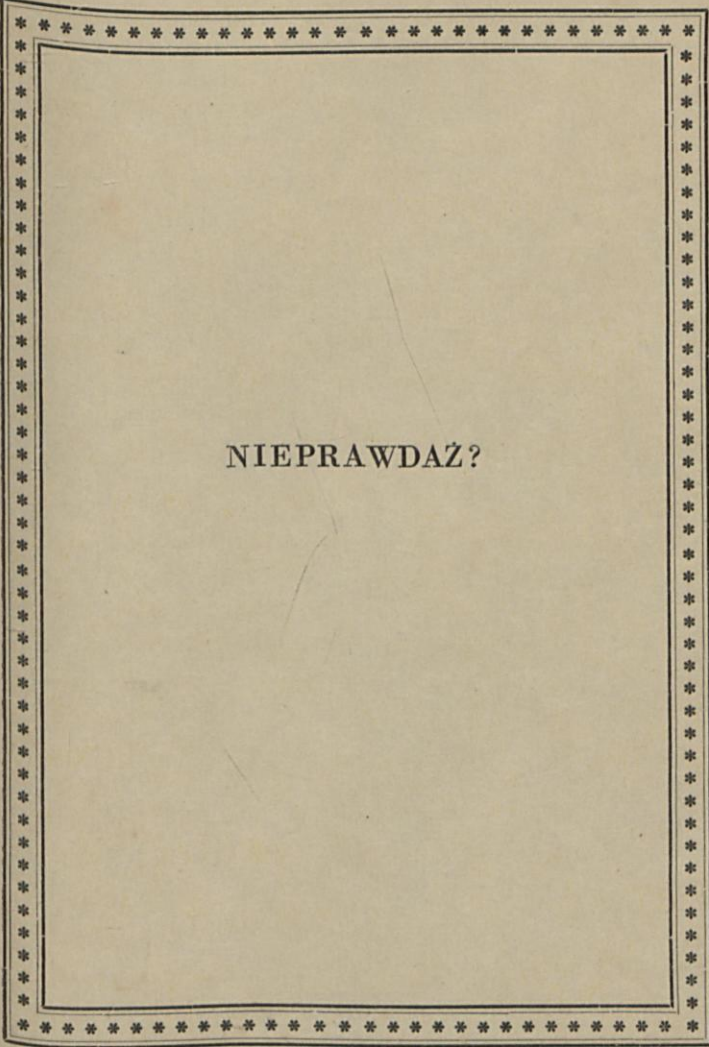
*

Więc trzeba języka lwowskiego mądrze bronić przed zdewaluowaniem. Mądrze. Krótkie słowo, lecz długo prawićby należało co oznacza. Resztki narzecza lwowskiego raczej przechowywać, niż tępić bezzasadnie. W czującym wiedzeniu chować, a z miłością. „Miłość może być głupia, chora i nieodłączna, trzeba zaś aby była rozumna, zdrowa i silna“ — powiada arcykapłan lingwistyki polskiej, prof. Rozwadowski. I dodaje: „język jest tak niesłychanie ciekawym i podziwu godnym wytworem duszy ludzkiej i takim arcydziełem kultury, że nie przystoi człowiekowi zajmować wobec

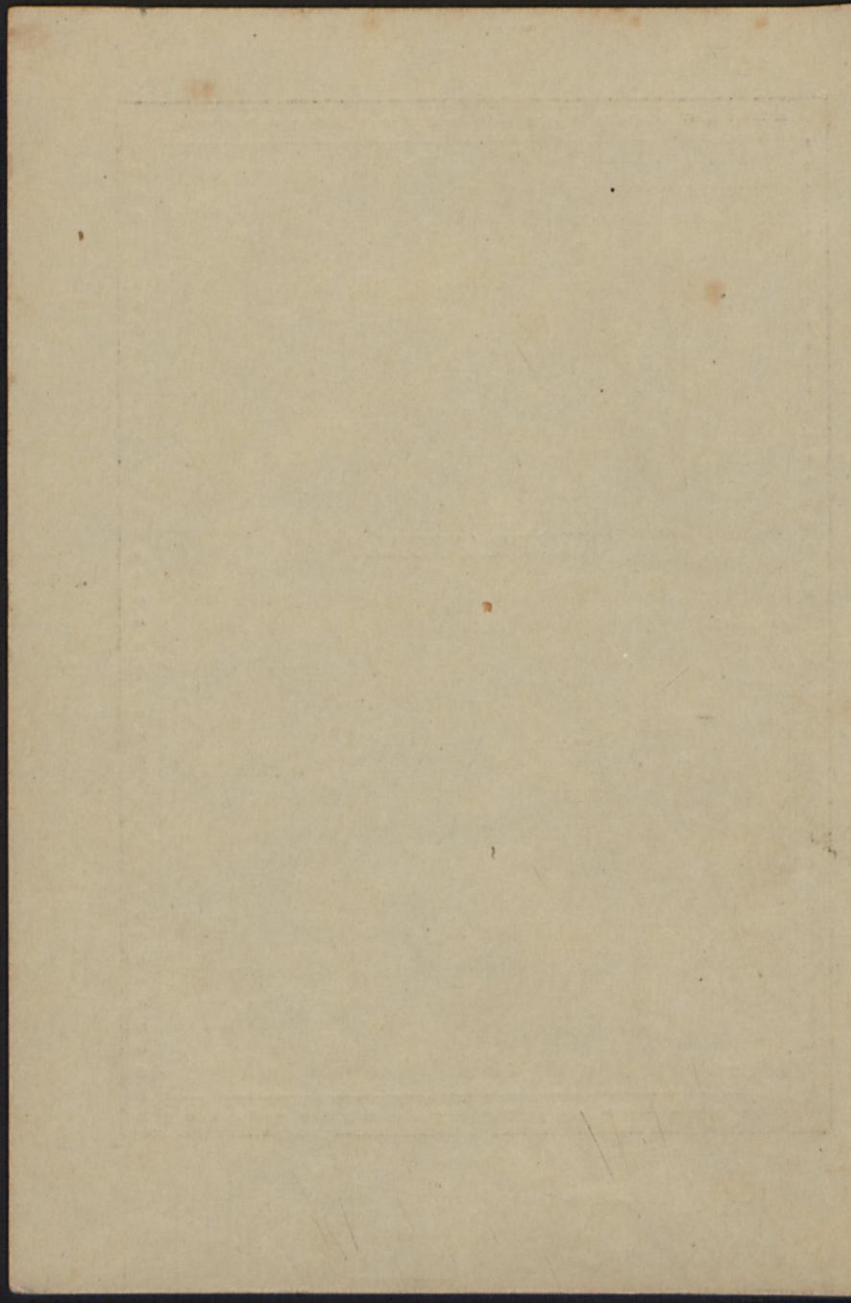
niego stanowisko czysto użytkowe. I wszyscy mają doń prawo, wszyscy są w języku twórcami, pracownikami i artystami..."

*

A taki jeden właśnie, księgi oddzielnej godzien za to wszystko co jęzorem z językiem wyrabia, jednym słowem A. Nowaczyński pisze gdzieś o Lwowie: „Ja bowiem Lwów kocham istotnie, bez zastrzeżeń i restrykcji... Nawet żydy lwowskie, choćby zaciętsze i zaufalsze, dla mnie są sympatyczniejsze. Mnie we Lwowie wszystko się podoba, nawet ten nieład, ten może nawet brud, ta bida z nędzą mają dla mnie jakiś urok, jakiś *charme*. *Leopolis cantat*. Jak można nie kochać się w mieście, w którym tyle domów jest postrzelonych. I tylu ludzi także. Mnie już nawet nie imponuje obrona Lwowa, bo sam czuję najgłębiej, że za miasto, gdzie dziewczyny tak się do słońca i życia uśmiechają przychylnie, za miasto, gdzie wszyscy tak głośno i hałaśliwie, szczerze, serdecznie mówią, za miasto Ujejskiego, Pola, Fredry, Smolki, Skarbków i Gołuchowskich można łatwo walczyć i życie można oddać bez żalu, bez żalu“.



NIEPRAWDAŻ?



Nieznającemu Poznania Królewiaкови spieszy się do Teatru Wielkiego. Stoi na placu Działowym i pyta o drogę. Pójdzie pan — brzmi odpowiedź przechodnia — Alejami Marcinkowskiego, nieprawda — Pl. Wolności, nieprawda — koło Dobskiego, nieprawda? Królewiaк stropił się, usłyszawszy tyle nieprawdy. Ależ jabym chciał naprawdę wiedzieć, którądy droga, bo mi spieszno! W tej anegdocie uchwycono dość trafnie drażliwość dzielnic na swe języki domowe.

Kiedy przed laty wujek Czesio w tej samej co i dziś ma brodzie i w latowem palcie zjechał z pod Prusaka do Lwowa, pokłóciliśmy się zrazu na amen. O niebyle co, bo aż o dwie zbrodnie w trzech słowach. Ujrzawszy letnią wodę w węborku, skoczyły sobie zaraz do oczu stare antagonizmy dzielnicowe. Jakże to? U was i woda jest letnia i paltoty?! — wołał Poznańczyk. A my wzajem huzia na niego tym węborkiem i zdziebkiem i kaziorem. Nieprędkośmy się pogodzili, bo sprawa niełatwa była do roz-

sądu. Spierał się wszakże u nas król Jagiełło z królową Rzepichą. Wujek Czesio za panią matką Rzepichą obstawał przy wielkopolskim wygłosie i słownictwie, a myśmy od Jagiełły już chyba chodzili w letnich paltotach, a od Zygmunta w mesztach. Kto mówił lepiej, kto z nas miał rację? Poznać, czy Lwowianie? Już samo postawienie takiego pytania wydaje mi się dziś idjotycznym. Równie dobrze możnaby udowodnić, że Mysia Wieża jest brzydka, albo Wysoki Zamek we Lwowie źle położony. Więc aby pierwszą zburzyć, a drugą przenieść do Warszawy.

Przykład może niezbyt trafny, o ile o język chodzi, bo może się nim zasłonić każdy bęcewał nieumiejący po polsku. Ale to inna sprawa. Sprawa szkoły i nauczyciela, problem znajomości języka i błędów. Mnie chodzi natomiast o naszą postawę wobec zjawisk językowych, wyniosłą i egzotyczną. Małomiasteczkową raczej, niż — wielkomocarstwową.

Odrębność wymowy wielkopolskiej jest naturalna; narzekamy ogólnie na jej „niemiecki“ podźwięk. Wyraża się on w pewnych cechach fonetycznych, których nie może nie być na zachodzie Polski. Plemię, któremu los kazał przez stulecie całe uczyć się w szkole niemieckiej, musiało na-

brać odrębnego od reszty narodu obyczaju fonetycznego i cech właściwych temu południkowi. Do najważniejszych z nich, zaliczają uczeni w piśmie trzy uchwytnie odrazu odrębności: języczkowe *r*, przydechowe *th* i wąskie *e*. Za sprawą owych języczków i przydechów, laickiemu uchu naturalnie niedostępnych, wydaje się Poznaniak dziwem zamorskiem dla uczciwych uszu lubelskich, wileńskich czy krakowskich. I naodwrot.

Wielkopoleanie są to ludzie dokładni. Język ich lubi również wiedzieć dokładnie, o co idzie: tu stąd, tam dotąd. Słowa wyposażone są strzałkami, wskazującemi niezawodnie treść i zakres pojęcia. Grają na instrumencie mowy praktycznie, realnie, rzeczowo. Słowo urodzone w województwach zachodnich będzie miało zazwyczaj więcej praktycznej rzeczowości, niż skrzydeł, niż wdzięku i dźwięku. Takiego, co jeździ na rowerze, nazwali kołownikiem i to im wystarcza na codzienny użytek. Pedantyczni są również. Do rozpaczy doprowadzić może pedantyczna dokładność w wymawianiu niektórych nosówek: piętnaście. I przyzwyczaić się trzeba do bezpośredniości znaczeń. „Gospoda obywatelska“ w Poznaniu to zgoła co innego, niż „Resursa obywatelska“ w Warszawie. Lub gdzieśby cukiernik krakowski zachwalał „wypiek do-

brych ciastek“. Wrażliwe ubranie znaczy takie, które ci wpada w oko.

Wielkopolska to przepyszny rezerwat językowy. Jak limby i cisy w parku natury, jak żubry i łosie, kozice i kosodrzew, tak tutaj żyją sobie w najlepsze i krążą w codziennej mowie powiedzonka, które myśmy w centralnej Polsce odesłali dawno do lamusa literatury. Poznańczyk chodzi na przechadzkę codzień, my już tylko w książkach. *Gromy* biją u niego zamiast *piorunów*, worek nazywa się *miechem*, krzak *kierzem*, a burza *powietrzem*, jak w suplikacjach. Spytajcie o skopowinę na targu krakowskim czy warszawskim. Ani śladu. Pojawia się raz do roku około Bożego Narodzenia w kolendach. Cechuje Wielkopolan uparty konserwatyzm językowy. Są zaciekłymi reakjonistami słowa. Pasjami lubię smakować w tych antykach brzmień i znaczeń wydobytych ze średniowiecznej gdzieś almarji. I dziwuję się: przedtem żyły dla mnie tylko w starej, kochanowskiej książce zasuszone, a tu chodzą młode, czynne w kieracie języka po Wildeckim rynku. Uczeni w piśmie radują się bardzo z tego, że niejedna właściwość przyrodzona mowy pozostała tu taka, jak w prawięku bywała. Jest rzeczą prawdopodobną, że książę Mieszko mówił: „psiakręc, dzięka

Bogu“ i oganiał się od swych, nad miarę świegocących dworek: „Idź-ta prek psiaduszne selery“, że szklarz Frąckowiak już wówczas rznął szyby na poczekaniu, a potem, żeby nie pleśnieć po kuntach jachali wszyscy powózką na ostatni program do kina „słujące“.

*

„Prosimy na herbatkę, albo na kawkę“. W takim wyrażeniu w ustach centralno-polskich słychać zawsze odcień pieśczołliwości, który kiedyś indziej zmienia się w lekceważenie lub pogardę. Do nadania takiej barwy uczuciowej słowom służą w języku deminutiva, czyli rzeczowniki zdrobniające. Mówimy i piszemy raz słodko, to znów ironicznie, a zawsze z przewagą pierwiastka emocjonalnego: dobre piwko, złe strzemionko, miła salka, odludny klasztor.

Zupełnie inaczej dzieje się w Polsce zachodniej. Te wyrażenia są na jej gruncie normalne. Przyrostki pomniejszające nie koniecznie wnoszą tu wartość uczuciową w głąb słowa. Tu kupisz „skórkę“ (całą skórę wołową), pod moim oknem na Dymbeu grają „juchty“ w koniczynekę, bez pieśczoł. A jeśli uczony poznański zapowiada ogłoszenie „rozprawki“, to będzie ona napewno rozprawą o 20-stu arkuszach. „Wódka“ to litrowy

butel wody kolońskiej, klasztorkiem nazywają klasztor wogóle. „Wystawka“ też była niczego. Wynika stąd: deminutiva ogólnopolskie nie zawsze mają na zachodniej grzędzie znaczenie pomniejszające; często są jedynem właściwem określeniem pojęcia.

Owa sympatja jest też sędziwym zabytkiem. Sięga czasów zygmunto-wskich, w których język polski, sam jeszcze niemowlę, nurzał się chętnie w zdrobnieniach, zdobił „koszulki“ „brameczkami“, świętował „Boże ciało“ itd.

Ludzie nie umieją — u nas, i nietylko u nas zresztą — smakować w języku tak, jak się smakuje w jadłospisie, albo w markach samochodu. Nie chcą się na tem znać poprostu. Z prześmiewaczy językowych mało kto wie, że spora część np. odrębności wielkopolskiej, rażącej ich uszy, to — zabytki starej, zygmunto-wskiej polszczyzny, to sędziwe akordy przeszłości, których wcale głuszyć nie trzeba! Posprawiali sobie ogromne notesy, i dalejże zapisywać wszystko, czego w domu nie słyszeli. Pieczołowicie i skrzętnie wycinają ogłoszenia z dzienników, układają słowniki targowe i kuchenne, zapisują niezrozumiałe dla nich pożyczki z gwary i wreszcie z największą uciechą — germanizmy.

*

Powiem teraz, co myślę o tych germanizmach poznańskich. Są one dwojakie. Jedne wzięte wprost, wcielone do języka w oryginalnym kształcie i opakowaniu. Te mnie nie martwią. Wcześniej czy później najwyższy trybunał językowy, t. j. zwyczaj mówienia da sobie z nimi radę. Ostruże je i przyswoi albo wywiezie na gnoju, jak chłopci Jagusię u Reymonta. Niebezpieczniejsze i gorsze są germanizmy inne. Owe dosłowne przekłady, te tam kute pospiesznie w ogniu walki wyrażenia aby koniecznie polskie: obłożenia, skrzydła i rozmaite potrawy ilustrowane. Ze słowami temi jest tak, jak z żołnierzem na froncie. Kto tam zważa na czystość jego koszuli? Co innego, gdy wróci z wojny. Wielkopolska wróciła z wojny, więc może spokojnie zrzucić brudną koszulę tych słówek.

Gdy wyjść o południu niedzielne na plac Wolności i postrzyc trochę uszyma i rozejrzeć się w rozmowach, dziwnych człowiek doznaje wrażeń. Toż tam w biały dzień spacerują sobie potworne słowa-cudaki! W konfederatce na łbie, w spencerze na zadku. Piastowskie antenaty przemalowane brutalnie przez szkiebra w pludrach, zmienione w wygłosie i składni, chodzą sobie za pan brat z tubylcami. Bywa, że pośród dziesięciu okropieństw nalotowych błysnie jedna jasna

rdzenność, ale ich nie przeważy, chociaż tamte wszystkie liczą ledwie pięćdziesiąt lat życia a ona tysiące! Zatykam tedy uszy słysząc przeokropne regionalia-fekalia, smażone na kiepskim kunerolu niemieckim.

I dopiero po długiej chwili omdlenia cuci mnie konduktor tramwajowy i jednym otwarciem ust wynagrodzi czasem te tam okropności. Ni stąd ni zowąd wypśnie mu się takie słówko, za którym stoi Bolesław Chrobry z mieczem! Lecz na zupełne zwycięstwo Chrobrego jeszcze poczekać trzeba. Odniesie je w dziedzinie mowy uczniak dopiero, który dziś litery składać zaczyna.

*

Do pani Morskiej w Zarzeczu pod Przemyślem zjechała w gościnę pani Tytusowa Działyńska z Kórniku. Działo się to w r. 1833, pan Mniszek niestary jeszcze był i dobrze sobie wyglądał. Więc mu powiada pani hrabina, ucieszona wielce:

— Jak pan dobrze wypatrujesz, panie Mniszek.

Pan Mniszek stropił się a zdziwił, nie wiedząc, o co chodzi i rzecze:

— Ja tylko w lesie wypatruję, proszę pani hrabiny.

— Jakto?

— A tak, czy nie nawinie się jaka zwierzyna.

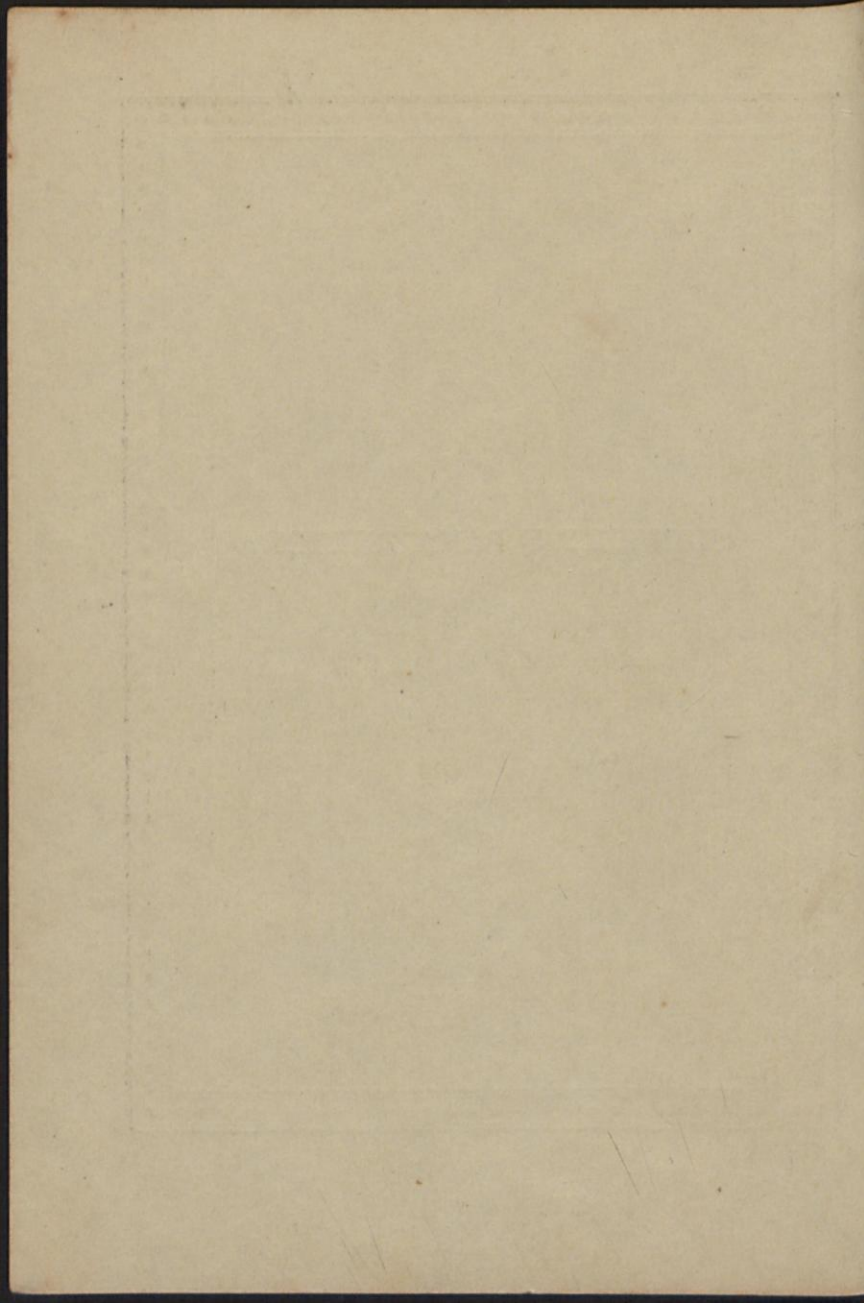
Przemiął potem wiek cały prawie od tego czasu, w którym pan Mniszek nie zrozumiał pani Działyńskiej. Błękitni rycerze Hallera idą na zaślubiny z morzem. Po drodze szukają fryzjera. I znajdują na Pomorzu szyld z napisem „Izba pielęgnowania płci“. Cały sztab w ryk i nuże do golarza z propozycjami, których biedak nie rozumiał, bo nigdy nie słyszał, że płeć może znaczyć co innego, a nie cerę. Hallerczycy opowiadali mi to z wesołym oburzeniem, niemniejszym od wesołości pana Mniszka, który do dziś jeszcze śmieje się w starym liście z owego „wypatrywania“.

W obu wypadkach zetknęły się dwa różne odłamy rasy polskiej i to na tej krawędzi, na której najtrudniej o porozumienie i zatarcie różnic. Jedni i drudzy wyrosli w innej atmosferze dźwięków, w swoistym systemie wokalnym, w którym odrębność znaczeń najmniejszą odgrywała rolę. Język mówiony Wielkopolan jest wogóle z innej gliny ulepiony. *Trześnie* kwitną u nich, a nie *czereśnie*, a wszystkie *czerechy*, *halasy* i *czerepy* wydają tu się czemś nienawykłym, czemś co nie rośnie na ich glebie językowej. Bo też są w istocie małoruską pożyczką na weksel, którego Zachodnia Polska nie podpisywała.

Poznaniak i w dziedzinie językowej także jest

antytezą Mazura. Tamten, ekspansywny, rad się rozpycha łokciami powszędy, on woli u siebie w domu. Zdrowy, rumiany, ogorzały gospodarz na swych pyrkach, nie rad jeździ język wielkopolski za granice ojcowizny. A o te germanizmy nie martwi się. Powiecie mu, że się martwi za mało — odrzeknie: Uee-tam! Tysiąc lat dawałem im radę, potrafię i drugi. Nieprawdaż?

KONCERT U PANA REKTORA



Październikowy, trochę mroźny ranek w roku 1909-tym. Setna rocznica urodzin Słowackiego. Wielkie święto we Lwowie. Zjechali z całej Polski na kongres poloniści. Poznań, Wilno, Warszawa. I tam dalej. Za chwilę rozpoczną się obrady na ratuszu. Powita gości prezes Kallenbach, przemówi imieniem Krakowskiej Akademji prof. Tadeusz Grabowski. A tenor ich przemówień ma być w nieostatnim rzędzie hołdem dla człowieka, o którym wciąż jeszcze niewiadomo, czy przybędzie. Jedenasta mija, oczekiwanie wzrasta...

Pan rektor Malecki opiera się tymczasem w swoim ossolińskim „tusculum“ naleganiom, nie słucha ani Władysława Belzy, ani Tadeusza Czapelskiego. I mówi: Kto przeszedł dwie strudelki (a mijał mu właśnie rok 88-my) ten niech za piecem siedzi. Bo i pocóż — widzisz pan. Ja com miał zrobić dla „pana Juljusza“, to już zrobiłem, widzisz pan.

Dał się wreszcie uprosić, włożył na przedwieczny anielez zieloną ze starości lisiurę i pojechaliśmy na ratusz. Wypadło mi, jako najmłodszemu z członków komitetu, asystować w szatni, gdzie się pan rektor rozbierał. Zadanie bynajmniej nie łatwe. O zdjęciu zielonej lisiury, która pamiętała chyba czasy Mierosławskiego, ani mowy. Daremnie usiłuję tłumaczyć, że sala jest ogrzana, więc możeby przecież lepiej zdjąć. Ani mowy. Wprost przeciwnie.

— Bo to widzisz pan — zabrzmiał Małecki swoim dębowym wygłosem, a mówił przedziwnie, akcentując każdą zgłoskę zosobna — muszę uważać na siebie. Raz przeziębilem się i chorowałem. Było to w roku tysiąc osiemset czterdziestym i...

Kiedy się pan rektor przeziębiał, czy jeszcze w Poznaniu, czy może w Warszawie, tego już dowiedzieć się nie zdołałem, bo za chwilę cały gmach ratuszowy od przysieni aż po galerje huczał. Ludzie z trzech zaborów kłaniali się przed surową postacią starca, jakby przed uosobieniem twardej mocy, jakby na widok cudownego symbolu zjednoczenia. Niedaleko było z Ossolineum na ratusz, a przecież z oddali przybywał ten 90-letni starzec. Z innego czasu, z innej epoki. Ten, który odkrył Słowackiego, był czemś więcej, niżli honorowym prezesem zjazdu ku czci poety. Dla niego żywą współczesnością było

* * * KONCERT U PANA REKTORA * * *

to, co tu czczono jako przeszłość, historję i mit. On zapamiętał rok 1831, a ci trzej narodowi święci, to ludzie z jego pokolenia. Pan Adam, Pan Juljusz, Pan Zygmunt. Pan Zygmunt — wiadomo — wydziwić się nie mógł tej niezwyklej bystrości, z jaką młodziutki Małecki zanalizował „Irydjona“. Pan Juljusz — zjechał był wówczas do Poznania, kiedy Małecki był tam nauczycielem gimnazjalnym. O „panu Adamie“ ogłosił Antoni Małecki jego pierwszą wogóle polską biografję.

A potem odchodziły w przeszłość pokolenia, ludzie i epoki całe. Długowłosey młodzian z portretu Jaroszyńskiego zmienił się w białego i surowego biedermajerowskiego dziadzię, jakim go widzimy na ostatniej zbiorowej fotografii z rówieśnikami Szumanem i Rybińskim w r. 1906. Siedmdziesiąt lat pracy naukowej i nauczycielskiej miał wówczas za sobą patriarcha w zielonej od starości lisiurze, przez siedm dziesiątków lat uczestniczył w budowie gmachu kultury polskiej, nauczyciel trzech pokoleń, którego dzielnica piastowska wysłała na Wschód jako misjonarza swej tężyzny, jako instruktora tej twardej, łamiącej przeszkody pracy. Symboliczną też stała się cała działalność sędziwego piastuna, od którego ileż nowych rzeczy rozpoczęło się!

Był Antoni Małecki ostatnim z owej wielkiej plejady Wielkopolan, którzy podjęli pracę wraz z Marcinkowskim i nienajgorzej się zasłużyli. Był z tego wielkiego pokolenia, z którego wyszli i genialny pedagog Ewaryst Estkowski i Hipolit Cegielski, esteta zrazu, później pionier uprzemysłowienia Księstwa, i historyk Moraczewski. Tamci zostali w domu. Małeckiemu zaś los kazał pójść na Wschód i podjąć pracę misjonarską w Galicji, a owocami tej pracy pożywała się wkrótce cała Rzeczpospolita.

Wiadomo: Jego wykład w uniwersytecie lwowskim był pierwszym jasnym promieniem słońca i powiewem nowego życia w ponurych murach zniemczonego uniwersytetu. (Bardzo starzy ludzie we Lwowie opowiadają jeszcze cuda o tem, co się działo!) Jego dzieło o Słowackim stało się elementarzem i katechizmem nowoczesnej historii literatury, która urodziła się wraz z tą książką! Jego we Lwowie napisana gramatyka była pierwszym i jedynym na długie lata podręcznikiem, z którego trzy pokolenia niewolnych Polaków uczyły się mówić i pisać po polsku.

Nie rozumiałem nigdy, poco właściwie latam coraz na piętro do surowych, niestrojnych izb staruszka, który już mało co troskał się o bieżące sprawy,

* * * KONCERT U PANA REKTORA * * *

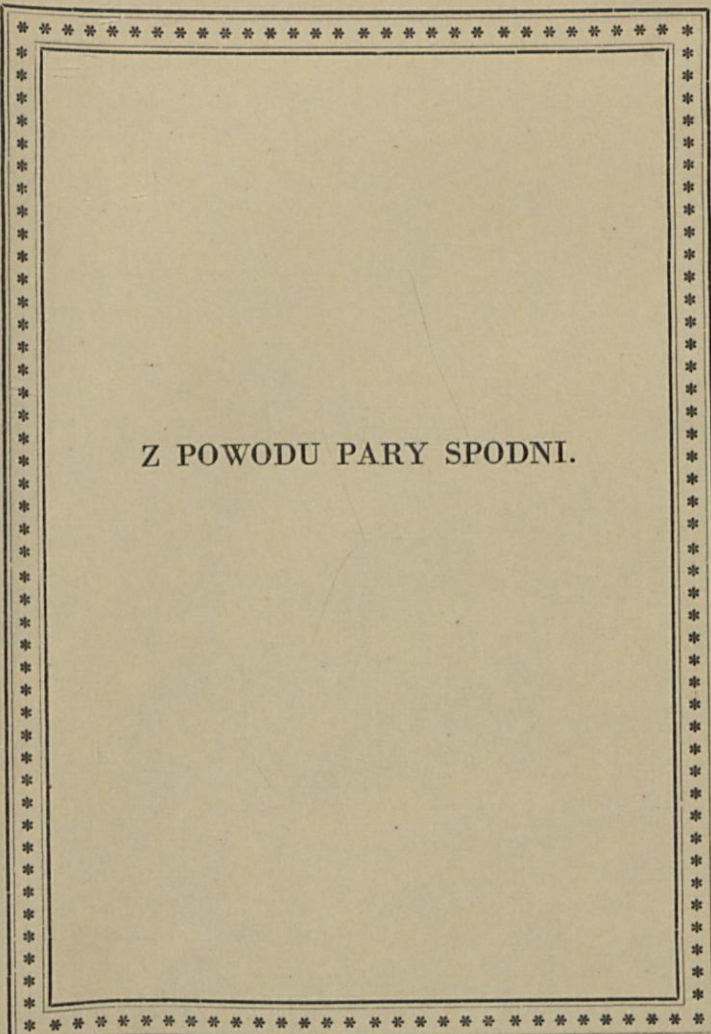
a stale załączał mi ukłony dla jakiegoś dawno umarłego dziadka. A to się szło przecież na koncert! I wogóle ludzie słuchali radośnie szumu dębiny słowa pana rektora, tych jego dzwonionych w metalu wydźwięków, odbiegających cwałem daleko od ciąglistego śpiewu Lwowian.

— Bo też to jest daleko, widzisz pan — mówił mi Małecki, gdy raz dosięgnął staruszka na ulubionej przechadzce na cmentarz lyczakowski. Oparł się ręką o głaz mogilny i mrukiem odczytywał napis po raz siedmsetny zapewne: „Ku czci i pamięci brata z Wielkopolski Franciszka Zaremby za wierną służbę pod wodzą Kościuszki, któren zmarł w Rzędnie polskiej w 112 roku życia swego.“ Widzisz pan.

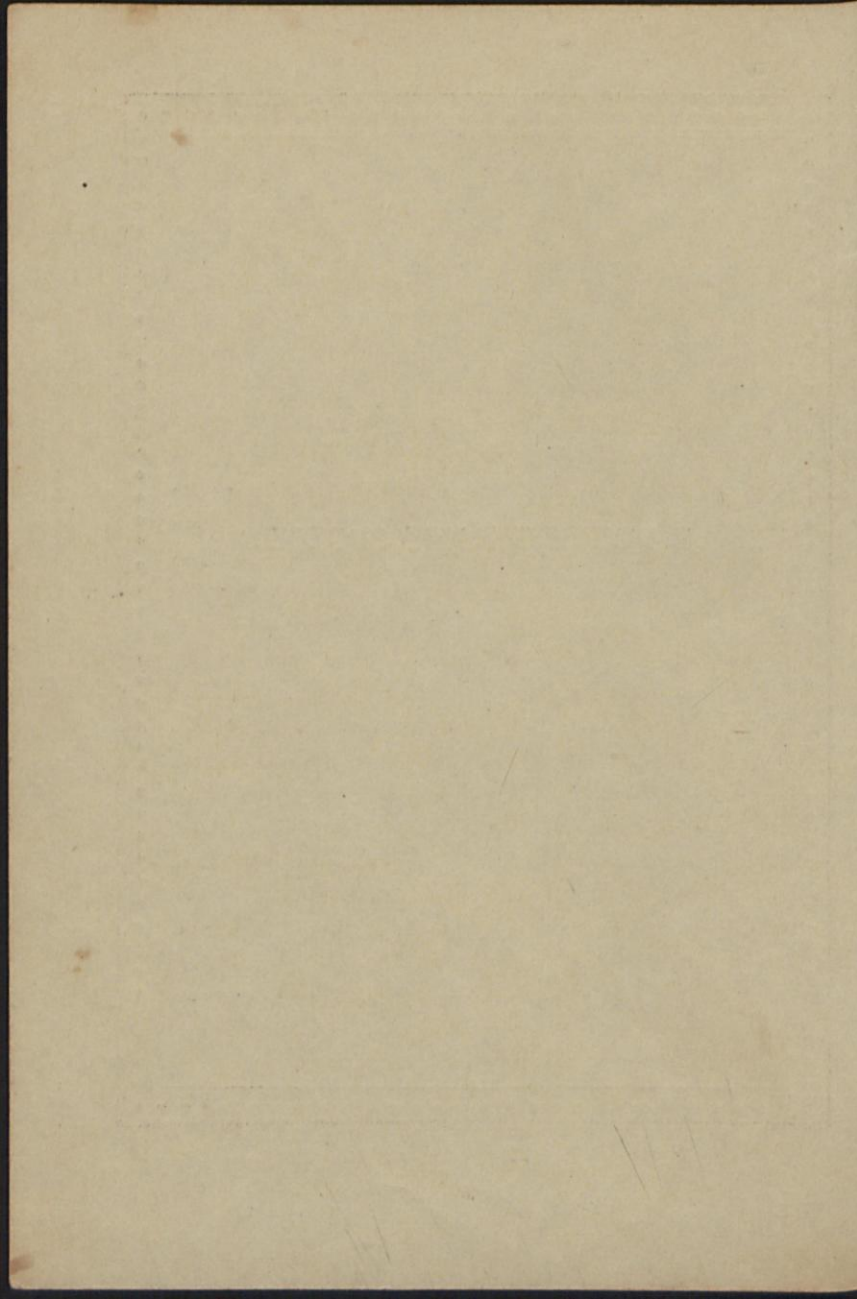
— Toż tu błąd jest. Bo dziś już nie mówimy: któren. I nie Kościuszko zmarł, ale Zaremba. Ale pogrzeb, pamiętam.

Ostatni raz spotkałem pana rektora łońskiego roku w Poznaniu. Było to w ostatnich trzech minutach kiedy słońce stanęło nad zacierzewanem boiskiem a rozgrzany walką tłum czekał w gorącznie: „Pogoń“ czy „Warta?“ Poznań czy Lwów? Komu zaświeci w oczy, komu da, komu odbierze ostatnią bramkę. I wtedy w promieniach rozchmurzonego słońca, które, jak sędzia nierychliwy nie wzięło udziału w sporze, świecąc obu zapaśni-

kom jednak — błysnęła mi zielona od starości lisiura gramatyka, biadającego że się zaziębił w roku czterdziestym i którymś. Piastunem go nazwać i misjonarzem. I też był takim, widzisz pan. Piastował na swych rękach nie tylko pokolenia, ale prądy całe i epokę w kulturze. A z kolebki wyszedłszy, poszedł na dalekie okraje, z szumem kłosów przygoplańskich na czerwieńskie pola.



Z POWODU PARY SPODNI.



Dlaczego mówimy „para“ spodni, „para“ pantalonów, czy się kto nad tem kiedy zastanowił? Przecież to jest nonsens oczywisty! Może i musi być para pończoch, para bucików, para spinek od mankietów, inaczej nie mógłby człowiek wyjść z domu. Ale skądże ta para spodni? Przecież są one jak dotąd tylko jedne, w liczbie pojedynczej nie dadzą się pomyśleć, ani użyć w mowie, a tem mniej wdziać. Jest jedna pończocha, jedna skarpetka, ale niema jednej spodni. Wy tłumaczenie tej zagadki staje się bardzo łatwem, jeśli zajrzemy do pierwszego z brzegu podręcznika kostjumologii (nie polskiej, rzecz prosta, bo na taką nie zdobyto się u nas dotąd). Para spodni, to prastary, trafem jakimś zachowany zabytek językowy, w którym kryje się daleki ślad troski, pamiątka kłopotów, jakie przechodzić musiał człowiek, zanim zdołał nareszcie przyodziać swoje uda i kończyny dolne.

W wiekach średnich mieli ludzie bardzo wiele kłopotów. Bali się diabła, końca świata, antychrysta, który, tylko co patrzeć, nadjedzie w żelaznym piecu, ale o pantalony nawet nie zabolą ich głowa. Dlaczego? Nosili bowiem szaty długie, po kostki. To zaś, co kryło się pod powłóczystą szatą na nogach, było niewidoczne, a więc nie najważniejsze, a więc prawie obojętne. Dopiero w ciągu XIII stulecia dokonano odkrycia bardzo ważnego. Odkryto mianowicie stan człowieka, ujawniono jego kształt i figurę. Schowany dawniej w przestronnych faldach długiej sukni, zrzucił nagle te krępujące więzy i błysnął linią swego ciała. Ukazał łopatki, uda, łydki i łędwie.

Pojać dziś nawet trudno, jak dalece wydało się to ludziom potworne, do jakiego stopnia gorszące! I bierzemy się za boki od śmiechu, słuchając, co nam o tem powiada pewien pobożny kronikarz moguncki z r. 1367. Powiada bowiem tak: „O jakież to hańba nie do uwierzenia! Już tak dalece zaszła głupota ludzka! Młodziki noszą szaty tak krótkie, iż ani tyłów ani części wstydlivych nie okrywają. A gdy się taki pochyli, to... lepiej nie mówić. O wstydzie!”

Pobożny ten kronikarz miał rację o tyle, że istotnie, gdy się ktoś nieuważnie pochylił, otoczenie

mogło być bardzo zakłopotane. Problem odkrycia kończyn dolnych był jeszcze bowiem nierozstrzygnięty, jednym słowem — otwarty. Dyskusja wrzała. Francja podzieliła się na dwa wrogie obozy: *gens de robe longue*, gdzie zgrupowali się starzy, ci po kostki i *gens de robe courte*, fireyki z odsłoniętym udem. Spierano się zawzięcie, co zrobić z tą nagle ujawnioną, niepotrzebnie wydobytą na światło dzienne częścią ciała? I długo łamał sobie głowę krawiec średniowieczny.

Wszystkiemu złemu zaś winien był styl gotycki, ostrołukowy, strzelisty i smukły, wszystkiemu winien był rycerz średniowieczny, który szedł teraz do walki z żelaznymi nagolenicami na odsłoniętych udach, winna była wreszcie estetyka średniowieczna i zwarjowana moda, która uczyła, że należy podkreślić i uwydatnić w figurze człowieka to, co jest piękne: a więc: szerokie bary, smukłą kibić, zgrabne i długie kończyny. Szata musi być jak kościół gotycki, strzelista, smukła i obcisła, musi dokładnie opinać bryłę ziemskiej powłoki grzesznika. Ścieśniono tedy i opięto suknie, wymyślono zapinane z przodu kabaty (*gipon*). Ale co zrobić z nogami, jak okryć całą część ciała między bucikiem a stanem? Dotąd bywało rozmaicie, na nogach noszono długie sukienne pończochy, czasem, jak za Karola Wiel-

kiego, różnobarwne owijacze. Więc je zaczęto przedłużać wysoko, aż po uda. Tymczasem kabat skracał się coraz bardziej i wreszcie sięgał ledwie po biodra. Krawcy byli w rozpacz. Przypinali tedy tasienką, haftką lub pętelką bardzo kunsztownie każdą pończochę z osobna do kusych końców tego kabata. W tem urządzeniu człowiek ruszyć się nie mógł i drżał o każdy następny krok.

Nareszcie wybawiła Europę z kłopotu Burgundja, uczyniwszy w XIV wieku wynalazek, który długo uchodził za wiekopomny, jako ostateczne rozwiązanie problemu. Na biodrach ukazały się bufiaste opaski w rodzaju majtek kąpielowych i do nich dopiero przytwierdzało się obcisłą, długą, na każdej nodze innego koloru pończochę. Kiedy dziś na minjaturach średniowiecznych lub obrazach flamandzkich mistrzów lub wreszcie w operze czy na filmie spotykamy się z tem barwistem odzieniem odnóży, ani nam przez myśl nie przejdzie, ile kłopotu ludzie mieli z tem ubiorem i jak bardzo dumni byli z tej pary spodni, które dopiero w epoce renesansu stały się osobną całością.

W Polsce dzikawej niewiele jeszcze się tem kłopotano. Nosili się w niej ludzie przez długie wieki, po bożemu, zawinięci szczelnie po kostki. Kusym był chyba Niemiec, który zjechał do miast, kusym

był księżę piekiel, czart. Pismo św. uczyło: „Kształtny djabeł w pasie“. Pieśń śpiewała: „Rachciach-ciach-rachudrach, przyszedł do wsi Niemiec w pludrach.“ W takich kabatach modnych pojawili się na dworze wawelskim eleganci z Witoldowej Litwy, w takich kusych „jopach“ przyjechali Niemcy. I odtąd djabeł polski chodził kuso. Ale tubyley nierychło.

Szedł wprawdzie rycerz do walki w zbroi obcisłej, szedł, bo musiał, tak, jak my dziś do kąpieli. Przed bitwą i po niej okrywał zbroję opończę. „Polacy nie noszą nogawic nigdy lub bardzo rzadko (*nunquam vel raro*)“ zapewnia podróżnik z XV wieku. Chyłkiem jeno tu i ówdzie próbował się niektóry fireyk „przekabacić“, lub „brał się za boki“, lecz patrzono nań ze wzgardą, a ślad tego pozostał do dziś w samem znaczeniu tego wyrazu. Myślano o nich tak samo, jak ów pobożny kronikarz w Moguncji. Nieinaczej też mówił ks. kanonik Maciej z Raciąża, choć w sto kilkadziesiąt lat później i słowy innemi z ambony do swych wielkopolskich, zdaje mi się, owieczek: „Zamilezę o tych, którzy obyczajem pogan noszą nogawice i kabaty, zamilezę o tych, którzy wędrują niby bociany i zórawie, ukazując swe tyły i nogawice“...

Rozmaicie z temi nogawicami bywało jednak,

Burgundja była bowiem daleko, a Bóg miłosierny wysoko. Noszono kuse kabaty po miastach, o nogawice zaś starym obyczajem troskano się niewiele. I daremnie np. groził surowemi karami statut cechu paśników w Krakowie: „Gdyby który towarzysz siadł przy szynku, nie mając nogawic, ma być karan“. Albo: „Gdy będzie przy nas pół roku i nie sprawi sobie nogawic, ma być karan“.

Gdy tak towarzysz cechowy karan był za opieszałość i nieprzyzwoitość, szlachcic poszedł inną drogą. Nie chcąc naśladować obcisłych wymysłów burgundzkich, pożyczył sobie od Turka i Kozaka buchastych, obwisłych szarawarów. Minęły potem wieki i czasy mody, ale odwieczna para spodni już pozostała w języku na zawsze.

Żyjemy dziś w epoce gwałtownego przewrotu w modzie kobiecej. Padają słowa gromkie i anatemy, jakżeż podobne w swem oburzeniu do słów pobożnego kronikarza!

I tak samo pojąć ludziska nie mogą sukienkoszulek, jak nie chciał zrozumieć ks. Maciej z Raciąża, że nie jest zbrodnią naśladowanie smukłości żórawiej czy bocianów.

Może i z nami tak będzie kiedyś. I będą potomni brać się za boki ze śmiechu?

Może i po nas zostaną takie przysłowia.

Może. Ale i ci ludzie, którzy się wezmą za boki, będą inni.

Inni, to znaczy zapewne — lepsi.

*

Ale do rzeczy. Aniśmy się spostrzegli, jak nam się wiele rzeczy rozjaśniło. Wiemy, skąd się wzięła nietylko para spodni, ale i branie się pod boki i kranie kurt, czyli szat przemądrych, krótkich. Ze szkoły pamiętamy, że „podwika“ oznaczająca zasłone niewieścią, przeszła wślad zatem na kobietę samą. Omawiając znaczenie i życie wyrazów w 2-gim tomie swej „Gramatyki polskiej“ (Lwów 1925) pisze znakomity badacz języka prof. Jan Łoś: „Najbardziej obrazowemi są wszelkie przenośnie czerpane z życia z obserwacji, z otaczającego świata zjawisk, z którymi się żyjemy i spoufalamy. Nie dziw przeto, że dawni twórcy literatury naszej, przedstawiciele głównie ziemiaństwa czerpali swe przenośnie z zajęć rolniczych, z polowania, z rzemiosła rycerskiego i po nich odziedziczone wyrazy i wyrażenia przenośne przeszły do potomków i niejedno z nich siłą tradycji żyje dotychczas“.

A właśnie ubiory, to jeszcze jedna dziedzina, z którą się żył i spoufalił szlachciec polski. Przedzierając się niedawno przez ten las dziewiczy, od wielu lat dziesiątków nietknięty ręką badacza,

jakim jest historia dawnych strojów polskich, poczyniłem kilkanaście spostrzeżeń, może nie bez ogólniejszej wartości. Niektóre z nich znalazłem potem z uciechą w monumentalnym „Słowniku etymologicznym“ prof. Brücknera, najciekawszej rewelacyjnej księdze o dawnej Polsce, jaka ukazała się w czasach ostatnich. Rozmówienie się w strojach i zbytku musiało zostawić ślady w języku i też zostawiło. Przenośnie z tej dziedziny podniecały miłe wyobraźnię. Można je czasem chwycić za rękę, można to i owo wyjaśnić, jeśli się tylko sięgnie do zawitych, niezawsze dziś zrozumiałych form i przemian z ubiornictwa. Jasne wówczas się stają rozmaite powiedzonka, wykrzyki i przenośnie, których sędziwy wiek można wskazać przy tej sposobności.

W pierwszym rzędzie barwa, różnaitość kolorów i odcieni barwnych, które właśnie poczyniły ogromne postępy od średniowiecza do renesansu. Czerwiec i czerwien były z Polski rodem. Przywożne tkaniny flandryjskie bawiły oko bezlikiem nowych, nieznanych dotąd barw, tak dalece bawiły, że od *blankytnego* koloru sukna do dziś pozostał błękit niebios! Ciekawsza jeszcze sprawa z *kirem*, który bynajmniej czarnej barwy nie oznaczał, jeno zgrzebne, pospolite sukno, samodział,

noszony na znak żałoby na pogrzebach. A czerń raczej przeciwnie. Ta czerń, na którą później Górnicki będzie narzekał, że zagnieździła się na dworze, to nie znak żałoby, lecz kolor modny, drogi, włoski, radosny raczej niż smutny. — Inny zabytek strojów średniowiecznych: *czep*. Oznaczał nieodzowną u elegantów ozdobę kaptura, którym nakrywano głowę i szyję. Przypatrzmy się np. marszałkowi dworu w „Legendzie Świętej Jadwigi“ z roku 1353. Zwisa mu u kaptura długi, wąski pas sukna z lisim lub wiewiórczym ogonem. To właśnie *czep* (łac. *liripipium*), który później, za Rejowskich czasów pozostanie już tylko odznaką błaznów i wesolków. Do tego *czepu* raczej niż do kobiecego *czepca*, przyczepiły się później wszelakie *zaczepki* i *przyczepki* w języku.

Za królowej Bony przywieziono do nas pierwsze pantofle i skarpetki. Zrazu nie było między nimi różnicy. *Scarpetta* oznaczała bucik mały, *pantofola* — bucik większy, wygodny. Warszawianki nie powinny zaprawdę śmiać się do rozpuku z galicyjskich *mesztów*. Jest bowiem słoweczko owo starsze od samej nawet stołeczności Warszawy. Król Zygmunt Stary nosił meszty na wawelskim zamku. A myślałby kto, że *cokół* to jakiś piastowski zabytek? Ani trochę. Urodził się również w gar-

derobie niewieściej. Brückner objaśnia: łaciński *soculus*, włoskie *zoccolo* = trzewik. Wiele jest takich wyrażen języka potocznego, które się wywodzą z terminologii krawieckiej. Któżby dziś przypuszczał, że termin *tuzinkowy* stamtąd właśnie jest rodem, nie przymierzając (również krawiecka pozostałość). Tuzinek był to ongi gatunek sukna średniej ceny i jakości i stąd poszła zwyczajność i lichota rozmaitych tuzinkowych rzeczy.

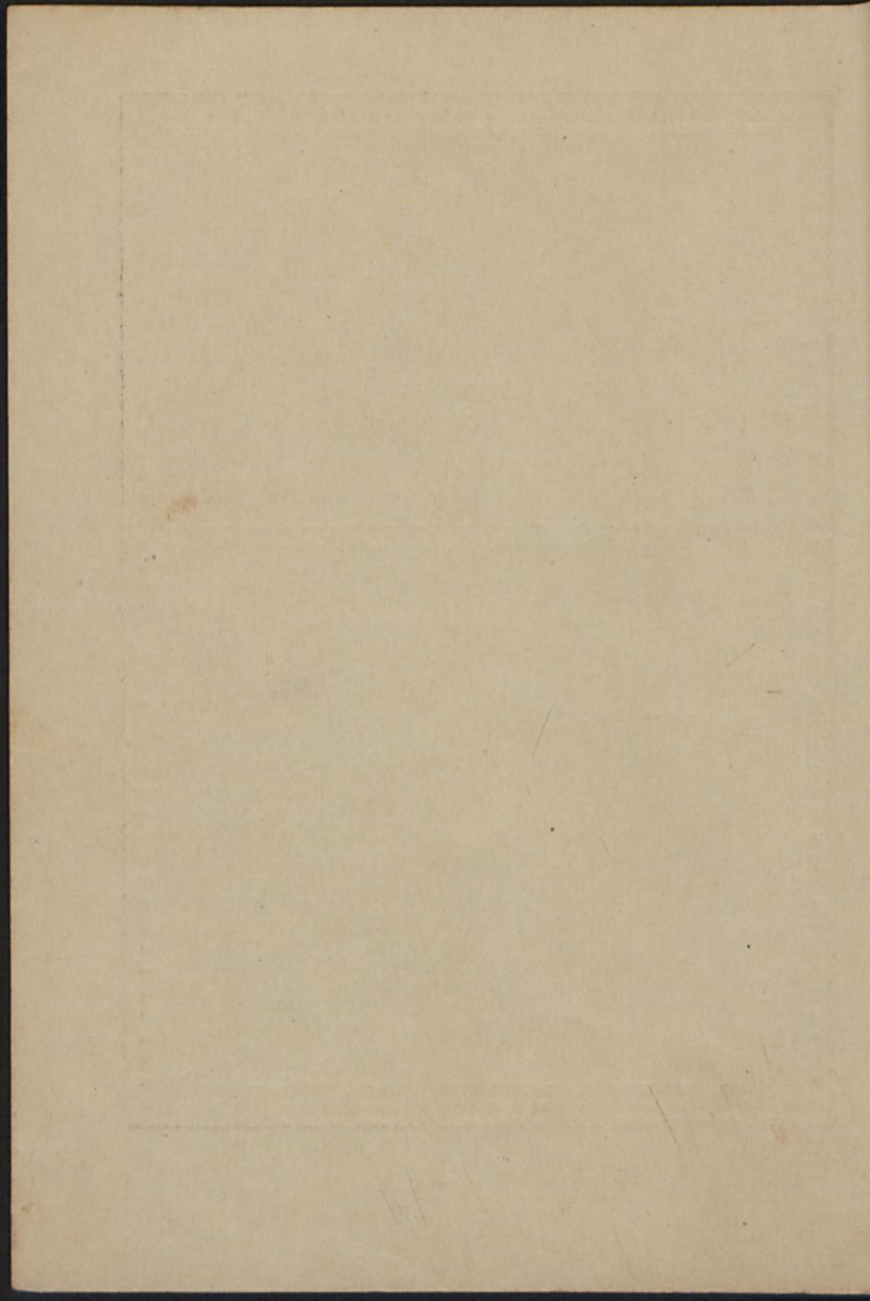
Gdy zaś słyszę frazes pospolity *esy-floresy*, staje mi przed oczyma strojny tłum szlachty w szatach ze złotogłowiu i altembasu, imponujący kosztownością całemu światu. Haftowano wówczas gładkie sztuki aksamitu w barwne wzorki i kwiaty, w złote esy i floresy, co u jednych pomruk wzgardliwy u innych podziw wzbudzało. W czasach też zygmuntońskich zaczęto odróżniać lichych *szaraczków* od kosztownych *karmazynów*, a konopnych *łyków* od butnych *zamsików*, czyli tych piękniśiów, którzy na kusy, znany nam już tylko z oper Verdiego strój włoski, narzucali mantylki z zamszu. W epoce papuzich barw biedotę sadzano na *szarym końcu*, a ten, co go nie stać było na przywoźne sobole kontentował się *lisem farbowanym*. W XVI wieku powstało chyba przysłowie: *każdy dudek ma swój czubek*, t. z. kitę z czaplich piór na czapce,

co wówczas weszło w modę. Wówczas też w wieku złotym, kiedy to suknia naprawdę zdobiła człowieka, a każdy czem mógł ubierał i stroił szatę codzienną, dokonała się przemiana znaczenia samych wyrazów: *ubiór i strój*. Zrazu tylko ozdoby, „przybiory“ sukni stały się synonimem odzieży wogóle. I tak dalece zapomnieliśmy o ich pierwotnem znaczeniu, że prof. Brückner pisze o nich w sensie, którego by nie pojął człowiek XVI wieku: „Ubiór pierwotny był nader skromny“. Bo uczony ma na myśli szaty wogóle, a tamten rozumiał ozdoby.

A skąd się wzięli ludzie „buńczuczni“ i ludzie „rubaszni“? Znów przenośnia z naszej dziedziny. Człowiek buńczuczny, czyli nadmiernie pewny siebie, gwałtowny, zawadjacki zaczął chodzić po ziemiach polskich od czasu, kiedy na potrzeby z Turkiem ujrzał towarzysza pancerny pierwsze ogony końskie na drzewcach, zwane *buńczukami*. Rubasznosc poszła od *rubachy* (koszuli kozackiej) i znaczyła nie tylko pewną gnuśność, lecz i zbytnią poufałość. Do obu komentarzy, zawartych w „Słowniku etymologicznym“ radbym dodał trzeci: o ludziach *wyniosłych*. Widzi mi się, że pojęcie wyniosłości poszło od „kołnierza wyniosłego“, który był czas jakiś w XVI wieku znamienną cechą

zwierzchniej szaty polskiej. Strykowski gęsto pisze o tem. Można by snuć przykładów bez końca, z każdej epoki, więc wspomnieć *fatałaszk*i i *ceregiele* szczegóły stroju kobiecego w XVII wieku przeniesione jako obrazy do języka, potem przypomnieć *tupet*, również szczegół fryzjerski z epoki Stanisława Augusta (*toupet* = czub) itd. itd. Lecz i to, co tu wymieniliśmy, wystarczy jako ilustracja silnego wpływu mody ubiorczej na język. Minęły stroje, nie tylko wyszły dawno z mody, zaginął i utonął w powodzi czasu nawet ślad po ich nazwie, ale pozostała wieczysta pamięć w skarbcu języka, zostało słowo, które sugestywnie działa obrazem na wyobraźnię mas. Bierzemy się pod boki, stawiamy na papierze kaligraficzne esy-floresy, pisujemy tuzinkowe, nie przymierzając jak ta, książki, jakkolwiek zerwała się dawno łączność tych przenośni z rzeczywistością.

IMIONA DOBREJ I ZŁEJ WRÓŻBY



Tadeusz Andrzej Kościuszko. Dlaczego właśnie Tadeusz? Poprostu. Ojcu było Ludwik Tadeusz, Andrzejów zaś kilku miała rodzina matki.

Tysiąc lat przedtem nie inaczej bywało. Po matce również — choć to już trudniej stwierdzić — wziął Mieszko I na chrzcie imię skandynawskie Dagome, zaś syna swego nazwał zmyślnie po romańsku Lambertem, chcąc podkreślić dobre stosunki z Rzymem i papieństwem.

Klementyna Hofmannowa. Dlaczego Klementyna? Tu już inaczej, nie tradycja, tylko moda. Bo stara pani Tańska w czasie słabości czytała prześliczny romans Richardsona i powiedziała sobie: Niech będzie w życiu, jak w powieści. Jeśli syn Karol, jeśli córka Klementyna.

Inny przykład z naszych czasów: Ojciec Apollo, syn Konrad, wnuk Borys. Mowa o rodzinie znakomitego pisarza Conrada Korzeniowskiego. O czem świadczy? Że ojciec żył w epoce dziwacz-

nej mody imion mitologicznej, syn zaś nazwany na pamiątkę bohatera III cz. Dziadów, nie zatroskał się już o polską tradycję w wyborze imienia dla dziecka.

Przykład z mocarstwa ościennego: Imperatorowa Wszech Rosji Katarzyna Wielka każe ochrzcić ukochanego wnuka Konstantym. Nie Piotr lub Iwan, ale jakiś zupełnie niedynastyczny i nietradycyjny Konstanty! Czyni to Semiramida Północy z motywów politycznych, bo właśnie podówczas marzy o stworzeniu wielkiego nowogreckiego imperjum, które zatknie krzyż prawosławny na meczecie św. Zofji, a chce by uczynił to właśnie nowonarodzony.

Z przykładów tych, rozmyślnie przeróżnych, widać, że imiona możnaby zgrubsza podzielić na dwie grupy. Najpierw imiona *zaswojone* w danej okolicy, czy rodzinie, potem imiona *przyniesione* przez kalendarz (Mickiewicz nazwie syna Władysławem, bo urodził się 27 czerwca, a „tego dnia patronem jest nasz święty północny“), a wreszcie imiona *dyktowane* przez modę, interes, czy pasję epoki.

Możemy się chlubić nie tylko wieloramienną tradycją imion zaswojonych, ale co więcej na każdym kroku znajdujemy przykłady oddziaływania ich tajemnej treści symbolicznej. Wiadomo

z historii wieków średnich, jak ważnym cementem w zjednoczeniu rozdartej po raz pierwszy na dzielnice Polski był kult relikwii św. Stanisława, rozgorzały równocześnie we wszystkich ziemiach podzielonych. Z imieniem pierwszego człowieka zrosło u nas na zawsze imię pierwszego poety.

Ale swojszczyzny w tych imionach zaswojonych mało. Egzotyka i tu przeważa, czasem przeważa bardzo ciekawie i objaśnia. Ongi w złotym wieku renesansu byli w modzie patroni starotestamentowi, Daniele i Samuele, to znów klasyczni Achacowie i Horacowie (któżby zgadł, że polskiem spieszczaniem Horacego jest Jaracz, tak jak Zydek Zygmunta). Ośmnastowieczne żony modne wezmą się do przefasowania sarmackiej swoistości imion z taką gorliwością, jak dziś zmieniają fasony niemodnych kapeluszy damskich. Tak było i z panią Osuchowską na Litwie. Nazywała się fatalnie i gminnie, bo niestety Katarzyna, więc nic dziwnego, że rychło poszukała imienia polerowniejszego i przemianowała się na: *Delicję*. To piękne imię wygrawirowawszy ozdobnie na bilecie wizytowym, śle w te pędy zaproszenie na obiad do sąsiada Imé. Pana Nietyksy. Zawrzał gniewem srogim pan Nietyksa, obaczywszy dziwo głupie, ileby nie było. Do pani Katarzyny

byłby na obiad pojechał i owszem, ale do jakowejś Delicji? Przenigdy! Tedy krótką i oschłą rekuzę śle z podpisem: *Specyjał* Nietyksa. Podobnie synowiec autora „Myszejdy“ pan Jan Krasicki z Baranowa nawymyślał generałowi *Amilkarowi* Kosińskiemu w r. 1809 i to nietyłe za te konie, co mu chciał zarekwirować w stajni, i bryczki, i wolanty, i sterty pszenicy, ile za podpis nieszczęsny na rozkazie. Podobnie jak pan Nietyksa nie chciał pojechać na obiad delicyjny, tak pan Krasicki zabronił pogańskiemu *Amilkarowi* wglądu w swoje spichlerze i wozownie. I również się podpisał: *Azdrubał* Krasicki.

To żarty były, natomiast udrękę nie na żarty przyniosło imię chrzestne znanej pisarce Żmichowskiej. Wypadło jej chodzić po świecie w epoce, w której ludzie pożyczali imion od kwiatów i to aby koniecznie niesłychanych, zamorskich, cieplarnianych. Brat jej nazywał się *Hijacyntem*, siostry *Hortensją* i *Lilją* — cóż miała robić? Uciekła od swojego przezwiska z oranżerii pod pseudonim literacki *Gabrijeli*.

*

Jest coś z kwiatów w imionach ludzkich. Raz widzisz je rozsiane siewnikiem najnowszego typu, indziej w rozsadzie nierychliwej, zwyczajnie jak

na ogrodowej grzędzie. Są imiona inspektowne, dziwacznie wspaniałe, ale wędną rychło i są inne, twarde, uparte, polne. Te lada podmuch rozniesie, tamte byliną w gruncie siedzą. Utworzył je obyczaj stary, że ani mu znaleźć początku.

*

„Jeśli będziesz miał córkę — radzi Mickiewicz w r. 1833 Odyńcowi — daj imię Zosia-Marja albo Marja-Zosia, bo to są *imiona dobrej wróżby*. A syna nie chrzczij Adamem. Wybierz inne imię, tylko nie z pretensjami.“

*

Imiona mówią i — prowadzą. W ciemnej gąszczy pierwszych wieków istnienia państwa, gdzie fakty migocą słabem światelkiem gwiazdy oddalonej o wiele milionów mil, — ileż jasności różnietci nagle przed okiem badacza przewodnie łuczywo jednego imienia, dźwięk miana władcy, najeźdźcy, żony księcia, czy pierwszego biskupa! Niesłychanie trudno byłoby zorjentować się w najdawniejszych wpływach cywilizacyjnych, działających na młodziutką latorośl naszej kultury, gdyby nie imiona pierwszych patronów katedry wawelskiej, albo wieść o najdawniej czczonych relikwjach.

Imiona mówią i — sądzą. Wystawiają nieubłagane świadectwo poziomowi czucia i myślenia, drwią na potęgę z ambicij, upodobań człowieka. Są imiona, od których ciarki przechodzą i są takie, które błogosławią. Które dręczą i które strzegą. I na swój sposób opowiadają historję człowieka, kasty, społeczeństwa. Zespół imion pewnej epoki ujętych razem wyda o niej opinię, zgodną z tem co wiemy o niej skądinąd. Taki choćby walny najazd imion obcych w XIX stuleciu, które nie kalendarz dyktował ani tradycja, lecz najnowszy romans francuski — o czem mówi? Elwiry, Matyldy i Delfiny, nawet Edward z Arturem, Ryżardem i Edmundem opowiadają, jak niesłychanie słabiutki był wówczas kontakt inteligencji polskiej z twórczością polską, i to właśnie wówczas, kiedy ta twórczość wznosiła się na szczyty! Bo skoro już koniecznie o patrona literackiego chodziło, czemuż nie był nim ani Orcio, ani Kordjan, ani Anhelli? Ramono, jak słodkie imię twe!

Od połowy ubiegłego stulecia wszczął się dopiero wpływ własnej literatury i upowszechniać się poczęły imiona, nobilitowane przez wielkich pisarzy. Kumem im był Mickiewicz i Fredro, Słowacki i Żeromski. Haliny rozsiał obficie Moniuszko, Witoldów wprowadził do Korony Kra-

szewski, Zbyszków i Danusie trzymał do chrztu Sienkiewicz. Gucio jest trzpiotem Fredrowskim, Gustaw zbołąym kochankiem Maryli. Nazywał ją swoją pieszczotką Szarmé, Szarmé.

Skąd się wzięła w Tuhanowiczach Maryla — niech się nad tem biedzą poloniści. Ja mogę tylko w przybliżeniu wskazać wiek jej młodszej siostry Maniusi. Mania liczy sobie co najmniej 100 wiosen, skoro już w roku 1837 ks. Stanisław Chołoniewski napisał wierszyk p. t.: „Sen Mani“. Mania jest starszą siostrą Marji, o którą wieki całe trwała dyskusja, zaczęta jeszcze przez Długosza: czy wolno używać wogóle imienia Marji? Poprzestawano na Marjannie służącej, „Marja“ Malczewskiego wydawała się wielu ludziom współczesnym swawolą, godną surowego potępienia. W czasie, gdy Mickiewicz zaliczał Marję do imion dobrej wróżby, przyjaciel jego, świetny zresztą stylista Stefan Witwicki, piorunami ciskał w tę bezbożność, której ucho polskie nie zniesie, i tak powiadał: „Można dziś usłyszeć n. p. panna Marja skłamała, panna Marja złośnica, pannę Marję posadzić na pokucie, panna Marja poszła do Panny Marji (do kościoła)... Nie masz że w tem profanacji? I wielkiej profanacji najświętszego imienia, za którego cześć i sławę każdy uczciwy Polak życie

by sto razy gotów był ważyć.“ Popularny w dawnej Polsce zwyczaj obdarzania dzieci Mikołajkami dochował się tylko w Galicji, bo musiał ustąpić z zaboru rosyjskiego z chwilą, gdy owładnęły nim Mikołaje. W epoce Paskiewiczowskiej rząd rosyjski mnożył, ile mógł, Aleksandrów, gdzieindziej lojalni patrjoci chrzcili dzieci Wilhelmami i Fryderykami. Od czasu słynnej komedji Dumasa unikano jak ognia Alfonsów itd.

Imiona mówią i — wróżą. Co wywróżyły poetce, co powiedziały uczonym? Posłuchajmy.

Z trzech stron równocześnie prawie zajęto się sprawą imion. Zabrała bowiem na ten temat głos wiedza ścisła i twórczość literacka, wypowiedziały się filologja, językoznawstwo i poezja. Myślę o trzech książkach, które niedawno wyszły z druku. Prof. Witold Taszycki ogłosił rozprawę o najdawniejszych polskich imionach osobowych (Kraków, Akademia Umiejętności, 1926). P. Jan Bystron w monografji o „Nazwiskach polskich“ (Lwów, Jakubowski, 1927) poświęcił rozdział cały zasobowi imion polskich dzisiejszych i dawnych, nareszcie srebrna księżniczka współczesnej poezji, p. Kazimiera Iłakowiczówna, ogłasza już drugą serję wróżb poetyckich poświęconych imionom. Pierwsza nosi tytuł: „Obrazy imion wróżebne“ (Warszawa 1926), druga: „Czarodziejskie zwierciadelko“ (Poznań, św. Wojciech 1929).

A zatem trzy pary oczu, trzy odrębne sposoby patrzenia, trzy różne metody pracy. Lingwista

postępuje jak chirurg przy stole operacyjnym, a raczej jak anatom przy sekcji. Bierze kolejno każde słowo, w tym wypadku imię, zamraża je, poddaje sekcji, bada pod mikroskopem, wydziela włókna, tkanki łączne i nerwy, jemu tylko wiadome, a niewidzialne i niesłyszalne dla laików. On słyszy to słowo zupełnie inaczej, niż my, ma bowiem do dyspozycji niesłuchanie czułą słuchawkę porównawczą, nastawioną na odbiór brzmień, dla ucha zwyczajnego niezrozumiałych lub niepochwytnych poprostu. Wyłowiwszy pilnie cały zasób imion osobowych z zarania naszej cywilizacji, poddaje je wyczerpującej analizie i klasyfikuje. Inaczej poetka. Analiza jej jest, rzecby można, spektralna. Rozszczepia dźwięk imienia na promienie, które to słowo do niej i tylko do niej wysyła. Więc punkt wyjścia obu prac podobny, i podobny też pewien ich ezoteryzm: *Procul este profani!* Historyk kultury wreszcie zasiada przed olbrzymim teleskopem. I wodzi nim po odległych przestworzach historii, etnologji, literatury, zbiera naręczami wiadomości i syntezyzuje dostrzeżone szczegółliki w całość.

Nie mam zamiaru kroczyć tu śladem wszystkich trojga prac i streszczać ich wyniki. I opowiadać, jak prof. Taszycki bierze kolejno na spytki dwie-

* * IMIONA DOBREJ I ZLEJ WRÓŻBY * *

ście najstarszych imion osobowych od Bądziecha do Żyznawy, lub jak wróżbitka „idzie i rzuca w przestwór imię po imieniu... jak na mękach, jak w lochu, by prawdy swej nie wydać i urągowiska by uniknąć.“ Poprzestaniemy na jednym przykładzie i wzięwszy jedno imię, zajrzemy co o niem ma do powiedzenia poeta, lingwistyka, kulturolog.

Niech tem imieniem będzie — dajmy na to — Kazimierz.

Głos ma pierwszy poetka.

Kazimierz:

Dusza raczej kobieca, pełna sprzeczności,
najlepiej włada ciałem chorowitem,
spoczywa wtedy cicho
i pali się drżeniem głęboko ukrytem
nie niszczącem... Żle, gdy wstąpi w ciało silne,
pierś szeroką, mocne bary,
wnet rozkazywać chce, władać, *spokój burzyć*,
żadnej nie znać miary,
zrywa cugle itd.

Gdyby nie fakt, że uczeni odnoszą się zazwyczaj do poezji z admiracją i uszanowaniem — lingwista byłby przerwał poetce w połowie wiersza. I rzekłby, podnosząc oczy z ponad mikroskopu:

— Hola! Pani ma fałszywe informacje. Nic tu nie widzę dokoła!

— Czyżby? — odpowie poetka. — A mianowicie gdzie?

— A mianowicie w słowach: „Rozkazywać chce, władać, *spokój burzyć*.“ — Szanowna Pani sądzi zapewne, że imię Kazimierz znaczy: *kazi mir*, czyli burzy pokój, a tymczasem nie podobnego.

Czemże jest więc Kazimierz w rozumieniu uczonego językarza? To dłuższa i niełatwa historia. Kazimierz jest to — wywodzi p. Taszycki — imię dwupniowe, albo dwuczłonowe z formą czasownikową w pierwszym członie. Człon pierwszy mieści w sobie istotnie pojęcie burzy i niszczenia, pochodzi od tematu kazić.

I tu ma rację poetka, powiada uczony. Inaczej natomiast z członem drugim. Nie ma on nic wspólnego z mirem, czyli pokojem. Ten drugi człon brzmiał pierwotnie *miar* i tak też bywa zapisywany w najdawniejszych, mazowieckich przekazach z XII-go wieku. Jest to słowiański odpowiednik greckiego *moros* = wielki, goc. *mers*, staroniem. *mari* = sławny. A więc nie o pokój chodzi, tylko o wielkość i sławę. Dziecko, któremu stary Polanin nadawał imię Kazimierza, nie miało bynajmniej burzyć pokoju, raczej wrócono mu, że zburzy sławę wroga. Mikroskop językoznawcy

* * IMIONA DOBREJ I ZŁEJ WRÓŻBY * *

postawił na jednym poziomie mirów ze sławami. Tkwiła zatem w praczasach taka sama wróżba życzliwa w Kazimierzu jak i w tamtych sław-nych imionach. Borzysław miał się borzyć o sławę, Bronisław jej bronić, Bolesław dbać o jej wzrost, Stanisław zostać jej przystanią (*statio laudis*, jak już w XIII-tym wieku objaśniano), Kazimierz nie ostał gorszym od tamtych. Oby wziął zwycięsko wszystkie przeszkody w drodze do wielkości — wróżono mu, i podźwięk ten wieki przetrwał. I dźwięczy do dziś Kazimierz dalekimi szczytami tej walki o sławę i znaczenie.

Poetka dokonała analizy spektralnej, językoznawca poddał to brzmienie sekcji anatomicznej, historyk kultury zaś spoziera nań przez teleskop, ogarniając całe tysiącletnie pole dziejów naszej cywilizacji. I zauważył co?

Kazimierz to zrazu imię zastrzeżone, wyłącznie dla władcy, książęce, Piastowskie. Imię częste, po Bolesławie najczęstsze. W dynastji Piastów było 22 Bolesławów, a 14 Kazimierzów i tyluż Władysławów. Wobec tego w tym czasie nie ma mowy, aby zwyczajny śmiertelnik śmiał się nazwać Kazimierzem. *Crimen laesae maiestatis* i głowa. Brzmi to imię wspaniale w granicach

Polski — bywa wielkie i odnowicielskie, ale gorzej zagranicą. Więc kiedy Kazimierz Odnowiciel znajdzie się zagranicą, zmienia je. *Urbanitatis gratia* — jak mówi Długosz. Ponieważ brzmiało zbyt po barbarzyńsku i trudnem było do wymówienia. *Dictus est Carolus*, nazwał się Karolem.

Dopiero z chwilą, kiedy królewicz Kazimierz zaliczony zostanie w poczet świętych, wówczas zblednie klejnot dynastycznego przywileju i udostępni się ogółowi. Nie odrazu, lecz stopniowo dosięgnie wcale znacznej popularności i rozpocznie nawet walkę o prym z dwoma najobficiej rozsiانemi imionami, tj. Janem i Stanisławem. Widać to w spisach szlachty, która zjechała na elekcję Sobieskiego. Wśród elektorów na pierwszym miejscu wysuwa się Jan, na drugie Stanisław, o trzecie miejsce walczą Kazimierz z Władysławem, za Augusta II-go spór ten rozstrzyga się na korzyść Kazimierza. Osiągnie znaczną przewagę nad Władysławem, zetrze się ostro w zachodniej Polsce z bardzo tam upartym Wojciechem, a na wschodzie z Franciszkiem i Antonim. Za Stanisława Augusta: Józef z Antonim i Franciszkiem zarzuca Kazimierzów czapkami, a wreszcie od czasów Kościuszki pospieszą zewsząd Tadeusze. Ta ciżba

usunie popularnego Kazimierza w cień, zostawiając mu jeno trochę władzy na Litwie.

Jeszcze należy podkreślić moment szczególnego ożywienia, tj. po r. 1869. Chwila odnalezienia w Katedrze wawelskiej zwłok Kazimierza W. stała się ważnem zdarzeniem w dziejach ubiegłego stulecia. Wywarła wpływ wielki nawet na historjografję narodową (Szujski), malarstwo (Matejko), poezję (Wyspiański). Wówczas też Kazimierz, patron opiekuńczy i ukochany na Litwie, szerokim zasięgiem ogarnął na czas jakiś całą Rzeczpospolitą.

A dziś? Chcąc się dowiedzieć, jaką sympatją cieszy się imię Kazimierza w pokoleniu obecnem, sięga historyk kultury do spisu oficerów wojsk polskich, spisu, obejmującego kilkadziesiąt tysięcy imion ze wszystkich dzielnic Polski. Okazuje się, że bezwzględnie najczęstszem imieniem jest Stanisław, na drugim miejscu idzie Jan, na trzeciem Józef, na czwartem Władysław, na piątym Kazimierz.

*

* Wróćmy jeszcze do poety.

Wróżebne zwierciadelka K. Ilakowiczówny nie są ani kaprysem, ani figlem poetyckim tylko. Wywołała je stara jak ludzkość tendencja, usiłu-

jąca podłożyć pod imię człowieka pewną stałą związaną z niem wartość, czy treść uczuciową.

Każde imię posiadało ongi treść obfitą, która już do nas doszła w skrócie ostatecznym. Czasem w całym zdaniu wyrażało dobrą wróżbę, życzenie pomyślności i chwały. Celowali w takich imionach najdawniejsi mieszkańcy Babilonu i Asyrii, Sumeryjczycy. Oto np. sumeryjskie imię męskie: *Lugal-anna-mundu*, co znaczy: „Król nieba zesłał go nam“ albo *Szamasz-lamassi* = „Bóg słońca jest mojem bóstwem opiekuńcem“, albo „Oby twój ojciec żył w najdłuższe lata“. Podobny, ale już krótszy charakter życzenia pod adresem dziecka, zachowują później po wiekach najstarsze imiona słowiańskie, zawarte w takich u nas przykładach, jak *Dzierżykraje*, *Przybygniewy* itd.

To byłaby jedna parentela dziejowa poezji panny *Iłakowiczówny*, najdawniejsza i czcigodna. Zobaczymy teraz drugą, weselszą. Tendencja do nadawania imionom ludzkim pewnych stałych wartości znajdowała bowiem chętnie ujście w literaturze humorystycznej wszystkich czasów. U nas znalazło to wyraz w popularnych ongi bardzo „Abecadłach panińskich“ i „Abecadłach kawaler-

skich“, z których zaśmiewali się do rozpuku starzy Polacy.

Mam właśnie przed sobą takie „ABECADŁO PANIEŃSKIE O WYBORZE UCZCIWEGO KAWALERA“ („Wieczory zabawne, czyli rozrywka dla dam i kawalerów...“ w Warszawie, 1805, str. 51) i czytam:

Powiedz, proszę, Apolinie,
Że twa sława wszędzie słyńie,
Twe proroctwa są w powadze
I responsy w większej wadze,
Chcąc się zameżzyć.

Sama nie wiem nieszczęśliwa,
Komu mam być z nich życzliwa,
Konkurentów do mnie wiele,
Każdy mi się do nóg ściele,
Trudny to wybór.

Nie wiem, jak się reflektować,
Którego z nich w sercu chować,
Bo takie są ludzkie rady,
Nie jest żaden bez przesady.

I tak grymasi dalej jejmościanka. Więc *Andrzej* jest cudakiem, *Dominik* — człowiekiem niedobrego proroctwa, *Franciszek* byłby znośny, ale fortunę traci, *Karol* — obłudliwy, *Leonard* farbuje usta rumieńcem, *Lukasz* skąpy, *Maciej* stary, *Onufry* impetyczny, *Stanisław* układny, ale bagatelkowy, *Wojciech* chodzi pod chmurą. Zaczem finał rozmyślań ujemny.

Odrzuciła wszystkich pokolei. Ani Tomasz,
ani Ksawery, ani Zacharjasz.

Jest jeszcze Ignacy —
Ale cóż, kiej wszyscy tacy,
Więc kiedy mi z tych żadnego
Nie wpuścić do serca mego —
Nie chcę i tego!

Dowcipów tych, które kiedyś przyprawiały ludzi o spazmy wesołości, słuchamy dziś już tylko z wielkiem pobłażaniem, wiedząc, że tu rzecz ma się wprost przeciwnie, jak z winem: im dowcip starszy, tem cieńszy. A jednak — i to jest ciekawe, wręcz frapujące! — czasami znajdują się punkty styczne pomiędzy ową niewymyślną, odwieczną groteską, a „Czarodziejskiem zwierciadélkiem“ dzisiejszej poetki. Podam jeden przykład na dowód, że owa sugestia dźwiękowa, czy symbolika, jaką budzi w nas imię, bywa czasami identyczna niemal.

Przykład dotyczy imienia Hieronim. Autor „Abecadla panińskiego“ powiada tak:

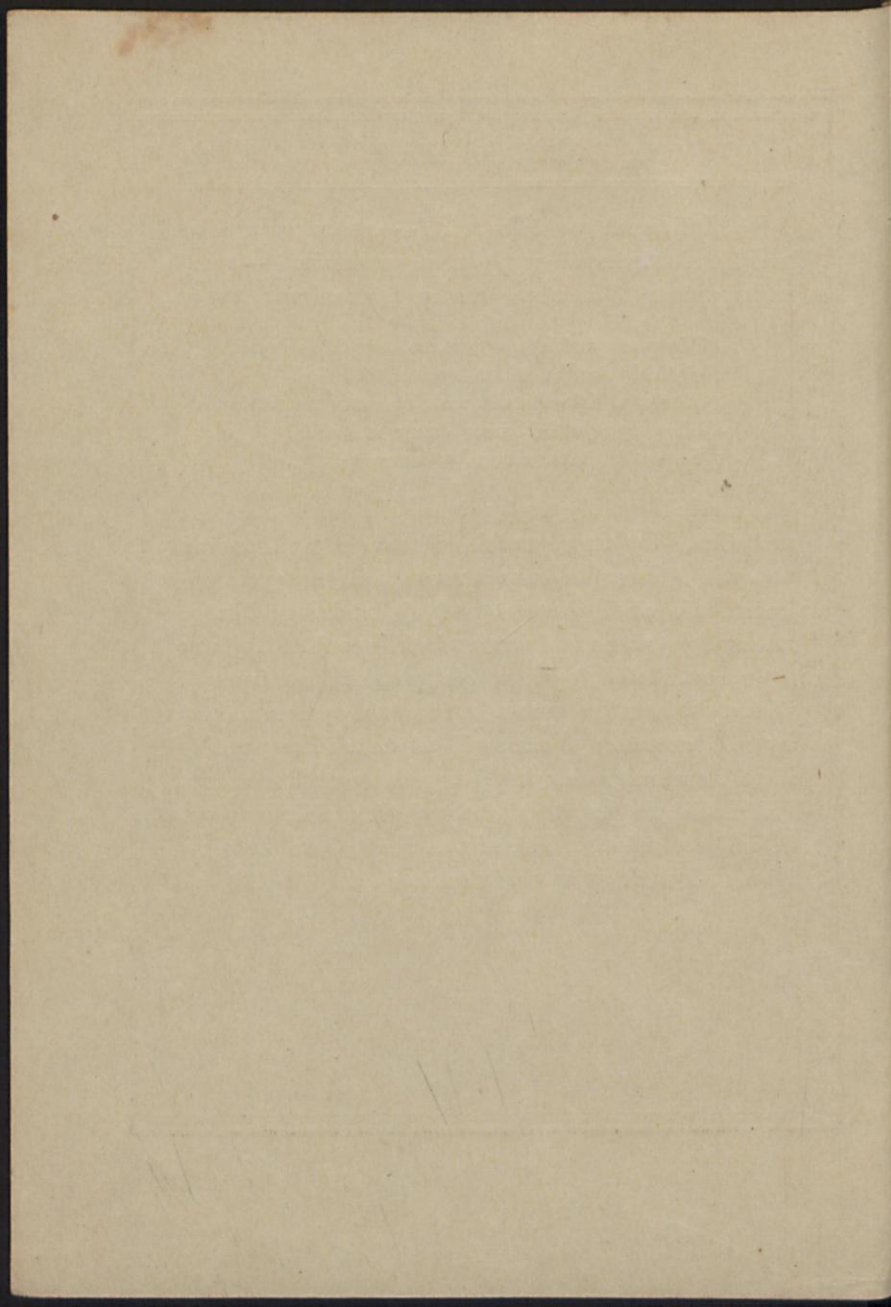
Hieronim to dziecię książę,
Ja się z takim nie uwiążę —
Druga przywara u niego,
Że jest serca zuchwałego.
Nie mi po takim.

**** IMIONA DOBREJ I ZŁEJ WRÓŻBY ****

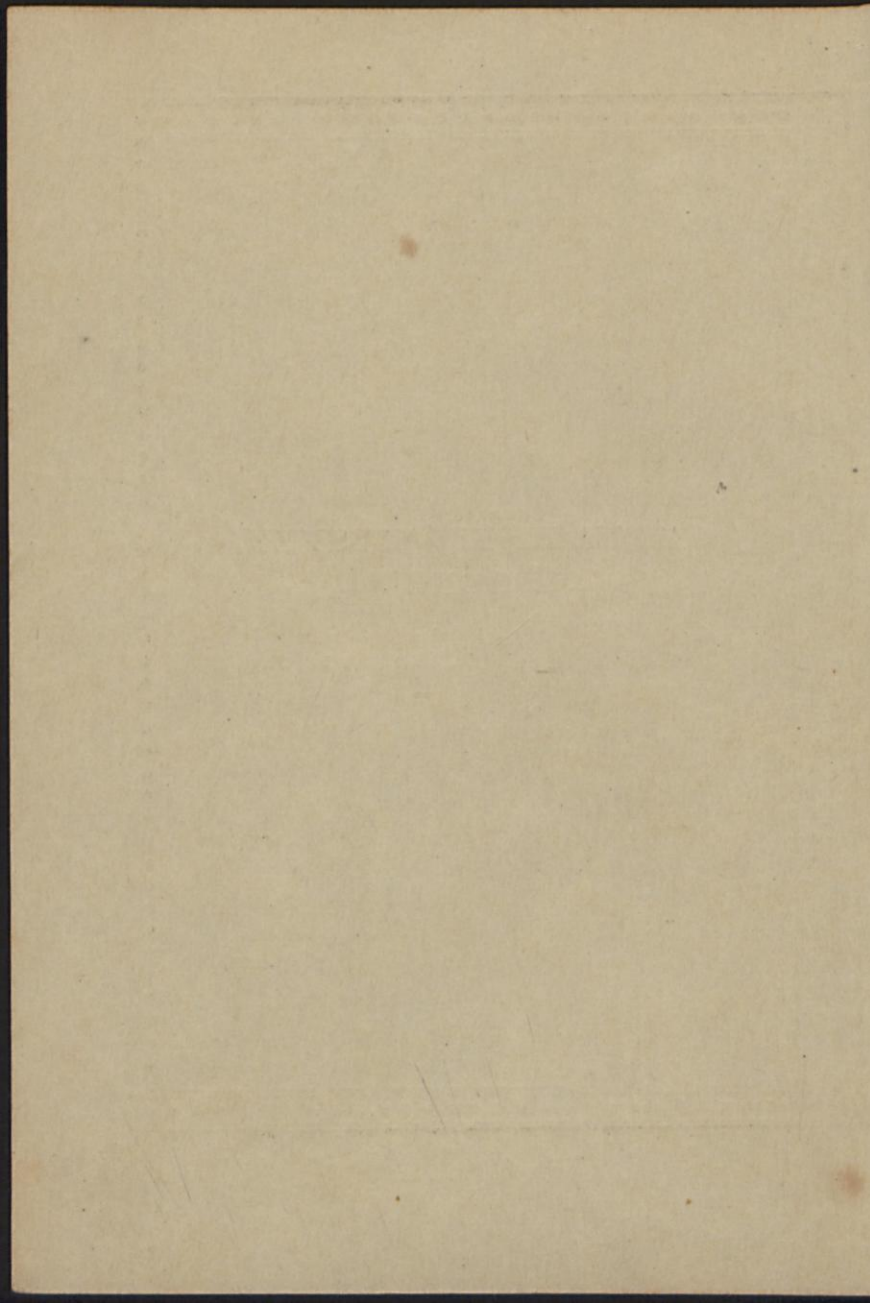
W „Imionach wróżebnych“ — autorka, z pewnością niewiedząca o swym poprzedniku — rozwija jeszcze te książęce cechy Hieronima:

Nie może żyć bez wykwintu, wysokich pokoi,
ciężkich portjer, skórzanych foteli.
Nieraz w dzieciństwie widuje duchy przodków,
lub przynajmniej zjawę damy w bieli.
Sam nie kocha nikogo, prócz matki itd.

Rozwiodłem się nad miarę, ale może nie bez pożytku. Żyjemy przecie w czasie wchodzenia nowych w krąg kultury i narastania nowych pokoleń, nie obciążonych tradycją rodzinną, które zdobywają same indygenat inteligencji. Żyjemy w epoce, która pyta z ciekawością o obyczaj, wietrzy instynktownie w stronę tradycjonalizmu, by go przetworzyć na swój użytek. Złe wróżby idą ze srebrnego ekranu i z groszowej literatury. Chłonność na głupstwo jest wyjątkowo skwapliwa. A imiona mówią. Domek szklanny, do którego i po tysiącach zajrzy wścibskie oko.



TAM NA BŁONIU BŁYSZCZY
KWIECIE



Zdarzyć się to może każdemu, tylko proszę spróbować. W okresie świątecznym, gdy śpiewamy kolędy, a szczególnie tę najpotężniejszą wśród nich o rodzącym się Bogu i truchlejących mocach. Na pytanie, kto ją napisał, odpowiedzią będzie najczęściej mina zdziwiona. Jakto kto? Czyżby ją wogóle mógł jeden jakiś człowiek stworzyć... I to tak po ludzku, przy biurku na papierze?

Wszakże są to rzeczy poczęte chyba w praczasach i bytujące bez początku w prawiedzy ludzkiej, t. z. chcieliśmy powiedzieć w prawiedzy polskiej. Nawet mi ktoś z oburzeniem odparł delikatną uwagę, że to właściwie ostatecznie tylko — Karpiński. Jaki tam Karpiński i poco wogóle mówić o autorstwie? Czy kto mówi, czy się interesuje autorstwem psalterza dawidowego. Podobnie wszyscy poczęliśmy pewnego dnia śpiewać podskokliwie o tych armatach, grzmiących pod Stoczkiem i o liściach lecących z drzewa, wszyscy,

nie jakiś jeden Wincenty Pol. To raczej pachnie plotką, wyszperaną przez „wpływologów“.

A ci poloniści, nawet wysokiej miary, bo profesorowie wszechnic, też znajdują się w niemiłej sytuacji, gdyby ich tak wziąć na egzamin i zacząć pytać:

— Proszę pana psora, kto to właściwie napisał tę śpiewankę codzienną: „Góralu, czy ci nie żal“?

Albo: Kto przełożył na polskie głośny hymn Juljusza Mosena „Tysiąc Walecznych“?

Albo jak to było właściwie z „Warszawianką“ i Polakiem-nie sługą, i panem-hulanem i patrzącym z nieba Kościuszką? I srebrnym w polu ptaszkiem? I wreszcie — — z tą błonią, na której błyszczy kwiecie?

Profesorowie uniwersytetu nie odpowiedzą na takie pytanie. Czy należy ich za to spalić przy maturze? Bynajmniej.

Jest bowiem cały szereg okoliczności łagodzących, który utrudnia odpowiedź, jeśli nie unie możliwia jej wogóle. Udziałem tych wszystkich pieśni jest powszechna popularność, popularność tak wielka, że zbliża je prawie do pieśni ludowej, a więc obejmuje tą samą ustawą, której podlega „wieść gminna“: bezimiennością. Popularność pieśni zaczyna się zawsze — jutro.

TAM NA BŁONIU BŁYSZCZY KWIECIE

Dziś nie wie nikt o tem, i nie może przewidzieć. Dziś więc nie wiadano, że do popularnych zaliczaną będzie „Warszawianka“ lub „Tysiąc walczynek“, a kiedy stały się niemi jutro, już za-
wyczaj odeszły w daleką przeszłość te czasy, które pamiętały imię twórcy. Można by złożyć nawet dość paradoksalne prawo brzmiące tak: Najwyższą popularność osiąga poeta w chwili, gdy staje się bezimiennym, gdy powszechność jego utworu wykwitnie wysoko i swem listowiem zakryje doszczętnie jego jedno imię. *Vox populi* nie wybiera do tego bynajmniej wielkich mistrzów. O ludzi nie pyta wogóle. Szuka tonu i dźwięku przymilnego, łatwo-chwytnego a odrazu się tłumaczącego. Słowem i melodją. Jednem i drugim pospołu.

— Choćbyś był tak wielki, jak stąd do Koblencki, nie stworzysz ani jednej pieśni — mówi u Rollanda włóczyki Godfryd do marzącego o sławie Krysztofa.

Arcymistrz bardzo rzadko spełni wymagania tłumu. A jeśli spełni, to tłum śpiewających nie zapamięta jego nazwiska, które w tym wypadku nie jest żadną legitymacją. Już czwarte pokolenie śpiewa pieśń: „Nie dbam jaka spadnie kara“, zbladziła ona pod strzechy, które nigdy nie dojdą

do III-ciej części „Dziadów“ i dla których pan autor z wysokiego pomnika jest czemś zupełnie niepotrzebnem. Z poezji Słowackiego niewiele chyba przeniknęło w bezimienny skarbiec pieśni, z Krasińskiego zdaje się jeden wiersz sztambuchowy. Bo to jest królestwo wyłączne wieszczów dźwięcznych, łatwych, słodko-karmelkowych lub łzawo-dramatycznych, byle jednak łatwo-strawnych.

Wróćmy do odpowiedzi na tamte pytania. „Warszawianka“ była jedną z licznych, natchnionych nad biurkiem pieśni tyrtejskich C. Delavigne’a. Napisał on przecież i *La Parisienne* i *La Bruxelloise*, Paryżankę i Brukselkę. Tę *Varsovienne* spolszczył natychmiast Karol Sienkiewicz i rozpowszechnił, ale do ulubionych nie należała bynajmniej. Pierwszy z brzegu kuplet obcej operetki podejmowano chętniej w szeregach żołnierzy listopadowych. Nieśmiertelności użył jej dopiero Wyspiański. — Pieśń „Tysiąc Walecznych“ rzucona w Lipsku w roku 1832 przez Mosena, zyskała ogromną większość w owych dziwnych latach polonofilji, kiedy to nawet żelazny kanclerz jej ulegał. Przekładem polskim zajął się podobno z miejsca J.N.Kamiński. Podobno, bo nie znajdziemy tekstu w jego tomikach zbiorowych. Nie-

TAM NA BŁONIU BŁYSZCZY KWIECIE

utrudzone pisarzysko w wiecznej rozterce o kawałek chleba, kryło się snąć potem z tem autorstwem, aby się Austriacy nie pogniewali.

Inny objaw spotkamy, pytając o autora pieśni „Tam na błoniu błyszczy kwiecie“. To utwór tłumacza Moliера, autora pamiętników i wogóle Boya z połowy XIX-go stulecia, Franciszka Kowalskiego. Przyjęła się, lepsza od tuzina innych puszczonech w obieg przez autora, ale tu znowu sam pieśniarz nie był zadowolony. I dlatego niema jej w zbiorowym tomiku wydany w r. 1839 we Lwowie, p. t. „Fraszki Franciszka Kowalskiego“. Uważał ją snąć za marnotę, niesłusznie.

Przed wielu laty pisał Kazimierz Tetmajer:

Kto wie... może pod mury Gdańska
Poskoczą polskie konie
i nasza rodna pieśń ulańska
polecą po szwadronie:

Jak wspaniała nasza postać,
jak się w słońcu błyszczy stał,
koń rwie ziemię, nie chce zostać —
Pójdiesz koniu, pójdiesz wdał!

poczem dodawał w przypisie: „Pieśń Józefa Tetmajera śpiewana w kawalerji w powstaniu 30/31 r.“

A któż nie słyszał o gwiazdeczce co błyszczała, gdym ja ujrzał świat. I kto jej nie trawestował? Ale autor? Nikt go nie zna, a nawet gdy dowie się,

nazwisko nie powie mu nic zgoła. Autor nazywał się Wiktoryn Zieliński (proszę zajrzeć do starego Orgelbranda), kompozytorem był, to już godzi się nawet zapamiętać — Kazimierz Lubomirski. — Górala, któremu żal odchodzić od stron ojczystych wytęsknił — nie uwierzycie, — otóż wytęsknił go najweselszy komedjopisarz, autor „Grubych ryb“, i to wówczas, gdy w gronie młodzieży krakowskiej pojechali w latach 60-tych na pierwszą wycieczkę w Tatry.

Czasem znajome jest tylko środowisko, w którym pieśń się poczęła, np. popularny do dziś werset pieśni ulańskiej: „Dziewczę umierało — rało — rało“... rodził się w Litwie Mickiewiczowski w r. 1812 w tym pułku konnicy napoleońskiej, który ufundował Michał Tyszkiewicz. „Kalina“ przyszła na świat w lipcu roku 1844 na kartach noworocznika warszawskiego „Niezapominajki“. Jak długo imię liryka mazowieckiego miało kredyt w poezji, wiedziano, że napisał ją Teofil Lenartowicz, a rozślawiła muzyka Komorowskiego. Nie wiem, który Gawalewicz spolszczył Heinego „Dziewczę z buzią jak malina“, zawsze jeszcze żywe i wspominane, dzięki Janowi Gallowi. — Hymn „Czerwonego sztandaru“ napisał zapóźniony romantyk, mussétow-

TAM NA BŁONIU BŁYSZCZY KWIECIE

skiego stempla liryk Bolesław Czerwieński, chociaż przeciwnicy pieśni twierdzili zawsze i uparcie, że uczynił to jedynie z żartów.

Dochodzi tu inna sprawa, usuwająca się z pod mojej kompetencji: melodja. Na tych samych warunkach, co pieśń, może się ona ubiegać o szeroką popularność. Bardzo rzadko Chopin, częściej, z reguły Moniuszko, najczęściej aryjka z opery lub wkładka z operetki. I trzeba nato L. S. Schillera, lub jakiego innego znawcy starej przeszłości muzycznej, by poczynił muzyczne odkrycie, skąd są rodem melodje najpopularniejszych poetów polskich.

Nierozstrzygnięta jest dotąd sprawa lwowskiej Marsyljanki. O kompozytora muzyki „Chorału” Ujejskiego nikt nigdy nie zapytał, ani on sam w ciągu długiego życia († 1889) nie upomniał się o swe dzieło. Trudno chyba znaleźć drugiego artystę, któryby tak dalece zacierał ślady swego imienia i uciekał przed popularnością. I bardzo niechętnie przyznawał, że jest twórcą muzyki do pieśni-skargi, od którego bieleje włos. Upomniał się dopiero o Nikorowicza poeta Chorału przemawiający później na obchodzie jubileuszowym we Lwowie w r. 1893: „część wieńców, które otrzymałem, odnoszę myślą na cmentarz w Chyrowie

i składam na zapomnianym grobie Józefa Nikorowicza... jego utwór muzyczny mnie natchnął...“
Dlaczego kompozytor najpopularniejszego z hymnów uchylił się od odpowiedzialności, czy był w istocie jego autorem — nie zbadano dotąd.

Pieśniarze utworów żyjących na ustach ogółu nie mają sławy i nie mają nazwisk. O ile nie odznaczyli się na innym, wdzięczniejszem polu, przepadło imię i ewentualna karta w literaturze. Bo cóż dziś wiemy na ten przykład o Stanisławie Starzyńskim, chociaż wesołą jego piosenką żywił się ogół polski przez pół dziewiętnastego wieku? Albo o libreciście Moniuszki — Włodzimierzu Wolskim? O Rajnoldzie Suchodolskim? — Albo o tym Bartelsie, który z quodlibetem piosenek swych objeżdżał dwory po kresach? Wiemy akurat tyle, co o twórcach najprzedniejszych piosenek listopadowego czasu. Znajdziecie je w pierwszym z kraju piosenniku. W miejsce autora: Trzy gwiazdki ***. Autor bał się prześladowań naturalnie. Dla porządku trzeba będzie kiedyś oddać im sprawiedliwość i ustawić w historii literatury na właściwym miejscu imiona starych pieśniarzy. Dla porządku. Bo iść w tłum z tą wiedzą nie potraza. Prawo dżungli żąda bezimienności i strzeże jej uparcie, zazdrośnie.

TAM NA BŁONIU BŁYSZCZY KWIECIE

Pocóż jednak daleko sięgać po przykłady? Najpopularniejszym utworem Kazimierza Tetmajera jest pieśń, znańsza powszędzy więcej od całej ówczesnej literatury, tak oklepana, że jej nawet nie umieszczają w wyborach jego wierszy: „Mów do mnie jeszcze“. Albo te potężne trzy zwrotki puszczone w obieg w Warszawie we wrześniu 1914 r. przez Edwarda Słońskiego: „Rozdzielił nas, mój bracie, zły los i trzyma straż“. Wkrótce potem nauczyły się tego napamięć wszystkie fronty polskie i umieją do dziś.

Można wnosić śmiało, że gdy przeminie cała epoka nasza, a wichury jutra rozwieją w pył nazwiska Tetmajerów i Słońskich, wówczas tyle co my dziś o Wiktorynie Zielińskim wiedzieć będzie o nich dziewica, tęsknie zawodząca, abyś do niej mówił jeszcze prawnuku, lub stary wiarus z wielkiej wojny anno 1914, który wspomni na piecu Tę, co z naszej wyrosła krwi.

Uwzięłem się swego czasu, aby się dowiedzieć, kto właściwie napisał znaną pieśń żołnierską: Może uda się, że powrócę zdrów i zobaczę miasto Lwów. Było to we Lwowie na Cytadeli w czasie pierwszej zawieruchy bałkańskiej. Już, już chwytalem za polę szewca rezerwistę, który pono pierwszy przed tygodniem zanucił. Jak Boga mego, to un. Wszystkie „trzydziestaki“ wskazywały go jako autora. Szewc przyparty do muru, wyparł się. Mówił, że to nie on, ale tak jakoś wszyscy razem słowo po słowie. A my taki mówimy, że to on. Szewc swoje, oni swoje. Nie chce być autorem. A strofy pieśni wciąż rosną. Codziennie rodzą się nowe na Janowskich błoniach, bezimienne, bezpańskie, bezautor-skie. Zadowolone nawet z tego, że nie umiały wskazać swego stwórcy. Trzeciego dnia już o tym szewcu-pierwszym rodzicu pieśni zapomniano. Bo to jest przywilej i tajemnica pieśni ludowej. Podobnie z wyrazami. Nie wolno i nie wypada, żeby

TAM NA BŁONIU BŁYSZCZY KWIECIE

miały swoich twórców. A jeśli mają, to i my i oni chcemy jak najrychlej o tem zapomnieć. Chyba przypadkiem wyjątkowo raz na sto lat można chwycić twórcę słowa na gorącym uczynku. Często nie twórcę samego nawet, tylko pierwszego używcę tego, który daje sygnał, początek, hasło, a po nim rozpoczyna chór. I tak nie wiadomo, komu postawić pomnik w podzięcie za słowo. Choć w tym wypadku właśnie wiadomo. Był to pracowity aż do obłędu kowal, który wykuwał w trudzie przeróżne niestrawne dziwolągi: Jacek Idzi Przybylski (* 1756 † 1819). Setkami i tysiącami. A wśród bezmiaru dziwotworów udały mu się szczęśliwie dwie, trzy podkowry, które jego i czas przeżyły: *wszechnica popiersie* i ten właśnie *pomnik*. Przybylski był szczęśliwym projektodawcą trzech słów, których projekt został przyjęty.

Wprowadzanie nowych słów wogóle udawało się zazwyczaj raczej ludziom zwyczajnym, niżeli powagom. Udawało się wypadkiem raczej niż jako rezultat wyteżonej świadomej pracy. Taki Lelewel np. daremnie usiłował zastąpić autora *zdziałca*. Warunkiem drakońskim jest otchłań zapomnienia. „Wytwory indywidualnej twórczości językowej — pisze prof. Szober — mają zapewnioną trwałość o tyle tylko, o ile, zerwawszy swój pierwotny zwią-

zek z indywidualnym twórcą przeistaczają się we wspólne dobro języka.“ Twórcy ich skazani są obowiązkowo na zatrącenie imienia. Czasem chodzimy wokół słów, które powstały wczoraj i weszły natychmiast w zwyczaj ogólny. Nie zdradzają wcale swego nowobogactwa, przeciwnie nadymają się jakby dostojne tradycją brzmienia. Są zaś tylko szczęśliwym wynalazkiem, często owocem dobrej sekundy natchnienia u jakiegoś fachowca, który kiedyindziej grzeszy śmiertelnie w tej dziedzinie. Taki np. *czołg* albo *śmiga*, albo *sąk* w znaczeniu drenu. To wszystko świetne i trafne i rdzenne zastosowania. (Wzywam wynalazców do zgłoszenia się po nagrodę nieśmiertelności!)

*

W pewnym stopniu można też wpływać sztucznie na rozwój słownictwa. Czynili to w szerokiej mierze Czesi, broniąc się przed naporem niemieczyny, później Węgrzy, a u nas Wielkopolanie. Wpływ jednostki jest naturalnie ograniczony, prawie żaden. Trzebaby zbiorowego wysiłku. Pisząc to, siaduję często dla wypoczynku na leżaku, nie umiem nazwać tej jego części składowej, która jest podnóżkiem. Wymyślam tedy: niech się nazywa *gnutek*. Niema tu wprowadzić żadnego sensu logicznego, ani konieczności do takiej nazwy, ale

TAM NA BŁONIU BŁYSZCZY KWIECIE

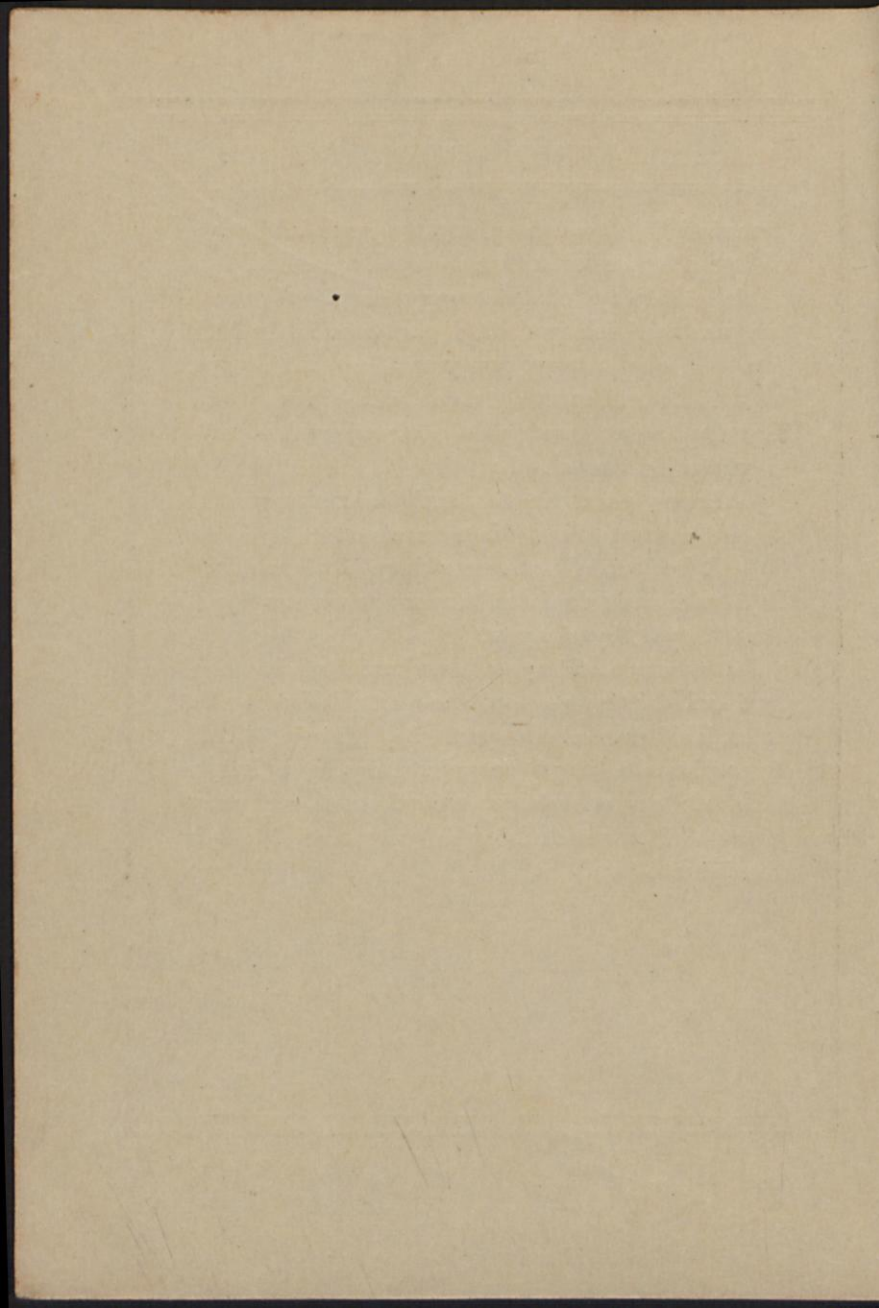
to może i lepiej, skoro wiemy, że język lubi pasjami być z logiką na bakier, lecz jak to zrobić, żeby ludzie siadający na leżakach poczęli równocześnie nazywać ich podnóżki gnutkami? Trzebaby namówić chyba trzy grupy pań wyjeżdżających na lato, te nad morze, te do Ciechocinka, te do Krynicy i zobowiązać je do następujących rozmów na plażach i deptakach:

— Proszę pana nie zapomnieć o moim gnutku.

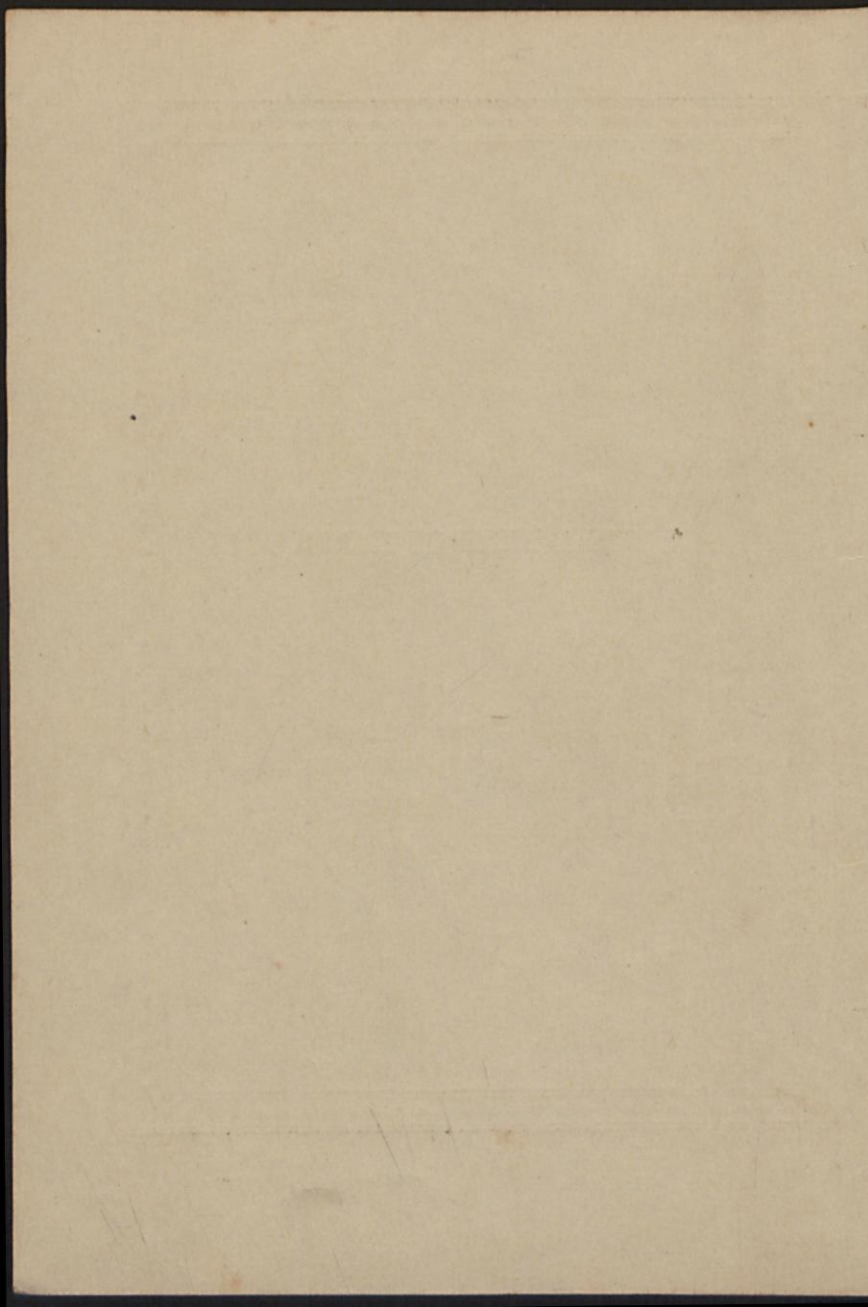
— O czym takim, nie rozumiem?

— E bo też z pana prowincyjał niemożliwy! To ja mam panu dopiero tłumaczyć co znaczy gnutek. Wstydziłby się pan.

Jest rzeczą możliwą ale bynajmniej nie konieczną, że młodzieńcy po powrocie z letnisk forsowaliby przez jakiś czas nowe wyrażenie. Może wcieliłoby się w piosenkę, napewno pojawiłoby się w kurjerkach, ale czy zdołałoby przeżyć sezon, czy przyjęłoby się? Zapewne nie, bo jest przecież głupie. Chociaż kto wie?



POCHWAŁA NIEPOPRAWNOŚCI



Pędzi tłum ludzi i krzyczą na wyścigi, co gardło wyskoczy. Wygrają, gładzą, proszą, załamując ręce. Kapitan z „Kopu“, pan posiadzieliel gdzieś od Swornego gacia, paniusia z Trembowli, trzech emerytów państwowych i pięć nauczycielek. I krzyczą spolem, że jest źle. Ginie ojczyzna. Nikt tego nie widzi. I zginąć musi, jeśli dalej w ten sposób będzie się zatruwać zdroje mowy ojczystej... Nikt tego pojąć nie chce, tylko oni jedni...

Gnają pewni siebie, siedząc okrakiem na swym niewzruszonym fiksie. Są dufni. Wołają, żeby im co prędzej dać cenzurę chwalebną i patent za numerkiem z uwolnieniem od taksy za poprawność, bo przecież tamto tałatajstwo...

Tamto tałatajstwo oplute, spuchłe, pokamienowane błaga o ratunek. Pokornie zawodzą biczownicy, aby ich wziąć w obronę. Żeby mogli wogóle istnieć na świecie i czasem otwierać usta. Albo też niech panowie wyrzucą precz z języka wszystkie te obrzydłe słowa, któremi się nas torturuje. Tych

słów-tortur (tak rozumują opuchli biczownicy) jest nawet niewiele. Wyrzucić je jakoś i będzie *treuga dei* na ziemi!

Czy należy płacić pieniędzmi czy pieniądźmi, mówić mularz czy murarz, mimo tego, czy mimo to, „proszę pani“ czy „proszę panią“, pisał będę, czy będę pisać, całuję rączki komu czy kogo? I jeszcze dwieście innych wątpliwości.

Więc pisma urządzają ankiety na ten temat, pytają znawców o sąd i radę i rozstrzygają wreszcie sprawę — poczem za dwa lata historia cała rozpoczyna się odnowa.

A gdy kto potem przejrzy roczniki takich pism i rozsądów — uśmiechnie się z politowaniem i zauważy razem z prof. Rozwadowskim: Nie umiecie państwo nawet rozsądnie sformułować, o co wam chodzi.

*

A kiedy już wykrzyczeli się do zachrypu, wtedy idą do sędziego pokoju z prośbą i groźbą o natychmiastowy wyrok śmierci w pierwszej instancji. Przypomina się pan sędzia Karakalski z Nowego Sącza, biedny manjak, który babę za pyskowanie skazał na śmierć w imieniu Najj. Pana. Przed trybunałem dzieli się powaśniony tłum na dwa obozy. I łup-trup nuże w nowe zwady.

— Jak należy mówić: Taras czy terasa? —
pada pierwsza zaczepka z głębi tłumu.

— Taras — woła Warszawa.

— Terasa, chcemy terasy — jątrzy się Kraków
z Małopolską.

Lingwista próbuje z łagodną wzgardą na ustach
godzić poważnionych:

— Jeden djabeł, taras, czy terasa, bo oboje od
ziemi pochodzą.

Ale nikt się nie uciszył tem wyjaśnieniem, bo
go nikt w gwarze nie słyszy. Już sypie się nowy
grad kamieni, kartofli, ulęgałek.

— Czemu portjer a nie szwajcar, czemu umbra
a nie klosz na lampie, nie chcemy wogóle o kresko-
wanego!

— Janowie, czy Janostwo?

— Winien jest tysiąc złotych!

— Nieprawda, jest pan dłużny.

— Czy się pisze „kłuć“, czy się pisze „klóć“?

— Czemu jest generał Sikorski i generał Sosn-
kowski, a dawniej bywali tylko generałowie ziem
podolskich.

Lingwista próbuje perswazji:

— A ile pan ma kapeluszy?

— Też pytanie... Mam dwa.

— Lecz jeden wystarczyłby też. Prawda? Więc niechże pan pozwoli językowi używać również dubletów w znaczeniach, składni i głosowni.

Paniusia z prowincji, u której ma być ksiądz biskup na podwieczorku, przybiega z płaczem w niewiedzy płci biskupiej. Jakże go spytam: Ekscelencja jest głodny, czy ekscelencja jest głodna? Żeby zaś się nie obraził.

Inna zapowiada uroczyste, że od jutra koniec z drelowaniem wisien i porzeczek. Będziemy je wyłącznie... pestkować. (Czyby nie lepiej pójść śladem gosposi poznańskiej, która je poprostu drąży?)

— Nie lepiej, bo ona nie ma zielonego pojęcia o gotowaniu wogóle.

Tamten znów gwałtuje, aby mu *kolację* zmienić na *wieczerę*, że to niby rdzenniej po polsku. I tłumacz-że mu daremnie, że w ciągu czterech wieków „kolacja“ miała czas otrzymać indygenat, a „wieczerza“ pozostała słowem z wysokiego partesu, którego nie można codziennie wieczór popospolitować w Bristolu.

Urzędnicze państwowej szef zagroził dymą i zwymyślał od analfabetek za napisanie listu do p. Hutten-Czapskiego, gdy on dyktował wyraźnie do p. Huttena-Czapskiego.

*** POCHWAŁA NIEPOPRAWNOŚCI ***

Albo, że od jutra wszystkie hydroplany będą „wodowały“, bo przecież „lądować“ na wodzie to oczywisty nonsens. Czemuż w takim razie dotąd się panu pali na panewce, chociaż już nikt prochu nie podsypuje i czemu mówicie przy stole zdechl pies, chociaż psisko szczeka dalej na podwórzu?...

*

Uczepiło się manjactwo jakiegoś jednego głupstwa i wodzi go z krzykiem do koła jako niewątpliwe remedium. Przyczem wołają: zły język to najgorsze zło! W epoce rozbiorów krzyczano inaczej. Wówczas za walną przyczynę upadku uchodził frak, zmiana stroju. Z odmianą stroju Polak się odmienił.

*Słowem, porzucając kurtki y kontusze
Poutracaliśmy y polskie dusze*

tak biadała ulotka w czasach Sejmu Czteroletniego. Dziś kubek w kubek popija Jakubek. Gubi nas wyłącznie ten zepsuty zatruty jęzor. Rzecz jasna, że porównanie z językiem równe owemu z frakiem. Bo właśnie w owym 18-tym wieku Polska błyszczała świetnym, jak nigdy przedtem, blaskiem słowa, które stało u zenitu władczej potęgi.

*

Lingwiści znowu próbują uśmierzyć rozruch.

— To wszystko jedno. Mówcie, jak was matka uczyła. Dublety istnieją w każdym języku i w każdym okresie jego rozwoju.

— Ładnie mi wszystko jedno, kiedy się z nas śmieli.

— Chyba śmiali, ramolu jakiś.

— Ależ obaj macie rację. Śmiali się na południu Polski — śmieli na północy.

Uczeni, zażywwszy nowego kogutka, próbują dalej szczęścia. Język nie znosi formalistyki. Rubrycelle i przepisy na nie się nie zdadzą. Idziemy z pochodnią, niecąc światło jarzące, dobroczynne, ale egzekutywa nie w naszej mocy. Znawca języka nie jest guwernerem od poprawiania błędów.

— Więc czemuż jest?

— Znawcą języka, który tak jak doktor woli chorobę od zdrowia.

— A czemu w takim razie nie wprowadzacie poprawnych wyrażeń, takich, które sami uważacie za dobre? Czemu nie wymyślacie nowych dobrych słów?

— Bo nie jesteśmy artystami. Władza nad słowem jest rzeczą sztuki. O ile zdarzy się uczony, który jest artystą, odsyłamy go do literatury.

O ile zdarzy nam się manjak, który nawet rozsądnie zapytać nie potrafi, odsyłamy go do szkoły powszechnej, bo ona tylko nauczyć może, wtajemniczyć was w arkana budowy, istoty i życia języka.

— Impertynenci!... — mruczy tłum, cofając się. Mamy Roll-Royce'y, a nikt nas nie zapyta o ich budowę, latamy Junkersami, nie troszcząc się o pilota i slipingami jeździmy od wieku, a nikt nam nigdy, ani szofer, ani konduktor, ani szwajcar kolejowy nie śmiał cisnąć podobnej obelgi.

*

Krowy nie puszcza na targ bez paszportu od weterynarza, człowiek nie wyjedzie zagranicę bez wizy od konsula, elementarza nie dadzą dziecku do rąk bez aprobaty pana szefa w ministerstwie — więc niechże tak będzie i z językiem bieżącym, z tem wszystkim, co Francuz nazywa *la langue courante*. Wymyślcie jakiś żurnal mód ze wzorami słów na wszelkie okoliczności, ulóżcie paragrafy i tablice, jakiś taki herbarz wyrażenń dozwolonych i dopuszczonych i zakazanych, jakąś taką *mater verborum* — i będzie spokój. Urzędnicy państwowi woleliby jednak tablice i rubrycelle w kratkę na każdy dzień i godzinę roku. Aż do od-

wołania, bez obowiązania. I receptę, ile razy w każdym poszczególnym wypadku i wogóle.

*

Szanowny tłumie, który „myślisz butem, a czytasz łokciem“, uspokój się i „zostaw leżeć“ całą tę niepoprawność. Szczytem jej przecież była piosenka pewnego pana Wybickiego z Pomorza, piosenka dość znana ostatecznie:

*Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę,
Będziem Polakamy,
Dał nam przykład Bonaparte
Jak zwyciężać mamy.*

Wybicki, człowiek z północnej Polski, użył tu swojej rodzimej formy, której się wyparł potem język literacki. Wymieściłby też trzeba poza żabiecę brukowanej kultury ten arcyniepoprawny werset Mickiewicza, który lał łyzy czyste, rześiste na swoją młodość górną, i *durną*, bo mu się tak podobało, bo tak od dziecka niepoprawnie gadał. I miał prawo. Linde był z Pomorza, Kościuszko z Białorusi, Skarga z Mazowsza. Juści. Trudno patrzeć na te rzeczy przez rurę od barszczu.

*

Przypuśćmy jednak, że spełniły się tęsknoty „poprawnościowców“. Zakuto tedy w dyby wszyst-

kich lingwistów na lat pięćdziesiąt. Kazano im ustalić poprawność miliona wyrazów i wylegitymować niezaprzeczoną polskość obiegowej monety. Po półwiekowej pracy zdolali poszeregować wreszcie całe wyrazownictwo wedle wieku, uszykowali cały bałagan ściśle wedle starszeństwa i pokoleń, jak w herbarzu. Cóż wtedy? Wtedy nie byłoby stąd żadnego pożytku, kochany żytku. Bo nikthy tego nie usłuchał. Język nie da się ująć i obwałować, jak rzeka. Jest żywy. Nie chce oficjalnego koryta, chce twórczej wolności. Protestujcie mi sto razy: wymian, a powiem zawsze: weksel.

*

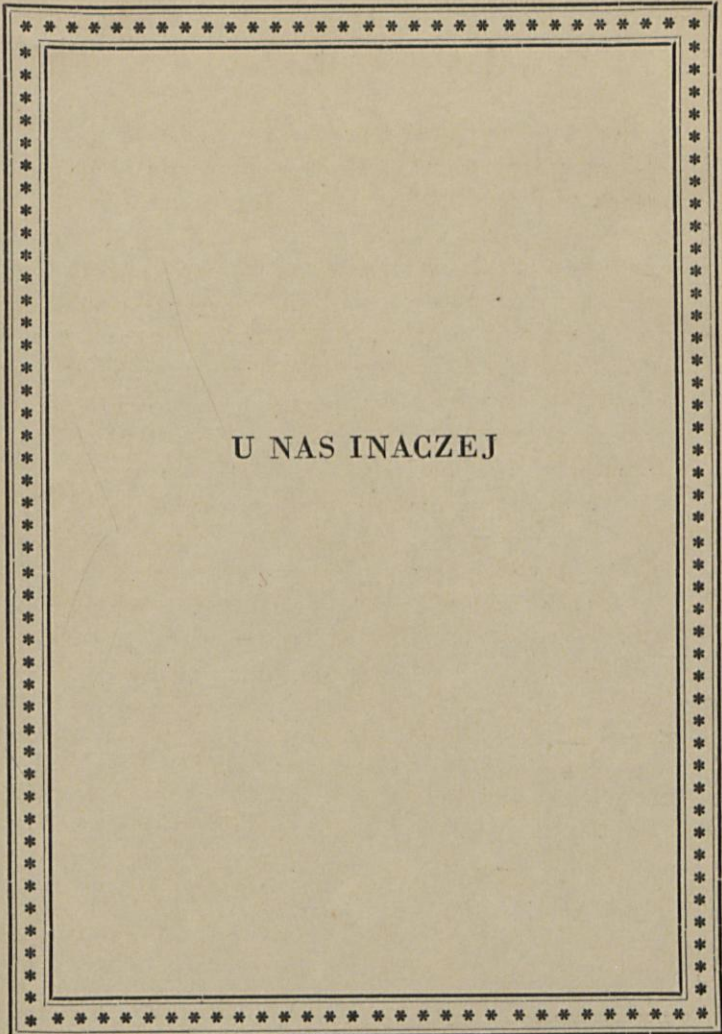
Gdyby logika sprawowała wyłączne rządy w języku, zabrakłoby w nim połowy naszych codziennych wyrażen. Mówilibyśmy, strach pomyśleć, jak przerażająco, ale zato logicznie! Miarowo, szaro, nudno i smutno, bez skrzydeł. Zgoła inaczej, niż mówimy wogóle. Nie byłoby Dantego, Homera, Mickiewicza. Sami jacyś urzędnicy od poprawności. Gdyby logika... Usiadłby za zielonym stołem wymyty do czysta kadłubek języka, kaleka z obciętemi precyzyjnie, równiutko kończynami, wykastrowany dokładnie — eunuch w IV stopniu służbowym, z zaopatrzeniem na starość i wysługą lat.

*

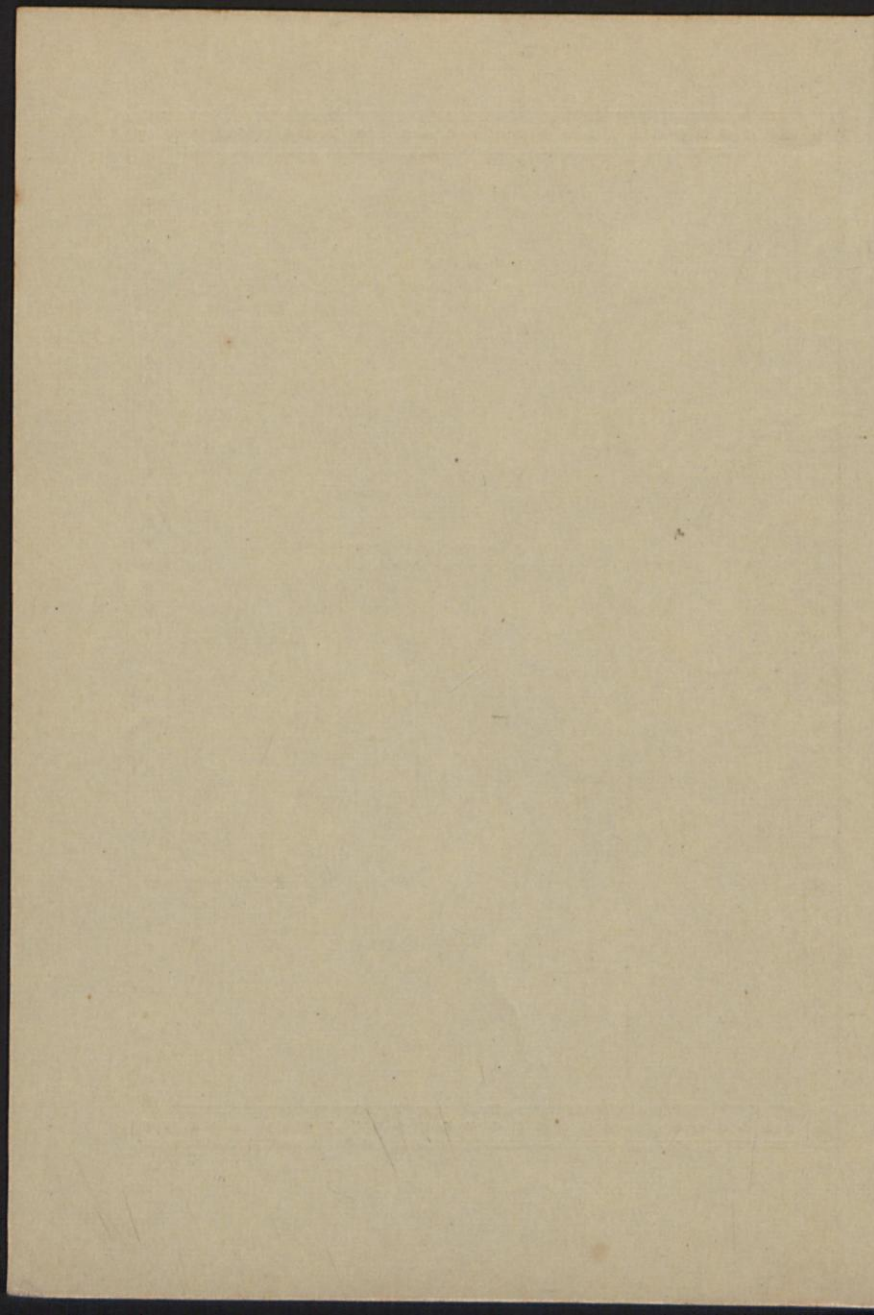
Cóż robić, droga paniusiu. Nie dziwię się pani błędom, skoro i sam język popełnia potworne błędy językowe.

— Jakto, sam język?

— Ano poprostu. Jedzie pani do Krynicy albo do Stanów Zjednoczonych. Kupuje pani za grosiwo czereśnie. A to są wszystkie ciężkie wykroczenia przeciw duchowi języka. Wedle reguł bowiem i praw władających mową powinna pani pojechać do Krzynicy, do Stanów Zjednoczonych, i kupować za groszywo trześnie. Nie można też powiedzieć, że Słowacki jest obywatelem Wawelu. To dwa błędy! Poprawnie powinno brzmieć: Wawel i obywatel. Mówiąc inaczej, dopuszczamy się dwóch obrzydliwych czechizmów. Wynika stąd, że język kpi sobie tego z tzw. ducha języka i ani mu w głowie trzymać się swojej własnej konstytucji. Gdyby poszedł do szkoły, dostałby pałę z języka polskiego i dowiedziałby się, że nie ma pojęcia o gramatyce!



U NAS INACZEJ



Tak jest rozległa ojczyzna miła, że nie-
tylko ludzie różnią się pomiędzy sobą,
ale nawet ptaki gadają inaczej. Prze-
piórki mianowicie. Na Mazowszu wołają tak
sobie od niechcienia: *pit-pi-lit!* na kresach już
bardziej zdecydowane, podpalają: *pod-pa-laj!*
w Wielkopolsce zaś upodobniły się do ludzi,
liczą: *pięć-pono-pięć!* Co kraj to obyczaj. Inną
kawę pijamy, wedle zupełnie innych metod
suszy się po wsiach bielizna, innych potraw
wymaga uczta wigilijna, inaczej ubierają się
kominiarze, inny jest wreszcie kształt syfonów
z wodą sodową. Gramy w karty niby bez różnicy,
ale łatwo poznać, gdzieśmy się rodzili przy tej
sposobności. Galicjak gra bez *aduta*, wychodzi
zawsze *trefem* i daremnie go namawia Warszawa,
aby nie obgryzał miłodźwięcznego pączka z tej
koniczynki. U nas inaczej, u nas najlepiej. Nie
wychodzi w *trefle*, ugryzł natomiast zakończenie
atutowi i zapowiada: bez adu.

Inną geografję wyznajemy. Jedno i to samo miasteczko zowie się Belzcem u Małopolan, którym przypomina województwo belzkie, Królewiały zaś od lubelskich Belżyc wolą je Belzcem nazywać.

W Galicji piórko tyrolskie zdobi kapeluszy pana hrabiego, w centralnej Polsce naopak, oznacza strzelca. Wedle słomianej strzechy można dzielić Polskę i wedle czerwonej dachówki, wedle szewskiej pasji, która w zachodnich dzielnicach będzie zawsze szewką i wedle konsumpcji cukru. Śladem tych rozmaitych powiedzonek, idących z piersi ludzkiej, wedle budowań na ziemi wzniesionych, obserwując stosunek czarnej kawy do białego mleka w restauracji, rozeznąć się można w geografji ojczystej jako tako.

A ktoby nie miał ważniejszego zajęcia, mógłby sobie w długie wieczory zimowe ponaznaczać na mapie linje graniczne. Znamy zresztą ze szkoły takie linje podobnościowe. *Izoterm*y na przykład, łączą na mapie te punkty ziemi, które mają jednaka średnią temperaturę roczną, *izochrony* są to punkty, w których burza dosięga jednocześnie najwyższego natężenia, *izobary* są kartami pogody, *izohiety* mają jednakową ilość przez rok deszczu. *Izofonami* natomiast nazywa nauka linje

łącznie tożsamość pewnych cech głosowych, pewnych takich samych w danej sytuacji rozdziału paszczęki i ruchów języka.

Niby ci sami ludzie, lecz kiedy tu i tam ucha nastawisz, zobaczysz, że niezupełnie ci sami. Już dziecko, które pierwszy raz usta otworzy, czyni to inaczej nad Dunajcem, a nad Bzurą inaczej, wyciąga rączki do taty, jeżeli jest synem pana sędziego pokoju z Kutna, bawi się z tatą w domu pana radcy sądowego w Krościenku. Wujek, dziadzia i mamusia walczą z wujciem, dziadziem, babcią i mamcią.

Jedne i te same kwiatki, zdawałoby się, właśnie zboża, a przecież nie, bo tu chaber kwitnie, tam modrak, czy znowu bławatek. Mięso podadzą na stole na zupełnie innych talerzach, w Warszawie na *plaskim*, w Galicji na *plytkim*, w Poznaniu na *mialkim*. Nawet litery inaczej się nazywają, przedostatnią literę alfabetu nazywamy igrekiem w Warszawie, ipsylonem w Galicji. Liczy się inaczej: W Warszawie 2 i 2, we Lwowie 2 a 2 jest cztery. I kalendarz inny. U nas dziś pierwszy lipca, a u was? pierwszego lipca. Brak zgody w oświeceniu jest tak jaskrawy, że poróżnił nawet Słowackiego z Mickiewiczem. Gdy w scenie ostatniej Wallenroda powiada Aldona: „Co wie-

czór lampę ukrądkiem *zaświecę*“ — Słowacki w zachowanym do dziś egzemplarzu poprawia po warszawsku: *zapalę*. Lampa naftowa, która w Królestwie filowała, nie kopci jak w Małopolsce, tylko garnki kopcą się na kuchni. Lampę nakrywa się kloszem, którego pod żadnym warunkiem nie można nazwać umbrą, bo to jest obrzydliwy... germanizm galicyjski. W sypialni sytuacja jeszcze kłopotliwsza. W Galicji służąca ścieli łóżka, w Poznaniu je zaściela, w Kongresówce rozbiera i trzeba bardzo uważać, żeby się nie pomylić w wydawaniu dyspozycji. Jeden i ten sam kawał cieleniny nazywa się tu ćwiartką, tam kulką. Wogóle do kuchni międzydzielnicowej lepiej nie zaglądać! Urwanie głowy! A co znaczy słowo rozmaitości: W języku lwowskim znaczy mieszanina, w poznańskim: obkład. Listonosze są w Galicji, biustonosze w Poznaniu. W aleje jeździsz w Warszawie, na wałach mieszkasz w Poznaniu po plantach chodzisz w Krakowie. Andrusy, baciarze, juchty i łaty, mają swój odrębny, swoisty, od szerokości geograficznej zależny język domowy.

Piszemy wogóle inaczej. Przyrząd do pisania zwany piórem, składa się w Poznaniu z trzonka i piórka, w Warszawie z obsadki i stalki, we Lwo-

wie z rączki i pióra, już panny biurowe warszawskie przestały się zaśmiewać, gdy stanął w drzwiach taki centuś i poprosił o rączkę. Ale coś było racji na tej różnicy piór, skoro uczeni mówią i dziś, że z zupełnie innej podstawy językowej wyrósł Wyspiański, a z innej Prus, albo Kasprowiec. No a o rzeczach ostatecznych jak pogrzeb i kominiarz, niema co mówić. W mogile ciemnej spis na wieki, o ile umrzesz we Lwowie, wieczne odpocznienie zmówią ci nad grobem w Wielkopolsce.

Czytam nagłówek listu i wiem odrazu, skąd przyszedł: Jeśli mnie nazwano wielmożnym panem, poznam odrazu, że poczta przyszła z Małopolski i rozumiem, jak ciężkim kamieniem będzie, jeżeli się nie odwielmożnię w odpowiedzi. Wedle tego kierować się można oraz, jakim kolorem atramentu piszą i jakim krojem litery stawiają. Wedle Bóg wie jakich odróżności nibyto maciowych, ale przyrodzonych i wrośniętych. K. Kamiński, jeden z wielkich mistrzów sceny polskiej, żył zawsze w swiecie sztuki, Słowacki w pierwodrukach swoich utworów wszędzie zawsze śpiewa, dopiero wydawcy dzisiejsi każą mu poprawnie śpiewać. Niby głupstwo — Mickiewicz kończył i tańczył i nigdy mu się wargi nie złożyły do tańczenia i zakończenia.

Gdy w głośniku radiowym usłyszę głos księdza, śpiewającego *paterh nosterh*, wiem, że transmisja jest z tumu poznańskiego, kazanie z Wilna opowie mi natomiast o końcu świata. Jigły są w Warszawie, i jizby, które się gdzieindziej zupełnie inaczej nazywają. Kraków dlatego nie jest Warszawą, bo niema tam *laurek* imieninowych, ani *krawatów* (nawet prof. Rozwadowski nosi *krawatkę*,) ani cytrynowej kielbasy, a składki miesięczne nazywają się *wkładkami*.

Słów, które nas łączą, jest bardzo wiele. Całe krocie, cały słownik. Słów, które nas dzielą, mało, na palcach je policzyć. Małe wyrażencko, czasem ledwie cień wyrazu, końcówka jakaś, jakiś drobny przydezek czy akcent — ale starczą, aby odgraniczyć ludzi od siebie. Samo ono nie wie, skąd się bierze i skąd jego ta wielka waga. Nie czuje, że dźwiga na sobie brzemień odwiecznych różnic i uprzedzeń, sympatyjek czy wspomnień, że w takim jednym przydechu czy małej nazweczce skrył się cały symbol różnicy szczepowej czasem, towarzyskiej często tylko i zwyczajowej. U nas inaczej, u nas najlepiej! *Coup de mot — coup de foudre!*

Zastępuje i symbolizuje całą odrębność życia szkoły i wychowania i kodeksu obyczajowego,

jest wykładnikiem różnic dzielnicowych, sygnałem ostrzegawczym, który demaskuje „innowrodcę“, lub hasłem porozumienia, które łączy dzielnice.

*

Przeżywamy piąty czy szósty z rzędu wielki moment historyczny w rozwoju języka, jest chwila wielkiej przemiany, kontroli, przeinaczenia i uzupełnienia zasobu wyrażań. Ze wszystkich stron. Więcej niż kiedykolwiek indziej. Nietylko wojna i zdobycze techniki, nietylko rok 1918 i odrodzona państwowość. Inwazja nowych pojęć, słów, znaczeń z czterech stron świata. Co miesiąc, co tydzień wyrasta jakieś nowe wyrażenie. Wystrzela znienacka z głośnika radjowego, rodzi się przy herbacie lub w kałamarzu pisarskim, opadnie was gdzieś na rogu ciemnej ulicy, w dancingu. Potem zginie równie szybko lub przebierze się w oczach, uśmiechnie innym złożeniem, szczególnie kopnięte, lub powędruje wysoko do literatury. Tłum chwytą z ciekawością każdą taką nowalję i smakuje: wypłuwa zaraz, albo próbuje przegryźć. I bierze nuworysza na codzienny użytek.

*

Kto tem wszystkiem włada? Od kogo zależy rozwój i narastanie języka, kto wydaje wyroki, profesor uniwersytetu, chłop wsiowy, szef sekcji, autor gramatyki? Kto uśmierca jedno słowo, a każe żyć innym. Żaden z nich, to pewne. Czyni to tajemny duszek języka, uparty krasnoludek, którym powodować nie łatwo. Z cierpliwością, śliniąc główkę, można go czasem, podstępnie, oduczyć czegoś, albo przekonać, że jest w błędzie. A liczyć się z nim trzeba. On wszakże prowadzi za rękę słowa, przed trybunał powszechności, rozdziela patenty, wydaje wyroki śmierci i dokumenty nobilitacyjne.

*

Jak niebo, w lustrze jeziora, tak życie przejawia się w słowach, trzeba tylko umieć spojrzeć i chcieć spozierać w owo lustro tajemne.

*

Powiada Bernard Shaw w przedmowie do swego „Pigmaljona”: „Anglik nie może ust otworzyć, aby się nie naraził na nienawiść i pogardę drugiego Anglika”. Coś trochę pod tem względem podobni jesteśmy do rodaków Shaw’a. Kiedy spytać paniusię warszawską, po czem odróżni Galicjaka, czy Poznańczyka od rdzennego Polaka pierwszej klasy, wysypie natychmiast całe na-

ręcza, całe wagony powiedzonek z salonu, kuchni i literatury i uważa, że sprawę załatwiła. I nie chce pojąć, że każdy człowiek uważa za najlepszy ten język, który go otaczał i kształcił od kolebki i który z nim razem rósł, na jego własnej grzędzie. Nie wolno pogardzać słowami tylko dlatego, że mają ograniczony zasięg regionalny, „wyzwiska miotane na formę językową — powiada Andrzej Gawroński — nie sprowadzą żadnej poprawy, a są tylko... bezpłodną obelgą, ciśniętą w twarz własnemu narodowi, który żyje treścią tej formy. Taki mamy język, jacy sami jesteśmy i jakiegośmy warci.“

Wogóle trzeba się wzajemnie uczyć cnoty, która jest równie rzadką w Ameryce i Francji, jak w Anglii i Niemczech, a nazywa się liberalizmem językowym. I umieć go w miarę stosować. Liberalizmu trzeba trochę i poprostu trochę wiedzy o języku. Jako tako otarty o nią człowiek zorientuje się łatwo, że naśmiewanie się z brzmień niepoprawnych, niewiele pomoże. Słowo niepoprawne nie usłucha, a choćby kto nawet usiłował je wyrzucić, szkoda pracy. Błędem zapewne okropnym jest cłowy plac i lasowa szkoła i ulica murarska, ale któż je zdoła wyrzucić z języka lwowskiego. Błędem jest poznański paletot la-

towy i warszawscy nauczycielowie, ale nie należy się ich pozbywać jako znamiennych właściwości regionalnych.

Spierałem się niedawno na ten temat z bardzo fertyczną, „okaistą“, jak mówią pod Giewontem, Krakowianką. Powiedziała mi, że w Poznaniu żyć wogóle niesposób, bo ci ludzie nawet owoców po ludzku nazywać nie umieją. Np. mówią „świętojanki“, a to jest całkiem źle. Dlaczego całkiem źle? Bo to się przecie inaczej nazywa. Nazywa się porzeczką. Więc żeby zrobić wielki gwałt i ich tego oduczyć. A dlaczego pani uważa, że takie czerwone kwaśne gronko powinno się nazywać „porzeczką“, skoro oni tu sobie mówią „świętojanka?“ Dlatego, bo u nas tak mówią. A oni mówią se inaczej. I jak sobie pani wyobraża, żeby oduczyć miliony ludzi słowa, które przyjęło się, żyje wraz z nimi. Toby jeszcze można, lecz jak tym krzakom wytłumaczyć, że one się inaczej nazywają? — Ale to jest germanizm, obrzydliwe dosłowne tłumaczenie. — Nie, proszę pani. To nie jest taki germanizm, który trzeba aż wyrzucać. W tym wypadku bowiem trzebaby skazać na banicję i bigos i miecz i ofiarę i lwowski Kulparków, bo to są wszystko ohydne germanizmy.

— Więc pan jednym słowem uważa...

— Uważam, że w każdym języku kulturalnym i żywym przywóz pojęć przeważa nad wywozem. I niema narodu, któryby, jak ktoś powiedział, „miał czynny bilans językowy“.

— I germanizmów nie należy tępić?

— Jak najsurowiej należy, ale prawdziwe i naprawdę trujące germanizmy. Np. poznańskie „językowe obłożenie“, warszawską „stację docelową“ i galicyjskiego „wprowadzonego w rzecz zastępcę“.

*

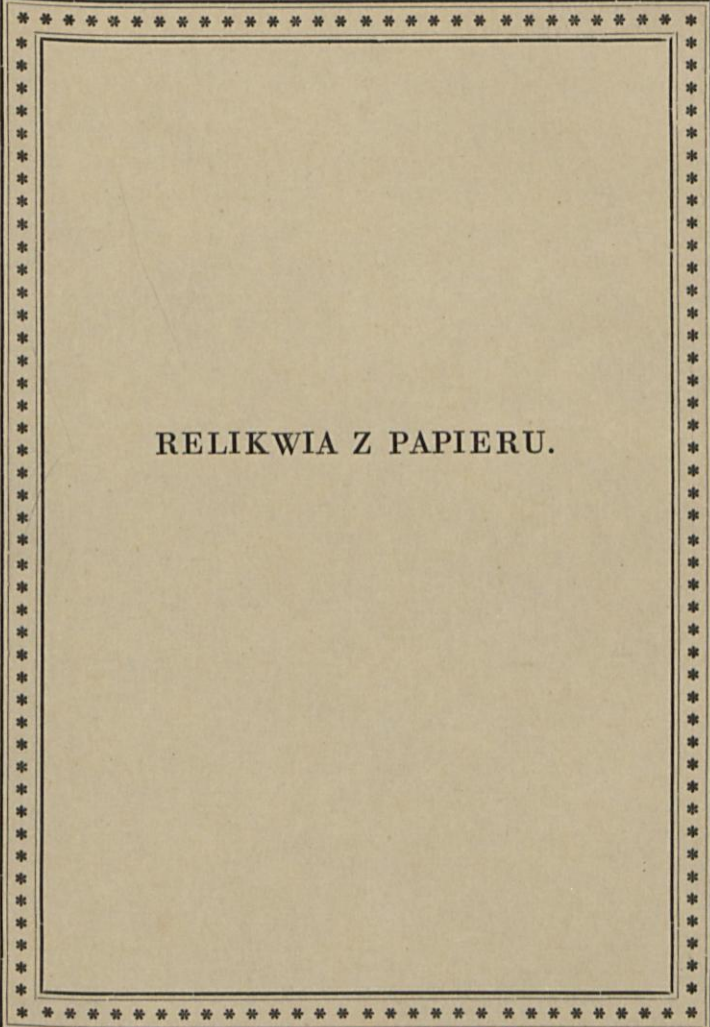
— Hm-tak. Proszę mi jednak odpowiedzieć na jedno pytanie. Czemu dworując tu sobie z różnych języków najlepiej docina pan Lwowiakom. Przecież pan sam!...

— Właśnie dlatego, droga pani. Nie zapomniałem bynajmniej o przestrodze Konfucjusza, który pod grozą grzechu śmiertelnego zabrania nazywać ciasnym dom rodzinny. Niechaj mowa lwowska najpiękniejsza stanie *inter pares prima*. By ją dźwignąć, uszczęśliwić, by nią cały świat i jak tam dalej. Tak, lecz do rzeczy. Zna pani może „Życie wyrazów“ Szobera?

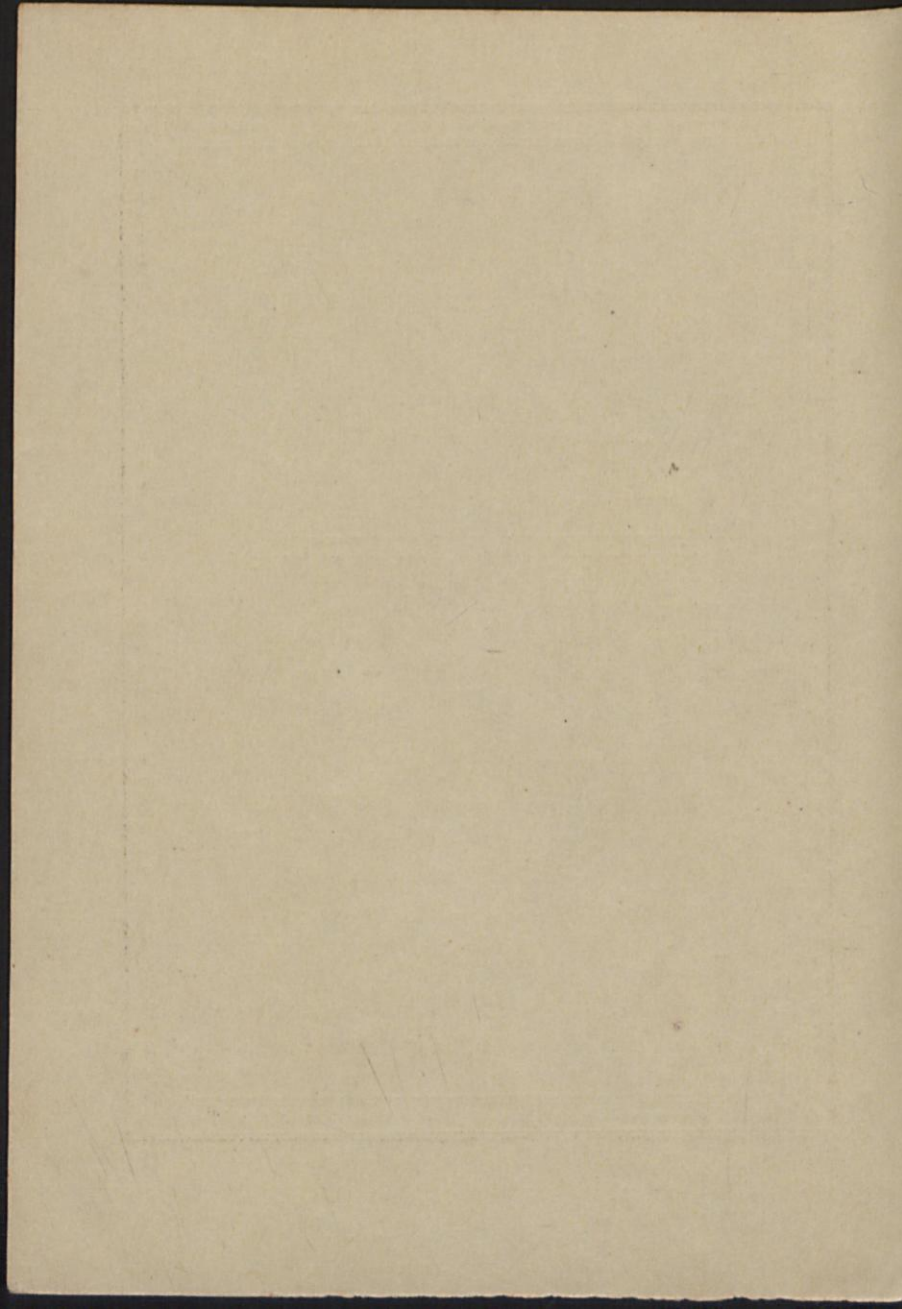
Popatrzyła na mnie wogóle okiem jak nieufnem, jak tarnopolski wyznawca św. Huberta patrzy na warszawską spółkę myśliwską.

* * * NA KOŃCU JĘZYKA * * *

Więc w takim razie przeczytać proszę wszystkie księgi dżungli Kiplinga. I pójść na naukę do Mauli'ego. Wiadomo, do czego doprowadziła ta małpa bezwłosa. Znał on hasła całej dżungli. I umiał każdemu stworzeniu powiedzieć w jego języku: Ja i ty jesteśmy jednej krwi!



RELIKWIA Z PAPIERU.



Na początku było w Polsce bardzo przyjemnie. Oprócz wielu innych powodów także i dlatego, bo nie było wcale literatury, ani wogóle języka literackiego. Po puszcach i lasach wałęsały się samopas rozmaite dzikie jeszcze słoweczka nieokrzesane, nieumyte, nieustalone w brzmieniu i znaczeniu, nie dla wszystkich zapewne jednakie. Na początku było słowo, ale gdyby kto chciał nawet chwycić je i wsadzić w klatkę alfabetu łacińskiego nie dałoby się i uciekło zpowrotem do puszczy. „Sponte sua sine lege“. Pisać nikt jeszcze po polsku nie umiał. Był to prawdziwy złoty wiek literatury polskiej. Trwało tak za Piasta i Mieszka, a może nawet Chrobrego. Król Chrobry chociaż wiele mógł, nie mógłby np. rozkazać, żeby ludzie pisali po polsku. Byłoby to rzeczą, jeśli nie wogóle niemożliwą i niewykonalną, to w każdym razie niepotrzebną. Tak jak gdyby dziś np. rozkazał prezydent państwa, aby ludzie pisali lewą ręką.

Poco lewą, kiedy sprawniej i łatwiej prawą? Tedy pisano po łacinie, a język polski niepiśmienny urwipoleć, ganiał sobie dalej i harcował po puszcach i barciach i czasem go tylko z trudem wielkim na papier chwycono, jak np. w owej bulli papieskiej z XII-go wieku, zapisującej po raz pierwszy dźwięki i brzmienia polskie.

Urwipoleć chodził do szkoły wcale długo, dwieście lat z górą, aż się wreszcie gadać nauczył do-rzecznie, maturę zdał i patent wykupił na przyna-leżność do wielkiej familji narodów po chrześci-jańsku cywilizowanych.

I tu zaczyna się bajka, którą chciałem opowie-dzieć! Żył sobie w owych czasach uświadamiania się języka, może już za wstydliwego króla, a może o wiele później, kaznodzieja, zapewne franciszka-nin, spełniający posłusznie rozkazy władzy du-chownej. Zaś owa władza rozkazała właśnie, aby kazania do ludu mówiono „in lingua vulgari“, w języku pospolitym polskim, dla wszystkich zro-zumiałym. Więc ten ksiądz jął z trudem niesły-chanym naginać owe niesforne, syczące i zbite brzmienia polskie do wymagań alfabetu i perga-minu i spisał sobie na cały rok nauki kaznodziejskie. Człowieka takiego nie było naturalnie, bo być nie mogło. Ale przypuśćmy, że istniał i że co nie-

dzieli, jak długo żył, prawil kazania z tych swoich zapisek pergaminowych. Że zaś pergamin trwa dłużej, niż ludzie, więc gdy umarł, korzystali z tych kazań następcy. Aż się zniszczyły z długiego używania. Tedy je przepisali na nowo i mówili dalej przez sto lat i więcej dopóki nie przestarzały się i nie wyszły z mody. Jak każda rzecz niemodna poszły w zapomnienie, w poniewierkę i cudem jakimś tylko uniknęły losu, który czekał w średniowieczu każdą rzecz napisaną na drogocennym pergaminie tj. zeszkrobania. — Dopiero w wieku 15-tym, gdzieś za królowej Jadwigi znalazł je gdzieś jakiś introligator, który z klasztoru oo. benedyktynów na Łysej Górze w kieleckiem, w ziemi rodzinnej Stefana Żeromskiego, otrzymał jakieś cenne księgi łacińskie do oprawy. Przykazano mu, aby oprowił mocno, jak się patrzy, więc żeby nici papieru nie przerzywały; pociął tedy stare kazania na wąskie paski i użył tych pasków do wzmocnienia oprawy. Oprawiona księga łacińska wróciła do szafy benedyktyńskiej na Łysą Górę i stała tam sobie spokojnie przez wieki.

Dłużej klasztoru, niż przeora, lecz jeszcze dłuższy od obojga jest żywot klasztornej księgi. Przetrwała Grunwald, doczekała Cecory, dożyła Sobieskiego i Wiednia, a nikt nie wiedział i nikogo

to nie obchodziło, że oprócz swej, obojętnej już nowym ludziom starej łacińskiej treści, mieści w wnętrzu swej oprawy zawartość inną, prastarą. Snać dobre były ówczesne Jahody, Kugliny i Semkowicze, bo księga przetrzymała tułaczkę po strychach i lamusach, po bibliofilach i zbieraczach, przetrwała Rzeczpospolitą i rozbiory, aż ją los zaniósł do biblioteki świeżo otwartego uniwersytetu warszawskiego w r. 1820. Lecz wkrótce już wypadło jechać w dalszą podróż, na wygnanie nad Nową. Konwojowana przez kozaków jedzie spokojna, bo już nie takie rzeczy widziała. Dali jej rosyjską sygnaturę, wstawili w półki i nikt się nie użalił nad losem biedoty zszarpanej nieco, nadgryzionej zębem czasu i podróżami.

W tym Petersburgu było zresztą cicho, tak jak na Łysej Górze u Benedyktynów.

Minęło nowe pół wieku. Aż tu dopiero w r. 1890 zjeżdża do Petersburga czarnoksiężnik, który ma różdżkę czarodziejską w duszy. Bo tak jak inni czują wodę ukrytą w ziemi, tak on wydobywa ukryte przed okiem zwyczajnych ludzi skarby starej twórczości. Nazywa się Aleksander Brückner. „Tenci jest“ powiada sobie stara księga i pocichutku, (żeby Moskal nie słyszał) powierza mu tajemnicę, którą przez tyle set lat chowała w swych

okładkach zazdrośnie. I oto zaraz ze zniszczonej oprawy łacińskiej wyzierać poczęły z pośpiechem, zmęczone więzieniem i tułaczką owe zrzynki i paski Jagiellońskiego introligatora i rzekły chórem czarno-księżnikowi: „Jesteśmy wszystkie, jak nas tu widzisz, w liczbie 18-tu, najstarszym zabytkiem mowy najdawniejszym pomnikiem prozy polskiej. A słuchaj, jak mówimy, bo tak jak my, mówił Kazimierz Wielki.“

Wyobrażam sobie wzruszenie prof. Brücknera, kiedy, oswobodziwszy relikwię, począł czytać ze wzruszeniem:

„Te słowa pisze mędrzec Salomon: Wstań, pośpiej się, miłutka moja i pójdzi“.

Potem ogłosił odkrycie świata, nazwał je „kazaniami świętokrzyskimi“, odjechał, a księga pozostać musiała w niewoli. Wróciła do trezoru rosyjskiego, zadowolona ze spełnionego posłannictwa, spokojna, wieczysta...

Wiedziała, że ma czas, że się doczeka. I doczekała się. Minąć miały jeszcze cztery prawie dziesiątki lat, ale już ostatnie. Przed kilku laty w walizie przedstawiciela komisji rewindykacyjnej, wróciła do Warszawy. Poczęte za Łokietka, przepisane za Kazimierza Wielkiego, ukryte i skazane na zagubę za renesansu, wróciły „kazania święto-

krzyskie“ do odrodzonej Polski. Dumne ze swej spełnionej misji myślały sobie pewnie, że tu się ludzie strasznie ucieszą ich powrotem, lecz do-
wiedziały się wkrótce, że poza klnącym ich pamięć uczniakiem mało kto wogóle wie o ich istnieniu.

I słusznie. Bo o czem tu wiedzieć, o starych szpargałach. A zresztą kazania jak kazania. Drzewa, jak drzewa, wedle słów żony wysokiego dostojnika, oprowadzającej królową rumuńską po parku ła-
zienkowskim.

Lecz może zawierają jakąś bardzo olśniewającą treść, może przemawiają jakimś szczególnie do-
stojnym językiem, który porwie czytelnika, który wstrząśnie słuchaczem? Zobaczmy:

Z kazania o narodzeniu Pańskim. „Przeto iż nie miał w swem narodzeniu gdzieby swą głowę pokłonił, tego dla przed wołem a przed osłem po-
łożon był, bo dziewica Marja aż pieluszek dobrych nie miała, a tegodla ji we złe chustki ogarnęła“,

A więc najzwyczajniejsze, boguduchawinne ka-
zanie, jakieby na dobrą sprawę i dziś mógł każdy wsiowy pleban powtórzyć i może niktby się nawet nie zdziwił, nikt nie zwrócił uwagi! Cóż w tem nadzwyczajnego, co tak bardzo ciekawego? Ka-
zanie, jak kazanie.

A paski pergaminowe promienne dotąd, błędną i odpowiadają z bolesnem rozczarowaniem: Otóż właśnie ta zwyczajność jest naszą największą dumą i wagą naszego posłannictwa. Czyż nie uderza was cudowny fakt wieczystości języka? I to, że gdy wielu rzeczy jeszcze w Polsce nie było, ani miast, ani Grunwaldu, ani Jagiellonów, ani na dobrą sprawę Warszawy, a już żył wspaniały, zasobny i rozwinięty język?

Czy nie jest rzeczą radosną pomyśleć sobie, że król Łokietek mówił do królowej Łokietkowej: „Wstań, pośpiesz się milutka moja i pójdzi!”

A Niemcy nie rozumieliby dziś Rudolfa z Habsburga, a Francuzi tylko ze słownikiem czytać mogą trubadurów.

Niewiele jest narodów cywilizowanych, któreby mogły pochwalić się taką odwieczną ciągłością tradycji językowej i niewiele zarazem takich, któreby tak mało, jak my, czyniły dla rozwoju swej literatury i dla upowszechnienia jej na świecie.

Kazaniom świętokrzyskim jest dziś samotnie i smutno. Jeżeliby pergamin mógł mieć minę, to te czcigodne paski z pergaminu miałyby pewnie teraz minę głupią. Widzą, że pośpieszyły się. Przyjechały co najmniej o sto lat za wcześnie. Bo jeszcze

*** NA KOŃCU JĘZYKA ***

co najmniej sto lat przeminie, zanim Polacy dojdą do tego stopnia cywilizacji, na którym zabytki i wielkie dzieła przeszłości żyją w powszechnej świadomości ogółu. Narazie mamy ważniejsze zmartwienia. „Kazania świętokrzyskie“ są relikwią z pergaminu? Nie z papieru.

K O N I E C.



SPIS RZECZY.

I.	
Kto zwycięży?	1
II.	
Pigmaljon z Gontyny	19
III.	
Ako-manja i jej skutki	29
IV.	
Tajemnica jednej litery	39
V.	
Rozmowa z papugą	47
VI.	
Zemsta Warszawy	57

VII.

Hallo! Łyczaków!	71
----------------------------	----

VIII.

Nieprawdaż?	87
-----------------------	----

IX.

Koncert u Pana Rektora	99
----------------------------------	----

X.

Z powodu pary spodni	107
--------------------------------	-----

XI.

Imiona dobrej i złej wróżby	121
---------------------------------------	-----

XII.

Tam na błoni błyszczy kwiecie	143
---	-----

XIII.

Pochwała niepoprawności	159
-----------------------------------	-----

XIV.

U nas inaczej	171
-------------------------	-----

XV.

Relikwia z papieru	185
------------------------------	-----

WYDAWNICTWO POLSKIE
<R. WEGNER>

BIBLIOTEKA
LAUREATÓW NOBLA

Dotychczas ukazały się następujące utwory:

TOM

1. ROMAIN ROLLAND — Colas Breugnon.
2. RABINDRANATH TAGORE — Opowiadania.
3. MAURZYCY MAETERLINCK — Życie pszczoł.
4. BJÖRNSTJERNE BJÖRNSON - Synnöve Solbakken.
5. RUDYARD KIPLING — Księga dżungli.
6. RABINDRANATH TAGORE — Rozbicie.
7. SELMA LAGERLÖF — Tętniące serce.
8. FRANCE - Poglądy ks. Hieronima Coignarda.
9. TAGORE - Sadhana - Szept duszy - Zbłąkane ptaki.
10. KAROL SPITTELER — Imago — Romans.
11. HENRYK PONTOPPIDAN - Djabeł dom. ogniska.
12. KNUT HAMSUN — Błogosławieństwo ziemi.
13. MAURZYCY MAETERLINCK — Intelig. kwiatów.
14. KAROL GJELLERUP — Pielgrzym Kamanita.
15. RUDYARD KIPLING — Druga księga dżungli.
16. RABINDRANATH TAGORE — Wspomnienia.
17. MAURZYCY MAETERLINCK — Wielka tajemnica.
18. PAWEŁ HEYSE — L'arrabbiata — Nowele włoskie.

TOM

19. RUDYARD KIPLING — Stalky i Sp.
20. KAROL GJELLERUP — Dojrżeli do życia.
21. KNUT HAMSUN — Głód.
22. HENRYK PONTOPPIDAN — Ziemia obiecana.
23. KAROL GJELLERUP — Wędrowcy świata.
24. BJÖRNSTJERNE BJÖRNSON - Tomasz Rendalen.
25. R. ROLLAND — Dusza zaczarow. I. Anetka i Sylwja.
26. VERNER v. HEIDENSTAM — Hans Aljenus.
27. R. ROLLAND — Dusza zaczarowana II. Lato.
28. PAWEŁ HEYSE — Wesele na Kapri — Nowele włoskie.
29. SELMA LAGERLÖF — Gösta Berling.
30. WŁADYSŁAW ST. REYMONT — Pęknięty dzwon.
31. GERHARD HAUPTMANN — Głupiec.
32. MAURYCY MAETERLINCK — Głos nieznany.
33. KAROL SPITTELER — Konrad porucznik. Gustaw.
34. MAETERLINCK — Mądrość i przeznaczenie.
35. KNUT HAMSUN — Kobiety u studni.
36. JACINTO BENAVENTE — Źle kochana.
37. ROMAIN ROLLAND — Jan Krzysztof — Tom I.
38. SELMA LAGERLÖF — Maja Liza.
39. RUD. EUCKEN — Wielcy myśliciele — Tom I.
40. RUD. EUCKEN — Wielcy myśliciele — Tom II.
41. YEATS — Opowiadania o Hanrahanie rudym.
42. GJELLERUP — Gdym po raz pierwszy ujrzał ją.
43. RABINDRANATH TAGORE — Gora.
44. ROMAIN ROLLAND — Jan Krzysztof — Tom II.
45. MAURYCY MAETERLINCK — Skarb ubogich.

TOM

46. RUDYARD KIPLING — Kim.
47. KAROL GJELLERUP — Młyn na wzgórzu.
48. ROMAIN ROLLAND — Jan Krzysztof — Tom III.
49. MAURYCY MAETERLINCK — Życie termitów.
50. ROMAIN ROLLAND — Jan Krzysztof — Tom IV.
51. RABINDRANATH TAGORE — Dom i świat.
52. SELMA LAGERLÖF — Charlota Loewenskoeld.
53. KNUT HAMSUN — Ostatni Rozdział — Tom I.
54. KNUT HAMSUN — Ostatni rozdział — Tom II.
55. PAWEŁ HEYSE — Kleopatra i inne nowele.
56. R. ROLLAND — Dusza czararow. III. Matka i syn.
57. MAURYCY MAETERLINCK — Śmierć.
58. RABINDRANATH TAGORE — Zerwane pęta.
59. KNUT HAMSUN — Misterje.
60. BERNARD SHAW — Miłość wśród artystów.
61. RUDYARD KIPLING — Światło, które zagasło.
62. GRAZIA DELEDDA — Tęsknoty.
63. HENRYK PONTOPPIDAN — W czepku urodzony I.
64. HENRYK PONTOPPIDAN — W czepku urodzony II.
65. MAURYCY MAETERLINCK — Życie przestrzeni.
66. GRAZIA DELEDDA — Annalena Bilsini.
67. KNUT HAMSUN — Włóczęgi.
68. SELMA LAGERLÖF — Anna Svärd.
69. RUDYARD KIPLING — Gawędy z pod Himalajów.
70. GERHART HAUPTMANN — Wyspa wielkiej matki.

WYDAWNICTWO POLSKIE R. WEGNERA

ST. ADAMCZEWSKI
SERCE NIENASYCONE

Książka o Żeromskim

Str. 438 wielkiej 8-ki z 8 ilustracjami.

Piękna okładka T. Rożankowskiego.

Luksusowe wydanie na papierze bezdrzewnym.

GŁOSY PRASY:

„Uwielbienie połączone z własnym talentem pisarskim Adamczewskiego sprawia, że książka jego stanowi świetną lekturę literacką, pomimo pozorów pedantycznej naukowości“.

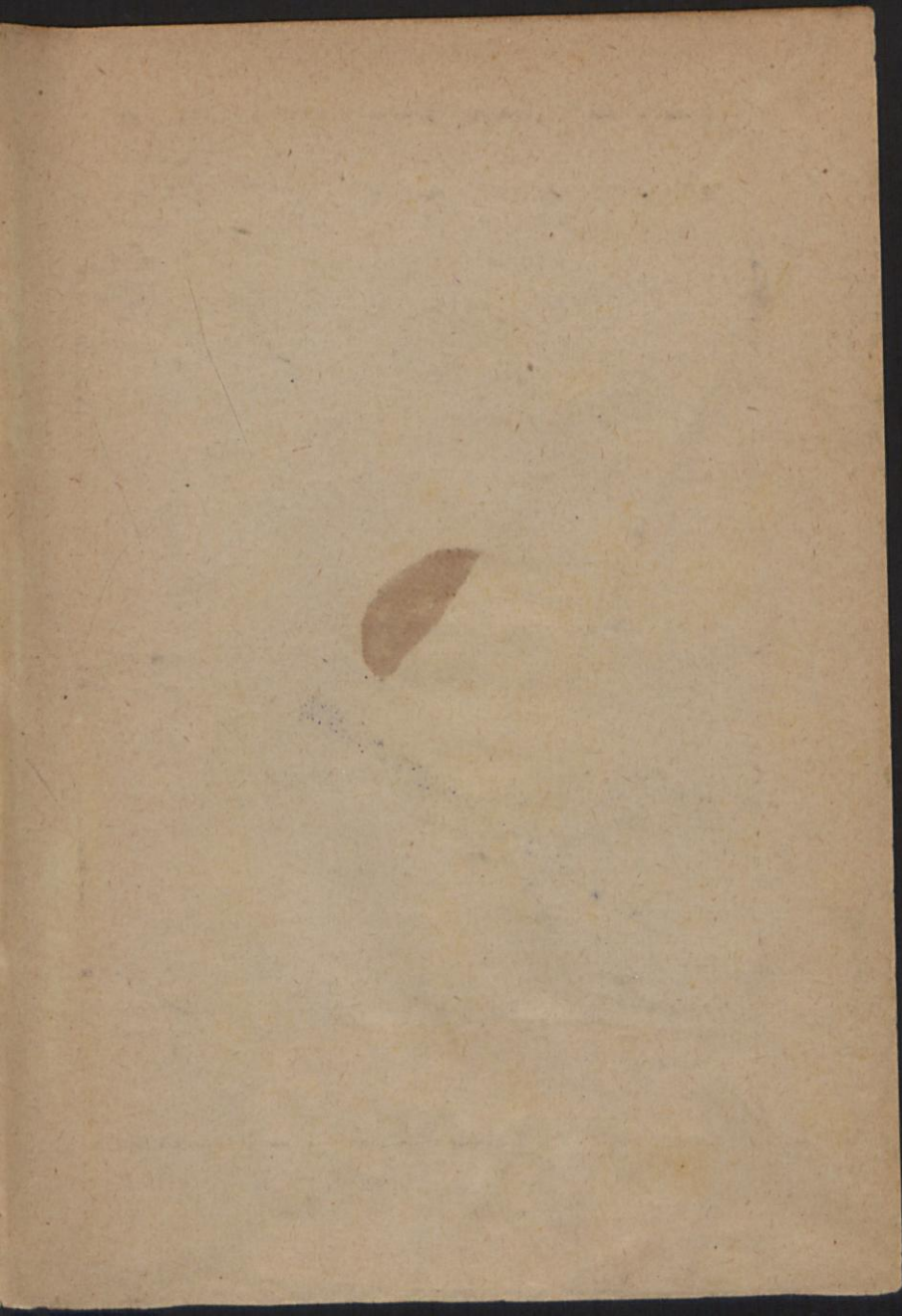
Jan Lorentowicz, „Dzień Polski“.

„Konsekwentnie przemyślaną, źródłowo opracowaną, opartą o szczegółową analizę, umiejętnie związaną syntetycznie, obejmującą całokształt artyzmu Żeromskiego monografię dziś już mamy. Jest nią książka Stanisława Adamczewskiego p. t. „Serce nienasycone“.

Kazimierz Czachowski, „Gazeta Polska“.

„Śmiałość autora pozwoliła mu złożyć i skomponować najlepsze z istniejących dzieło o artyźmie Żeromskiego, jakiego nauka polska nie posiada dotąd o żadnym innym pisarzu“.

„Ilustr. Kurjer Codzienny“.



BIBLIOTEKA PUBLICZNA

JANA ZAMKOWSKA

W Zamosciu
W Zamosciu

306

Księgozbiór BP



10085537

Zamość ul. Pereca 14
Biblioteka Publiczna

